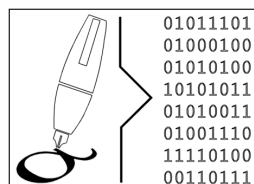


Janusz A. Zajdel

Limes Inferior

Data wydania : 1987 r.



*Na szukanie lepszego świata
nie jest jeszcze za późno.
Alfred Tennyson*

Sponad wody wstawiała subtelna mgielka — delikatny woal dający miękkość zarysowi miasta, którego panorama wyglądała stąd jak wąska, szara wstążka, u góry postrzępiona w fantazyjne ząbki i rozpostarta wzdłuż granicy wody i nieba.

Łódź kołysała się lekko na małej fali uderzającej miarowo o burtę. Rytm kołysania i plusk wody działały rozleniwiająco.

Ludzie stanowczo zbyt wiele wymagają od życia — medytował Sneer, wyciągnięty na dziobie łodzi. — Prawie wszyscy, w pocie czoła i na ogół bezskutecznie, starają się osiągnąć to, co można zdobyć prościej i łatwiej. Szukają szczęścia i zadowolenia, nie próbując wcześniej dociec, co w istocie znaczą te pojęcia... Dla mnie, na przykład, zupełnie niezłą realizacją idei szczęścia jest taka chwila, kiedy się leży na wznak kołysany falami, ogrzewany promieniami słońca... Kiedy naprawdę czuje się płynący czas. Rytm fali daje złudzenie, że jedynym toczącym się wokół ciebie procesem jest bieg czasu; czystego, wyabstrahowanego czasu, nie wypełnionego niczym oprócz plusku fal o burtę. Jeśli możesz pozwolić sobie na to, by nie liczyć uderzeń fali i upływających chwil, jeśli upływ czasu nie wywołuje paniki w twoim umyśle — jesteś naprawdę szczęśliwy.

Uniół powieki i nie poruszając głową powiódł spojrzeniem po jeziorze. Wyglądało na to, że tylko nieliczni spośród milionów mieszkańców Argolandu podzielali jego pogląd na zagadnienie szczęścia. W polu widzenia Sneera kołysało się tylko parę żagli i dwie motorówki, dryfujące leniwie bez napędu. Reszta łowców szczęścia kotłowała się w obszarze tamtego postrzępionego paska szarości, co oddziela ciemny błękit wód jeziora Tibigan od jasnego błękitu bezchmurnego nieba nad zachodnim horyzontem.

Szczęśliwi czasu nie liczą — przypomniał sobie stare porzekadło. — Coś w tym musi być, skoro już dawniej tak mówiono. Ale ja ująłbym to inaczej: szczęśliwi, którzy nie muszą liczyć czasu.

W sytuacji, gdy nie brak nikomu pożywienia, odzienia, mieszkania, a nawet

rozrywek — czas staje się wartością samą w sobie i nie jest już tylko ruchomym tłem życia, pejzażem drugiego planu, uykającym bezpowrotnie za oknem pędzącego pociągu. Czas jest głównym elementem rzeczywistości, nieodzownym składnikiem istnienia, trwania. . . A jednak ludzie jak gdyby nie dostrzegają tego, nie doceniają znaczenia i wartości czasu. Żyje wciąż jeszcze starożytna maksyma: „czas to pieniąż”. „Pieniąż” stał się pustym słowem, zmarł w procesie przemian społecznych, a owo bezmyślne, prymitywne podejście do zagadnienia czasu wciąż pokutuje w powszechnej świadomości.

Dlaczego? Dlatego zapewne — odpowiadał sobie Sneer w swych rozważaniach — że przytłaczająca większość ludzi, to w istocie rzeczy indywidualnie bezmyślne i prymitywne. Czyż bowiem tak trudno dociec oczywistej prawdy, którą on, Sneer, wykoncypował dawno temu, jeszcze jako student: przecież czas to po prostu życie. Życie jest skończonym kawałkiem czasu, który został ci podarowany jak czysta kartka do pokolorowania, zabazgrania albo zmięcia i wyrzucenia do kosza na śmieci. Czas to życie. A życie jest dla ludzkiej jednostki wartością tak cenną i unikalną, że głupotą byłoby przeliczanie go na jakiegokolwiek inne dobra materialne. . .

Skoro zaś oba te pojęcia — czas i życie — sprzężone są tak nierozzerwalnie, że w skali jednego ludzkiego bytu oznaczają wręcz to samo, wynika stąd, iż „wolny czas” oznacza „wolne życie”.

Wolny czas to ten, którym możemy dysponować wedle własnego uznania. Największym bogactwem człowieka jest czas, który pozostaje z życia po odliczeniu wszystkich godzin wypełnionych obowiązkami wobec społeczeństwa i koniecznymi staraniami o zapewnienie sobie możliwości materialnego istnienia.

Ideąłem wolności byłaby zatem sytuacja, w której człowiek rozporządza całym swym czasem. Sneer konsekwentnie zbliżał się do tego ideału: ze świadczeń na rzecz ogółu zwolniony był na mocy praw obowiązujących w Argolandzie. Jego klasa nie predysponowała go do otrzymania obowiązkowego zajęcia; osobista inwencja i talent natomiast pozwalały mu ograniczać do minimum krzątanie przy zdobywaniu środków niezbędnych do przyjemnego spędzania czasu wolnego lub, inaczej mówiąc, wolnego życia.

Faktu, iż powodzi mu się w tym świecie lepiej i żyje znacznie wygodniej niż innym posiadaczom tejże klasy, Sneer nie uważał za rzecz zdrożną: wedle bowiem założeń systemu społecznego, w którym przyszło mu narodzić się i istnieć, idea „maksimum wygody i wolności przy minimum wysiłku i obowiązków” była perspektywnym celem, stanem przewidywanym na przyszłość dla obywateli wszystkich klas.

Sneer uważał, że jedynie o krok. . . no, może o dwa wyprzedza rozwój sytuacji społecznej, dystansując nieco przeciętnego statystycznie czwartaka, zdążającego — aczkolwiek wolniej, lecz w tym samym kierunku. A przecież, jak wiadomo, historia szanuje prekursorów wyprzedzających własną epokę, choćby nawet nie

cieszyli się oni uznaniem współczesnych.

Boczny podmuch silniej zakołysał łodzią. Sneer, leżąc na wznak, odruchowo rozpostarł ramiona, by nie znaleźć się w chłodnej wodzie jeziora. Dłoń natrafiła na rozgrzane słońcem ciało dziewczyny, o której prawie zapomniał, snując swoje rozważania.

W ogóle to dziewczyna była zbędnym rekwizytem na jachcie. Sneer nie zamierzał nikogo zabierać na dzisiejszą przejażdżkę. Upływu szczęśliwego czasu pragnie się niekiedy doświadczać w samotności.

Towarzystwa ludzi, a zwłaszcza dziewczyn, Sneer miał dosyć — tam, na ładzie, w kolorowo-krzykliwej dżungli Argolandy, w zatłoczonych barach, na ulicach, w kabinach hotelowych. . .

Tylko z nawyku skinął był dłonią, widząc łakome spojrzenia dziewczyny śledzącej jego ruchy, gdy dziś w południe odcumowywał łódź od boi w basenie jachtowym.

Już po chwili żałował tego gestu, lecz było za późno: dziewczyna w pośpiechu upchnęła swą plażową torbę w skrytce bagażowej, pięknym skokiem z nabrzeża szurnęła do wody i po kilku sekundach wynurzyła się przy burcie jachtu.

Była dość atrakcyjnym egzemplarzem — młoda, najwyżej dwudziestoletnia, o pięknie opalanej skórze i w miarę pełnych kształtach — ale Sneer znał zbyt wiele podobnych, by specjalnie zapalać się do tej właśnie, samotnie przechadzającej się po przystani. Na szczęście, nie okazała się uciążliwą pasażerką. Wprawdzie bez żadnej zachęty ze strony Sneera ściągnęła górną część kostiumu, gdy tylko łódź znalazła się za falochronem — traktując to zapewne jako minimum rewanżu należnego fundatorowi przejażdżki — ale potem, opalając się na dziobie jachtu, tuż obok Sneera, niczym nie zakłócała toku jego myśli, może tylko interesującym kształtem swego dużego biustu, gdy wkraczał w pole jego widzenia przy większych przechyłach.

Z niewielu zdań, jakie zamienili w czasie kilku godzin leniwego kołysania się na wodzie, Sneer dowiedział się, że dziewczyna ma na imię Gracja, że studiuje nauki historyczne i specjalizuje się w historii myśli etycznej ery nowożytnej.

Prezentowanie własnych, dość oryginalnych i śmiałych poglądów etycznych dwakroć młodszej od niego studentce wydawało się Sneerowi rzeczą nieodpowiednią. Rozmowa na inne tematy nie kleiła się jakoś i wkrótce Sneer zatonął w swoich rozważaniach. Kontemplacja czystego, nie skażonego niczym czasu pochłonęła go tak dalece, że dopiero przypadkowe dotknięcie ramienia dziewczyny uświadomiło mu, iż nie jest sam na łodzi.

Dziewczyna potraktowała to dotknięcie jako rodzaj wstępu do dalszych poufałości i odpowiedziała uściskiem dłoni, jednakże Sneer nie podjął dalszej gry.

— Wracamy — powiedział chłodno. — Zgłodniałem trochę.

Już w następnej chwili pożałował tego wyznania, bo dziewczyna — zupełnie bez skrępowania — spytała, dokąd pójda na kolację.

Sneer nie był skąpy, lubił nawet czasem słono płacić w dobrej restauracji za kolację z atrakcyjną młodą dziewczyną — to dodawało mu blasku w oczach kolegów z jego środowiska i należało do kosztów reklamy. Wiedział jednak, czym to się skończy: dziewczyna najwyraźniej zwykła stosować fair play i aż paliła się do rewanzu, przy czym — z uwagi na jej studenckie dochody — rewanz ów mógł wyrazić się tylko w jeden ściśle określony sposób. A właśnie dziś Sneer nie miał specjalnej ochoty na damskie towarzystwo w hotelowej kabinie.

— Cóż... — mruknął, obracając w dłoni Klucz, niby przypadkiem w taki sposób, by mogła dostrzec symbol klasy. — Wstąpimy gdzieś, na bulwarze...

— Nie zraziła się jego czwórka. Wręcz przeciwnie.

— Myślałam, że jesteś co najmniej dwojakiem. W życiu nie widziałam czwartaka, który wynajmuje jacht na sześć godzin — powiedziała z uśmiechem, a Sneer teraz dopiero spostrzegł, że dziewczyna ma wspaniałe, szarozielone oczy. — Musisz być bardzo zaradnym czwartakiem, jeśli cię stać na takie wydatki!

Była widać przygotowana na wszelkie warianty rozwoju znajomości z przypadkowo poznanym mężczyzną, bo gdy na brzegu wyciągała ze swej plażowej torby wytarte džinsy i skąpą trykotową bluzkę, z wnętrza wypadła szczoteczka do zębów.

— Dla mnie — mówiła, ubierając się na nabrzeżu — klasa nie ma znaczenia. Przy mojej specjalności, mogłabym zostać nauczycielką... No, może dziennikarką telewizyjną, ale to już wymagałoby bardzo wysokiej klasy... Więc najchętniej... chciałabym dostać czwórkę i mieć dużo czasu...

— Uhm... — mruknął Sneer kpiąco. — Kiedy się jest ładną i młodą dziewczyną, wystarczy czwórka i trochę tupetu.

— Nigdy nie miałam wielkich aspiracji — powiedziała ze wzruszeniem ramion, a potem, przyglądając się uważnie twarzy Sneera dodała: — Coś mi się zdaje, że nie bardzo ci się podobam? Wolisz pewnie intelektualistki.

Sneer wyczuł w jej głosie nutę zawodu, a ponieważ miał miękkie serce, objął dziewczynę i poszli razem w stronę centrum. Wiedział od początku, że tak się to skończy. Jako czwartak, nie mógłby nawet tłumaczyć się koniecznością wczesnego wstawania do pracy... Dziewczyna była w sumie zupełnie niezła i być może naprawdę nie miała punktów na kolację. Sneer dobrze pamiętał własne problemy finansowe z czasów studenckich, a do młodzieży — zwłaszcza płci żeńskiej — miał zawsze bardzo przychylny stosunek.

* * *

Filip zbudził się znacznie później niż zwykle, spojrzął odruchowo na zegar-

rek i w jednej chwili oblał się chłodnym potem. Zawsze tak było, gdy stwierdzał, że nic nie uratuje go przed spóźnieniem się do pracy. Towarzyszyły temu lekkie mdłości na myśl o kolejnym tłumaczeniu się przed szefem personalnym. Pozycja Filipa nie była najlepsza, coraz częściej słyszało się o zwolnieniach, o trudnościach w uzyskaniu pracy przez takich jak on. Kiedy kończył studia, nie było z tym żadnych problemów: nawet niektórych czwartaków powoływano do pracy. Teraz trójka nie dawała żadnej pewności.

Jego wewnętrzne poczucie czasu mówiło mu, że dzisiejszy dzień nie jest dniem wolnym od pracy. Umysł pracował jakoś opornie, na zwolnionych obrotach, głowa ciążyła podejrzenie. Dopiero po dłuższej chwili, gdy w wyobraźni przeżył już swoje strachliwe skradanie się do pokoju personalniaka, gdy już miał prawie obmyślane zupełnie oryginalne wytłumaczenie spóźnienia... przypomniał sobie nagle, że może spokojnie odwrócić się twarzą do ściany kabiny i zdrzemnąć się jeszcze kilka minut — tych kilka minut, które są najmiłsze z całego spania, kiedy to można, zacisnąwszy powieki, utrwalić w pamięci najciekawsze epizody z prześnionego snu...

Filip był od kilku dni na urlopie. Spędzał go wprawdzie na miejscu, w Argolandzie, bo wyjazd dokądkolwiek przekraczał jego możliwości finansowe, ale i tak było przyjemnie: mógł wysypiać się do syta, a potem przez cały dzień włączyć się po aglomeracji, odwiedzać dzielnice, w których nie był od lat, spacerować w południe wzdłuż brzegu jeziora Tibigan i z pewną zazdrością spoglądać na tych, co wynajmowali wspaniałe żaglówki i łodzie motorowe, by pływać na nich w towarzystwie ślicznie opalonych dziewczyn.

Świadomość, że nie czeka go dziś spotkanie z szefem, pozwoliła Filipowi na powrót zagłębić się spokojnie w półsennych marzeniach. Niemiłe odczucia fizyczne ustąpiły, mięśnie żołądka rozluźniły się i tylko lekki ucisk w skroniach zakłócał przyjemność tej chwili.

Co mógł oznaczać ten lekki ból głowy? Filip próbował przypomnieć sobie wydarzenia wczorajszego wieczoru, lecz sen ogarnął go ponownie, wypełniając lukę w pamięci fantastycznymi wizjami.

Musiałoby być jakieś piwo. Dużo piwa — przebiegło mu przez myśl, nim zupełnie zatonął w drzemce.

Około dziewiątej obudził się na dobre, przeskakując ze snu w jawę tak gwałtownie, jak zanurzona piłka wyskakuje na powierzchnię wody. Próbował jeszcze całą siłą woli czepiać się śnionego wątku, lecz sen wyrzucał go z siebie zdecydowanie i nieodwołalnie.

Oprzytomniał z dziwnym uczuciem żalu i zawodu, że nie dane mu było dośnić do końca pięknej historii, którą przeżywał niezwykle realistycznie jako jej główny bohater.

Zawsze tak jest! — pomyślał z pretensją do losu, leżąc z zamkniętymi oczami. — Sen ucieka w najciekawszym miejscu, a człowiek, choć wie, że to tylko sen,

bezsukutecznie próbuje przedłużyć go jeszcze, choć o jedną chwilę. . . i nigdy się to nie udaje. A potem, choćbyś nawet zasnął, śnisz już coś zupełnie innego.

Sen Filipa był naprawdę piękny. Odtwarzał go teraz, upajając się jego treścią, tak że nawet nie czuł trwającego wciąż bólu głowy.

Nagle otworzył oczy i przytomnie rozejrzał się po pokoju. Jego ubranie było niezwykle porządnie ułożone na krześle, pantofle stały równiutko. . . Tak, musiało być sporo tego piwa. Tylko ono wyzwało w Filipie taką pedanterię. Był to nawyk z czasów studenckich, kiedy ojciec miewał do niego pretensje o picie piwa z kolegami i późne powroty do domu. Równiutko ułożone ubranie miało świadczyć, że Filip jest idealnie trzeźwy. . .

Teraz ojciec nie zwracał już uwagi na owe, rzadkie zresztą, wieczorne powroty dorosłego syna z baru, lecz odruch pozostał, tym silniejszy, im więcej kufla Filip opróżnił.

Przecież to było. . . naprawdę! — Uniósł się na łokciu i pocierając czoło dłonią, mozolnie próbował oddzielić prawdę od sennych zwidów. — Ten człowiek, ten automat. . .

W jednej chwili przypomniał sobie wszystko. Nie było tego wiele, ale. . . jakże cudowna była jawa, której reminiscencje powróciły w snach!

Wczoraj. . . Wczoraj. . . Wracił więc do domu, po całym dniu spędzonym na plaży, gdzie ukradkiem, spod półzamkniętych powiek, oglądał zgrabne sylwetki przechodzących dziewczyn. Zaczęły się wakacje akademickie, plaża pełna była studentek — radosnych, odprężonych po napięciach letniej sesji egzaminacyjnej, wystawiających na słońce i wiatr wszystko, co dało się odkryć. . .

Filip, przesłaniając koszulą swoje jasne, piegowate ramiona, pokryte nieładną, różowawą opalenizną, marzył o tym, by być jednym z tych wysokich, śniadych, ciemnowłosych chłopaków, szalejących jachtami po zatoce. Albo. . . Żeby chociaż móc wynajmować łódzie, przynajmniej raz na parę dni, na godzinę, dwie. . .

Wiedział, że to zupełnie nierealne — przy jego zarobkach, na jego skromnym stanowisku. . . W wyobraźni tworzył sposoby osiągnięcia wyższych dochodów i lepszej pozycji w pracy, to znów wymyślał różnego rodzaju nadzwyczajne wydarzenia, przynoszące mu niespodziewane zyski. . .

Wiedział doskonale, że nic takiego nie może się zdarzyć. Po pierwsze dlatego, że nikt jeszcze nie zdobył fortuny leżąc na plaży i wymyślając najbardziej nierealne warianty swojej przyszłości. . . A po drugie — zdawał sobie z tego sprawę — zwykle brakowało mu odwagi, by wprowadzić w czyn którykolwiek ze swych pomysłów.

Filip bał się wszystkiego — nawet tego, co przynosiła codzienność. W tym bezpiecznym skądinąd świecie bał się odezwać głośniejsze, by nikt przypadkiem nie usłyszał jego głosu wybijającego się ponad średni poziom szumu zbiorowości, której był elementem. Bał się szefa personalnego i to było przyczyną porannych mdłości, gdy musiał w myślach układać przekonywającą historyjkę tłumaczącą

przyczynę parominutowego spóźnienia do pracy; historyjkę absolutnie różną od wszystkich wymyślonych poprzednio...

Filip często nienawidził samego siebie za swój lęk. Nieraz postanawiał, iż któregoś dnia odważnie przyzna się, że po prostu zaspał... lecz bał się nadal, mimo tej świadomości i tych postanowień...

Tam, na plaży, też odczuwał dotkliwie ten brak odwagi. Nie umiałby przyłączyć się do studentów grających w piłkę, zagadnąć którąś z dziewczyn... Czuł się mały, nieważny, niegodny niczyjego zainteresowania.

Gdyby tak mieć jedynkę. No, niechby chociaż dwójkę! — myślał, widząc w marzeniach siebie za sterem motorówki, z Kluczem uwieszonym niedbale na tasiemce przy kąpielówkach, aby wszyscy mogli widzieć, z kim mają do czynienia...

Wierzył, że nawet dwójka robi wrażenie, jakiego ze swoją trójką nigdy nie byłby w stanie wywołać...

Kiedy słońce skryło się za ścianą wysokich budynków okalających łuk plaży nad zatoką, ubrał się i powlókł ulicami, bez celu, w nadziei, że wydarzy się jedna z tych niezwykłych przygód, które zmyślił — przygoda niosąca odmianę w jego życiu.

Piwo dawało namiastkę takiej odmiany. Użyte w większej ilości sprawiało, że na pewien czas potrafił zapomnieć o swoich lękach. Po paru kuflach czuł się jak wówczas, gdy był studentem. Z rozrzewnieniem wspominał swój studenci, ubożuchny Klucz zawierający tylko skromną kwotę stypendium, wypłacanego w samych czerwonych...

Ten Klucz, z pustym miejscem zamiast oznaczenia klasy, wydawał się kluczem do prawdziwego, szczęśliwego życia: dawał potencjalnie nieograniczone możliwości... Puste miejsce mogło — teoretycznie — wypełnić się symbolem najwyższej klasy, a puste rejestry kont — okrągłymi kwotami zielonych i żółtych punktów...

Wtedy, jako student, nie doceniał tej cudownej właściwości studenckiego Klucza. Marzył, by jak najprędzej ukończyć naukę, uzyskać klasę (oczywiście wysoką — to wówczas nie podlegało wątpliwościom), dysponować licznymi punktami w miłych barwach zieleni i żółci...

Ileż dałby teraz za tamto błogie poczucie pewności siebie...

Na testach dostał ledwie trzecią klasę i to było początkiem jego fobii... Reszty dokonywała powoli świadomość ciągłego pozostawania na granicy dzielącej zatrudnionych od rezerwowych. Dziś już trójka nie dawała żadnej pewności pracy, a za zielone punkty coraz mniej rzeczy można było dostać... Znikoma liczba żółtych, jaką otrzymywał co miesiąc, topniała błyskawicznie...

Powiedziałbym szefowi, co o nim myślę — usprawiedliwił się sam przed sobą, mijając witrynę baru — ale wówczas on skorzystałby z pierwszej okazji, by mnie wylać... A wtedy...

Wiedział, co to znaczy. Bez pracy nie ma złotych punktów. Niewiele można zdziałać z samymi zielonymi i czerwonymi. Ostatnio nawet automaty z przyzwoitym piwem przestawiono na żółte punkty. Za zielone można dostać tylko jakiś obrzydliwy, gorzkawy płyn, pewnie syntetyk. . .

Pominąwszy już nawet luksusy takie jak kanapka z polędwicą, czy wreszcie te cudowne żaglówki na jeziorze Tibigan, brak złotych uniemożliwił korzystanie z normalnych, ludzkich przyjemności, oferowanych przez Argoland jego zarabiającym żółte punkty mieszkańcom. Jakże tu zaprosić dziewczynę do baru na plaży, nie mając złotych? Jeśli zechce coś zjeść, napić się, trudno przecież oferować jej sandwicze z serem czy miętową herbatę — jedyne, co było dostępne za zielone punkty w ekskluzywnych barach na przystani. . . Byłaby to pewnie pierwsza i ostatnia randka. . .

Tak, posiadanie drugiej klasy dawałoby Filipowi ten niezbędny dla dobrego samopoczucia margines bezpieczeństwa. Dwójka gwarantuje stabilizację i nieprędko jeszcze dojdzie do tego, by dwojacy mieli się obawiać braku zajęcia. . .

Snując tego rodzaju refleksje, Filip znalazł się we wnętrzu baru, na wprost automatu z importowanym piwem. Z determinacją podstawił kufel pod dozownik i wsunął Klucz do szczeliny.

Pał diabli tych kilka nędznych złotych. I tak przez sto lat nie zbieram ich tyle, by wystarczyło na najmniejszą z rzeczy, o jakich się marzy — rozgrzeszył się patrząc, jak bursztynowy płyn wypełnia szklane naczynie.

Wypił łączywie, dużymi łykami, a potem napełnił kufel jeszcze raz i usiadł, przy bufecie, obok automatu do gier.

Mały, okrągły na twarzy i mocno przyłysiały człowieczek stał przed automatem i przyglądał się migającym świetlnym napisom, które zapraszały do gry.

„Sprawdź swoje szczęście — pomnóż swoje punkty” — odczytał Filip.

Łysy zerkał z ukosa na Filipa i wyraźnie szukał sposobu rozpoczęcia rozmowy.

— Trzydzieści za jeden! — powiedział na wpół do siebie. — Gdybym miał parę złotych. . . Widziałem dziś, jak facet postawił dychę i zarobił trzy setki. . .

— Żółtych? — zainteresował się Filip.

— Stawiał żółte, to i wygrał żółtymi. To się rzadko zdarza, ale też, bym postawił, gdybym miał.

— Niech pan zagra zielonymi — poradził Filip, popijając powoli piwo.

— E, tam! Po co kusić los? Zostawię sobie tę szansę do czasu, jak mi parę złotych wpadnie.

Dziesięć złotych! — skalkulował Filip — przecież to tyle, ile mi płacą za miesiąc pracy. . .

Niepewnie sięgnął po Klucz, obejrzał go uważnie, jakby widział go po raz pierwszy. Szare cyferki wskazujące czas przeskakiwały w leniwym rytmie mijających sekund.

Palcami prawej dłoni ujął główkę Klucza i wskazującym palcem lewej dotknął żółtej kropki na płytce. W okienku wskaźnika zajarzyły się żółte cyferki.

— No, no! Sporo pan uzbierał! — powiedział łysawy, patrząc przez ramię Filipa. — Pięćdziesiąt żółtych, to już jest coś.

Przyjrzał się uważnie Kluczowi i dodał:

— Oszczędny pan jest. Mając trójkę, niełatwo uzbierać pół setki żółtych... Na pana miejscu zagrałbym kilkoma. Punkty idą do punktów!

— Spróbuję — bąknął Filip, chociaż żał mu było ryzykować. — Ale najwyżej jednym punktem!

Włożył Klucz do szczeliny automatu, wcisnął przycisk i pociągnął za dźwignię.

— No, proszę! — ucieszył się łysawy jegomość. — Wygrał pan trzy za jeden. Też nieźle. Warto postawić jeszcze raz.

— Niech tam! — mruknął Filip i zagrał za trzy punkty.

Dalej było już jak w marzeniach. Automat rozdzwonił się, roziskrzył światłkami.

— Sto za jeden! — zapał w zachwycie przygodny kibic, a pozostali goście baru odwrócili głowy w stronę automatu.

Filip wpatrywał się w żółte cyferki na liczniku, jakby chcąc się upewnić, czy nie znikną, jak to często bywało w snach o wielkiej wygranej.

Trzysta żółtych! — powtarzał gorączkowo w myślach. — Dwa i pół roku pracy!

W ciągu ostatnich pięciu lat udało mu się zaoszczędzić zaledwie pięćdziesiąt... Trzysta żółtych to była fortuna dla tak młodego człowieka. Jednak Filip zdawał sobie doskonale sprawę, że największa fortuna zniknie bez śladu, jeśli nie jest poparta stałymi wpływami. Zdarzyło mu się już ze dwa razy wydać dziesiątkę w ciągu jednego popołudnia i wiedział że to nic trudnego...

Kilka osób obecnych w barze stało teraz wokół niego, patrząc z podziwem i zazdrością to na niego, to znów na automat, który wciąż jeszcze pobrzękiwał i błyskał napisem: „Odważnemu sprzyja szczęście — uwierz w to i próbuj częściej!”

— No, panie kolego... Myślę, że zasłużyłem sobie na co najmniej jeden kufelek! — przymówił się łysawy, gramoląc się na stół przy barze.

— Nawet na dwa! — uśmiechnął się Filip, a potem pomyślał, że wypadałoby jakoś uczcić to niezwykle wydarzenie i podszedłszy do automatu z piwem napełnił od razu kilkanaście kufli.

— Proszę bardzo! — powiedział w stronę gapiów, otaczających automat do gier. — Piwo dla wszystkich.

Odpowiedział mu zbiorowy pomruk uznania, wszyscy pili za pomyślność szczęśliwego gracza, a Filipowi było bardzo przyjemnie, tym bardziej, że cały

poczęstunek kosztował go zaledwie jeden złoty punkt — akurat ten, który przeznaczony był na stracenie, rozpoczynając grę...

Przy trzecim kuflu byli już po imieniu z łysawym facetem, który powiedział, że nazywa się Karl, traktował Filipa bardzo serdecznie i wcale nie robił wrażenia naciągacza. To raczej Filip namawiał go na kolejne kufle, aż tamten zaczął go powstrzymywać przed zbyt dużą rozrzutnością.

To co było później, Filip przypominał sobie z pewnym trudem. Siedząc na tapczanie, usiłował uporządkować fakty. Potem sięgnął do kieszeni kurtki wiszącej na oparciu krzesła i wydobyl Klucz.

Wszystko się zgadzało. Z trzystu pięćdziesięciu czterech złotych punktów, które miał w chwili podjęcia wygranej, brakowało niecałych siedmiu. Prawie dwa wydał w barze, a pozostałe pięć...

Sięgnął jeszcze raz do kieszeni i namacał prostokątny kartonik.

„Karl Pron, hotel „Kosmos”, Argoland, TI.” — odczytał i odwrócił wizytówkę na drugą stronę, gdzie chwiejnym odręcznym pismem zanotowano: „wtorek godz. 14”.

Odruchowo spojrział na cyfry zegarka na Kluczu. Był wtorek, godzina dziewięć.

Więc to wszystko prawda — zastanawiał się. — Chyba że ten Karl jest zwykłym oszustem. Ale, jeśli nawet... to niewiele zainwestowałem. Cóż to jest: pięć złotych!

Jeszcze wczoraj nie myślałby w ten sposób, przeliczając tę kwotę na przejażdżki motorówką, albo wynajęcie samochodu.

Teraz wszystko się zmieni — myślał, przypominając sobie te urywki rozmowy z Karlem, które najbardziej utkwiły w jego pamięci.

Kim był ten niepozorny człowieczek, dość grzeczny i ogładzony, lecz wyglądający co najwyżej na czwartaka? Czy naprawdę mógłby pomóc Filipowi? Musiał być niezłym psychologiem, skoro tak celnie odgadł potrzeby młodego człowieka, spędzając z nim zaledwie trzy godziny przy piwie.

— Znam faceta — powiedział ni stąd, ni zowąd, gdy byli już jako tako zaprzyjaźnieni — który potrafi załatwić każdą klasę.

Filip zdziwił się trochę, choć słyszał, że są tacy faceci. Z drugiej jednakże strony, powszechnie było wiadomo, że klasyfikacja podlega ścisłej kontroli Syskomu i żaden człowiek nie ma na nią wpływu.

— Jak to się robi? — spytał, konfidencko schylając się do ucha Karla.

— Tajemnica zawodowa — uśmiechnął się tamten. — Ale gdybyś chciał, to... da się załatwić.

— Nie byłoby źle... — bąknął Filip, czerwieniejąc nieco na twarzy, i upił dwa łyki z kufla.

— Z trójką wysoko nie zajdziesz.

— Wiem, cholera.

— Zastanów się.

— Nad czym tu się zastanawiać?

— Słusznie. Nie ma nad czym. Tylko płacić trzeba sporo. . .

— Ile?

— No. . . bo ja wiem? Fachowiec wzięłby ze dwie setki. . .

— Żółtych?

— Dobry specjalista najchętniej pracuje za żółte. Chyba że. . . przeliczając po najwyższym kursie, to znaczy. . . no, z piętnaście za jeden. . . to by było. . . trzy tysiące czerwonych. Albo osiemset zielonych.

— Cholernie dużo. . . — zasmucił się Filip, ale zaraz sobie przypomniał o wygranej i poweselał. Napełnił następne dwa kufle.

— Dwie setki. Ale trudno o kontakt z dobrym fachowcem. Oni są ostrożni, nie ryzykują. Sam nie dotrzesz do takiego, nie będzie z tobą gadał, jeśli ktoś cię nie poleci. A z byle pętakiem nie warto w ogóle zaczynać. Pełno teraz takich pod Stacjami Testowymi: zachwala swoje usługi, a potem znika z zaliczką. . . Albo palcem nie kiwnie, tylko udaje, że coś załatwia, a jak się komuś przypadkiem uda przejść bez jego pomocy, to zgłasza się po honorarium. . . Ostrzegam cię przed tymi, co zaczepiają na ulicy.

— Mógłbyś mnie. . . skontaktować?

— Gdybyś chciał, mogę spróbować. Niczego nie obiecuję, bo ci najlepsi rzadko podejmują się mniejszej roboty. Czekają na trudniejsze operacje. Stać ich na to, zrobią jeden albo dwa lifty na miesiąc i wystarczy. Każdej robocie towarzyszy takie samo ryzyko wpadki, więc wolą te lepiej płatne. . .

— Zorganizuj mi. . . spotkanie z dobrym fachowcem — powiedział Filip, nie-
 źle już podchmielony.

— Jeśli chcesz. . . Ale muszę mieć z tego prowizję.

— Jasne. Musisz i ty zarobić. . . — zgodził się Filip.

— Pewnie. Z czegoś trzeba żyć, kiedy się nie ma dobrej klasy. Zwykle biorę dwadzieścia procent za kontakt. Jeśli dasz piątkę na koszty, to postaram się jutro ci odpowiedzieć.

Wtedy właśnie Karl wręczył Filipowi wizytówkę. Wzbudzała zaufanie. Takie wizytówki można było dostać tylko wówczas, gdy miało się zapłacony hotel za miesiąc z góry. W „Kosmosie” musiało to kosztować z pięćdziesiąt złotych. Karl nie wyglądał na takiego, którego stać na podobne luksusy, nie ukrywał braku punktów i wciąż napomykał, że ledwo wiąże koniec z końcem, ale widać chwila-
 mi miał większe wpływy. Filip nie pytał go oczywiście, co robi poza pośredni-
 czeniem pomiędzy lifterami a ich klientami.

Może Karl sam był lifterem — takim od mniejszych, łatwiejszych spraw?

Wszystko jedno — pomyślał Filip. — Nie posądzam go, by chciał tylko wy-
 łudzić ode mnie tych pięć punktów.

Karl rzeczywiście nie był nachalny i robił niezłe wrażenie. Pięć punktów, które Filip przelał na jego Klucz, gdy wychodzili z baru, potraktował jako zaliczkę prowizji, resztę miał otrzymać po sfinalizowaniu całej sprawy.

Wszystko wyglądało dość klarownie, przynajmniej wczorajszego wieczora, kiedy piwo szumiało w głowie i świat wydawał się prostszy i weselszy. Teraz, rankiem, wracając myślą do wczorajszej rozmowy z Karlem, Filip zaczynał znów odczuwać swoje zwykłe, codzienne lęki, złagodzone nieco świadomością posiadania na Kluczu trzystu kilkudziesięciu złotych punktów.

Dwieście, plus czterdzieści dla Karla — liczył, już w łazience pod natryskiem. — Straszna suma. . . Ale i tak rozeszła się bez śladu.

Jeszcze raz wspomniał sobie słowa ojca, powtarzane wielokrotnie, gdy Filip był uczniem, i później, gdy był studentem:

„Jedyne, co daje pewność bytu w dzisiejszym świecie, to wysoka klasa. Nie jest ważne, ile punktów masz na Kluczu. Najważniejsze, żebyś pracował, i to dobrze pracował, bo liczy się przede wszystkim to, co ci wpływa miesięcznie”.

Filip niezupełnie zgadzał się z ojcem w ocenie tego zagadnienia. Rzeczywistość zaprzeczała często tym maksymom. Filip znał wielu młodych ludzi, którym niska klasa i brak pracy nie przeszkadzały w wydawaniu złotych setkami. Zdawał sobie jednak sprawę, że dochody tych „złoty młodzieńców”, jak ich powszechnie nazywano, pochodzą z dotacji wysoko ustawionych tatusiów — zerowców, albo też z innych, niejasnych źródeł.

Rodzice Filipa mieli tylko trójki, a to nie pozwalało na zbyt wystawny tryb życia. Jako student Filip dostawał od nich co najwyżej po jednym, czasem po dwa żółte na miesiąc i to musiało mu wystarczyć na wszystkie przyjemności niedostępne za czerwone ze studenckiego stypendium i za tych parę zielonych, które udawało się czasem dorywczo zarobić. . .

Wizja wyższej klasy, lepszego stanowiska i co najmniej trzydziestu złotych na miesiąc poprawiła mu humor i dodała odwagi. Wkrótce też przestał myśleć o kosztach, jakie pociągnie za sobą zamierzona operacja. Ostatecznie te punkty i tak spadły mu jak z nieba. . .

O to, czy poradzi sobie w pracy jako dwojak, wcale się nie martwił. Był przekonany, że w pełni zasługuje na drugą klasę inteligencji.

* * *

Karl wstał sporo po dziewiątej. Dziewczyny już nie było, widocznie wymknęła się po cichu, gdy jeszcze spał. Zapłacił jej wczoraj wieczorem, zanim poszła z nim do kabiny. Kosztowała dokładnie całe pięć punktów, które dostał od tego

młodego szczęściarza z baru.

Wstał i rozejrzał się po kabinie hotelowej.

Jak to dobrze, że opłaciłem z góry tę kabinę — pomyślał i westchnął. Sprawdził Klucz. Było na nim trochę zielonych — wystarczająco, by przeżyć parę kolejnych dni. Czerwonych punktów nie miał w ogóle. Zwykle od razu wymieniał je u handlarzy na zielone według aktualnego czarnorynkowego kursu. W jego środowisku nie należało do dobrego tonu jadać w podrzędnych knajpach i mieszkać w tanich blokach.

Do diabła! — zaklął w duchu, chowając Klucz. — Kto mi kazał wikłać się w tę aferę?

Uprawiając do niedawna drobny lifting, nie miał problemów materialnych. Odkąd jednakże dał się namówić do udziału w pewnym podejrzanym przedsięwzięciu, musiał zaniechać swych zwykłych zajęć.

Korciło go, by po cichu spróbować zarobić trochę liftem. Z przyjemnością wykreowałby jakiegoś czwartaka, piątaka choćby, za tych kilkanaście złotych... Zawsze to lepsze niż nic... Wiedział jednak, że nie wolno mu teraz ryzykować. Musiał wyglądać na przyzwoitego obywatela i nie mógł pozwolić sobie na żadną podejrzaną działalność. Za to przecież wziął tych dwieście złotych i spodziewał się dostać jeszcze o wiele więcej...

Punkty rozeszły się w ciągu niespełna tygodnia. Luksusowy hotel, porządne restauracje, dziewczyny biorące po pięć i więcej... Tego wymagali ludzie, których planów nie próbował nawet zgłębiać. Decydując się na współpracę z nimi wiedział, że sprawa jest wyjątkowo cuchnąca, lecz pocieszał się myślą o tym, że uprawiając dotychczasowy proceder też ocierał się codziennie o kryminał, choć ryzyko wiązało się ze znacznie mniejszym zyskiem. Obiecywano tysiące, więc zgodził się bez dłuższych wahań. Ze swoją rzeczywistą klasą nie mógł liczyć na duże zyski z liftingu. Piątacy i szóstacy nie są klientelą, na której można zbić majątek. Ciulają swoje żółte, skupując je po horrendalnym kursie, a potem trudno im rozstać się z każdym punktem...

Szczególnie teraz, gdy czwórka nie zapewniała realnej szansy zatrudnienia, mało kto inwestował w awans do tej klasy dla dodatkowych paru zielonych.

— Drobny lifting na niskim poziomie kończy się nieodwołalnie — powiedział do siebie, zaczesując przed lustrem rzadkie kosmyki na lysiejący czubek swej kulistej czaszki. — Na rynku pozostaną tylko wielkie rekiny, spece od wysokiej roboty... Zrobienie zerowca kosztuje pewnie z tysiąc złotych, można za to pożyć beztrudnie ładny kawał czasu... A konkurencja też niewielka... Ilu może być w Argolandzie lifterów z rzeczywistym zerem? Trzech, czterech?

Przypomniał sobie o Filipie, piątce wydanej na dziewczynę i możliwości zarobienia dalszych trzydziestu pięciu złotych. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

Najlepszy czas, żeby złapać kogoś na mieście — pomyślał kończąc toaletę.

Zadzwonił telefon. Karl podniósł słuchawkę i przez minutę słuchał pilnie instrukcji przekazywanej damskim głosem.

— Dobrze. Będę o pierwszej — powiedział i odłożył słuchawkę.

Poczuł dziwny dreszczyk emocji. Więc to już! Trzeba będzie zabrać się do dzieła, czyli, innymi słowy, zacząć nadstawiać karku za tych, którzy obiecali płać tysiące...

Poczuł się niepewnie, usiadł w fotelu przy stoliku z telefonem i nie podnosząc słuchawki, nerwowo przebierał palcami po klawiszach aparatu. Miał ogromną ochotę zadzwonić pod numer kontaktowy, który mu podano, i powiedzieć, że rezygnuje z udziału w tej aferze. Czuł jednak, że to na nic. Zbyt wiele wiedział, a ponadto nie miał już ani punktu z tego, co mu z góry zapłacono.

Nie było odwrotu. Karl wydobyl z kieszeni swój Klucz i przyjrzał mu się dokładnie, jakby po raz pierwszy widział tę cienką, prostokątną płytkę z plastyku, z okienkiem, w którym migały cyferki odmierzające czas, zakończoną płaskim kolistym uchwytem.

Do tej pory nie próbował nawet zrozumieć dokładnie, jak działa Klucz — podobnie, jak nigdy nie zastanawiał się nad działaniem telefonu czy kalkulatora. Przypuszczał, że nikt w tym kraju — z wyjątkiem paru jajogłowych zerowców — nie wie i nie rozumie, co dzieje się we wnętrzu teflonowej płytki, będącej równocześnie dowodem tożsamości, kartą kredytową, zegarkiem, kalkulatorem, dyplomem, certyfikatem klasy intelektu i licho wie, czym jeszcze...

Mimowolnie zaczął sobie przypominać, co słyszał kiedykolwiek o konstrukcji i właściwościach Klucza. Jakieś półprzewodniki, elementy zintegrowane, domeny cylindryczne, dipola, ciekłe kryształy... Nie, to było zbyt mądre dla Karla.

A jednak znaleźli się spryciarze — pewnie też zerowcy — którzy rozgryźli to skomplikowane urządzenie... Karl wiedział, że do wnętrza Klucza nie należy zaglądać. Zniszczony lub uszkodzony Klucz to zawsze kupa kłopotów i strata całego stanu konta... A czasem także ponowna weryfikacja klasy...

Strata punktów akurat mu nie groziła; swoją formalną, niewysoką klasę też by zapewne bez trudu obronił — parę lat praktyki w liftingu pozwalało mu zrobić bez trudu każdy test na czwartaka, ale Karl nie miał nigdy zamiaru ni ochoty zaglądać do wnętrza Klucza, bo wiedział, że nie zobaczy tam niczego ciekawego...

Patrzył na plastikową płytkę z okrągłą tarczką identyfikatora linii papilarnych, który czynił Klucz przedmiotem ściśle osobistym, z pewnym sentymentem i odrobiną żalu. Wiedział, że będzie musiał rozstać się dziś z tym pocziwym przedmiotem, otrzymując w zamian inny, spreparowany przez tajemniczych kombinatorów, którzy sami nie chcieli ryzykować prób swego produktu...

— To jest cudowna rzecz! — zachwycił się facet, który tydzień temu wciągnął Karla do tej roboty. — Pamiętasz bajkę Stoliczku, nakryj się!... albo tę drugą, o takiej sakiewce, co to tylko wystarczyło nią potrząsnąć i same rodziły się w niej dukaty? No, to właśnie ma być coś takiego!

Karl nie potrafił wyobrazić sobie, jak to możliwe. Falszywy Klucz? Owszem, zdarzały się całkiem zręcznie zrobione wytryszki, lecz zwykle służyły one co najwyżej do uruchamiania jakichś prostych automatów z piwem albo bramki w wejściu do metra. Ale żeby normalny Klucz, ze wszystkim?

Pamiętał dobrze różne próby, które jeszcze jako student przeprowadzał z kolegami, gdy dostali swoje pierwsze studenckie Klucze. Cudzy Klucz, włożony do automatu, powodował od razu dzikie wycie urządzeń alarmowych, a o wyłudzeniu czegokolwiek, co przekraczało stan konta, nie mogło być nawet mowy: automat zawsze odpowiadał czerwonym napisem informującym, ilu i jakich punktów brakuje, żeby spełnić życzenie klienta. . .

Karl znał z grubsza zasady rozliczeń punktowych. Studiował nawet, choć niezbyt pilnie, ekonomikę handlu. Wiedział więc, że są różnego rodzaju automaty: handlowe, kasowe, rozliczeniowe. Wszystkie one działały na Klucze znajdujące się w rękach obywateli. Warunkiem uruchomienia automatów była zgodność linii papilarnych posiadacza Klucza z tymi, które były z nim zakodowane, i oczywiście odpowiednia suma punktów.

Nigdy nie zdarzyło mu się oszukać automatu i wierzył, że jest to niemożliwe. Niektórzy próbowali — udawało się czasem jakimis wytrychami. . . Ale można było przy okazji brzydko wpaść za głupią paczkę papierosów. . .

Musi być jednak jakiś słaby punkt w systemie kontroli, jakaś achillesowa pięta, pozwalająca oszukać Bank — rozważał Karl, w zamyśleniu gapiąc się w migające cyferki zegarka. — A ci cwaniacy znaleźli widać sposób wpisania czegoś dodatkowo na konto i na Klucz. . .

Dobrze wiedział, że samo sfalszowanie zapisu w Kluczu — choćby nawet było możliwe — niczego nie rozwiązuje. Syskom jest za mądry, by tolerować takie naiwne oszustwa.

Któż by zresztą odważył się eksperymentować z własnym Kluczem. Przecież do tego potrzebna jest znajomość kodu wewnętrznego automatów, a ten zmienia się samoczynnie co pewien czas. . . Jeden niewłaściwy impuls magnetyczny może zupełnie zniekształcić zapis w pamięci Klucza, a wyjdą z tego jakieś bzdury i wpadka gotowa!

Karl przypomniał sobie swego dawnego kolegę majsterklepkę, który usiłując kombinować coś z podmagnesowaniem Klucza, napytał sobie kłopotów z policją. Westchnął ciężko i leniwie podniósł się z fotela.

— Pozostaje mieć nadzieję, że to fachowcy, nie jacyś amatorzy partacze — powiedział do siebie.

O wpół do jedenastej wyszedł z kabiny. Zatrząskując za sobą drzwi zatrzymał się nagle.

Do licha! — zastanowił się — przecież zamek w drzwiach działa na Klucz, z którego opłacono należność za pokój! Kiedy dostanę od nich ten nowy Klucz, to. . . może nie pasować!

Zaraz jednak przypomniał sobie, że nowy Klucz będzie pełen żółtych, więc można przecież zrezygnować częściowo z rezerwacji i odebrać w automacie recepcyjnym pozostałe punkty po potrąceniu kosztów manipulacyjnych. Ucieszył się, bo w ten sposób odzyskiwał ponad trzydzieści żółtych, co oznaczało między innymi możliwość zjedzenia śniadania w luksusowym automatycznym barze hotelowym, gdzie szły tylko żółte!

Kiedy dostanę ten nowy Klucz, będę mógł od razu wypróbować go w automacie recepcyjnym — pomyślał, odbierając swoje punkty i kierując się w stronę baru. — Wezmę sobie jeszcze lepszą kabinę!

To całkiem dobry pomysł z tą sakiewką bez dna — zaczynał z uznaniem myśleć o swych zleceniodawcach. — Byle tylko nie wpędzić się w jakieś kłopoty. . .

Przed drzwiami baru dostrzegł zielony mundur. Odruchowo zwrócił twarz w drugą stronę i skręcił w kierunku foteli ustawionych w hallu. Usiadł tyłem do policjanta i przez chwilę obserwował go w lustrzanej wykładzinie ściany. Czuł, że tętno wali mu w skroniach, słyszał je w obu uszach, dłonie mu się spociły.

Nerwy, do diabła! — stwierdził zły na siebie.

Policjant patrzył w głąb baru, gdzie przed automatami kręciły się dziewczyny — te same, które zawsze tu łążą w poszukiwaniu hojnych gości. Policjant stał tu zapewne po to, by wprawnym okiem odcedzić znane sobie stałe bywalczynie hotelowego baru od tych, które przyszły przypadkiem w poszukiwaniu kogoś, kto zapłaci za śniadanie.

Karl dostrzegł, jak zniknął na chwilę we wnętrzu lokalu i wyprowadził dwie, młodzieńki pewnie małaolatki. Wyszły potulnie, policjant rozejrzał się jeszcze wokoło, a potem powoli ruszył ku wyjściu.

Pewnie dostaje punkty od tutejszych panierek za tępienie nieuczciwej konkurencji — pomyślał Karl, wchodząc do baru. — Każdy orze, jak może.

Był zły na siebie, że pozwolił się wytrącić z równowagi widokiem jednego spokojnego gliny, w dodatku dorabiającego na boku w godzinach służby.

Czego się boisz, stary durniu! — strofował sam siebie. — Jeszcze nie ma powodów. Masz w kieszeni własny, legalny, najuczciwszy Klucz. W dodatku, z minimalną sumą punktów, co w tym społeczeństwie jest najlepszym dowodem twojej uczciwości!

Wstał z fotela i leniwie wkroczył do wnętrza baru. Dziewczyny, ubrane kolorowo jak manekiny z magazynu najlepszej konfekcji sprzedawanej tylko za żółte punkty, obsiadły wysokie stołki wokół ścian. Kilka z nich odwróciło twarze omiatając Karla bystrymi, taksującymi spojrzzeniami, lecz widocznie nie wydał im się wystarczająco nadziany żółtymi.

Trzeba będzie ubrać się jakoś. . . drożej — pomyślał mimochodem — jeśli mam tu dłużej mieszkać. . .

Rozumiał, o co chodziło facetom, którzy mieli mu dać do wypróbowania swój fałszywy Klucz. . . Tutaj, w przyzwoitym, dość droгим hotelu, ludzie wydają

znaczne sumy złotych punktów nie budzili podejrzeń. Trudno byłoby sprawdzać nieograniczone możliwości Klucza w podrzędnych hotelach i tanich knajpach, gdzie większość automatów działała na zielone.

Karl rozejrzał się po barze. Oprócz pstrych i hałaśliwych jak papugi dziewczyn, siedziało tu, jak zwykle o tej porze, sporo facetów, których zawody można było z góry i bez ryzyka pomyłki zaliczyć do nielegalnych. Zauważył dwóch lifterów, których znał ledwie z widzenia, ale to nie wystarczało, by z nimi rozmawiać o sprawie Filipa. W kącie dostrzegł znajomego, starego keymakera, ale pomyślał, że z ludźmi tego zawodu nie należało się teraz zadawać. Skierował się więc do przeciwnego kąta, wsunął Klucz do automatu, wziął z podajnika tackę z kanapkami, spojrzął na żółte cyferki, które ukazały się w okienku, i zaklął pod nosem. Cztery kanapki kosztowały prawie jeden złoty. Przyjrzał się im. Dwie były z czarnym kawiozem.

Muszę się przyzwyczaić — pomyślał. — Trzeba będzie bez drgnienia powiek przyjmować takie wydatki. A najlepiej w ogóle nie patrzeć na cenę. . .

Usłyszał, czy może poczuł, kogoś za swoimi plecami. Ostrożnie skrzywił głowę, by kątem oka zbadać sytuację. To była tylko jedna z dziewczyn.

— Lubisz kawior? — zagadnęła.

Przyjrzał się jej i uśmiechnął się półgębkiem.

— Chcesz? — podsunął jej tackę. — Mnie się już przejadł.

Usiadła obok niego i przez chwilę żuła w milczeniu.

— Słony — powiedziała.

Gdy wrócił po chwili z dwiema puszkami ninedownu, pochłaniała drugą kanapkę.

— Zostawisz coś dla mnie? — spytał cierpko.

— Uhm. Jedz! — wskazała na tackę. — Szukasz kogoś? Może ja ją zastąpię.

— Nie sądzę. Potrzebny mi dobry lifter.

— Nie znam — bąknęła ostrożnie i otworzyła puszkę z napojem.

— Przypuśćmy. . . Widzę tu ze dwóch, ale oni mnie nie znają. . .

— Co chcesz sobie załatwić? Piątkę? — spytała ironicznie, mrużąc oczy.

— Jesteś mi winna za dwie kanapki — powiedział chłodno.

— Przepraszam! To był głupi żart.

— Owszem. Czyżbym wyglądał na szóstaka?

— No. . . więc co chcesz załatwić?

— Dwójkę, ale nie dla siebie.

— Znasz Sneera?

— Znam — ożywił się Karl. — On by mi pasował!

— Był tu przed półgodziną, z jedną taką. . .

— Dokąd poszedł?

— Nie wiem. Płacił za nią, a potem wyszedł sam. Chyba tutaj mieszka. Pewnie poszedł się przejść do centrum. On zwykle o tej porze spaceruje po okolicy.

- Dziękuję. Poszukam go. Chcesz jeszcze coś?
- Napiłabym się czegoś. Co mu powiedzieć, gdyby tu przyszedł?
- Nic. Sam go znajdę.

Karl zeskoczył ze stołka i przyniósł dziewczynie kieliszek koniaku. Kosztowało go to pół złotego, ale informacja była tego warta.

Żeby go tylko znaleźć... i żeby się zgodził — pomyślał, idąc ulicą i wypatrując wśród przechodniów.

Spojrzał na Klucz. Była jedenasta pięć. Przypomniał sobie o wyznaczonym spotkaniu i przyspieszył kroku, nie przestając rozglądać się za Sneerem. Chodziło mu już teraz nawet nie o te pozostałe trzydzieści pięć złotych od Filipa. W najbliższym czasie nie będzie ich potrzebował, a potem... Potem już będzie miał tyle, ile zapagnie... Jeśli wszystko dobrze pójdzie. Chodziło mu wyłącznie o zwykłą uczciwość zawodową. A ponadto czuł trochę sympatii dla tego młodego, nieco zahukanego chłopaka.

* * *

Jak zwykle przed południem w barze był tłok i hałas, ale prawie nikt nie prześadywał tu dłużej niż potrzeba na wypicie kawy albo szklanki piwa. Sneer zaczekał kilka minut, aż zwolni się jego stałe miejsce w kącie, wreszcie usiadł na wysokim stołku i zanurzył wąsy w pianie. Przełykając ten pierwszy dzisiaj łyk dobrego pilznera, uspokajał się powoli. Przyspieszone tętno wracało do normy. Odrobina alkoholu przywracała klarowność jego myślom. Tutaj właśnie, pośród szmeru wielu nakładających się rozmów, brzęku szklanek i gulgotu dozowników nalewających napoje, czuł się znakomicie. Tu był bezpieczny, dobrze ukryty pośród dziesiątków zmieniających się co chwila twarzy, w samym środku miasta. Jak mały, mądry wąż w tropikalnej dżungli, wykorzystujący zdolność mimikry, przysłizgiwał się, nie dostrzegany ani przez wrogów, ani przez tych, dzięki którym mógł egzystować.

Zawsze wypijał tu swoje przedpołudniowe piwo, spokojny o to, że otrzymałby drugie i trzecie, a nawet czwarte, gdyby zechciał. Wypijał zresztą zwykle nie więcej niż dwa. Zbyt szanował swój jasny, bystry umysł (któremu zawdzięczał między innymi także to piwo), by mącić go sobie nadmierną dawką alkoholu. Jednak świadomość owej potencjalnej możliwości urżnięcia się w razie chęci, dawała mu szczególną satysfakcję. Świadomość ta była jednym z głównych elementów decydujących o poczuciu bezpieczeństwa w tym barze, w tym mieście i w ogóle na tej planecie.

Z doskonale odmierzoną powolnością odwracał czasem głowę na dźwięk brzę-

czyka oznajmiającego któremuś z klientów, że jego miesięczny limit — piwa czy czegoś tam innego — wyczerpał się na poprzedniej porcji. Czasem, gdy był w szczególnie dobrym nastroju, a gość podobał mu się na oko, Sneer zsuwał się powoli z wysokiego stołka w kącie (stałe miejsce w kącie też należało do elementów poczucia bezpieczeństwa: lubił mieć zabezpieczone tyły i jedną flankę), a więc zląził z tego stołka i odsuwał lekko na bok niedoszłego konsumenta, który zazwyczaj z głupawą miną gapił się w automat. Potem wkładał swój Klucz do otworu i dysponował dwa duże piwa. Otrzymywał je niezawodnie — w poniedziałek czy w sobotę, bez różnicy — i nonszalancko podsuwał jedno pod nos zaskoczonego gościa albo, trącając jednym kuflem o drugi, wznosił jakiś toast, ni w pięć, ni w dziewięć.

Dziś nie trzymały się go takie numery. Przy czwartym kuflu stwierdził, że nawet piwo mu nie smakuje. Czuł już w głowie lekki alkoholowy szmerek, a głosy wokół niego zaczynały zlewać się w jednorodny szum.

Odstawił nie dopitą szklankę i patrzył bezmyślnie poprzez witrynę na przelewający się potok przechodniów mijających bar. Był rozdrażniony, rozkojarzony i wściekły w najgorszy z możliwych sposobów, wściekły beznadziejnie, bo na siebie samego... O wiele łatwiej jest znieść największą nawet przykrość, gdy winą obciążyć można kogokolwiek oprócz siebie...

Jak ostatni kretyń! Jak skrajny szóstak! — myślał o sobie z obrzydzeniem. — Jak można było na to pozwolić, dać się podebrać w tak prymitywny sposób, złapać się na taki trick! Odkąd uprawiał swój zawód, a raczej proceder, wiedział dobrze, że od czasu do czasu ktoś tam, gdzieś tam wpada z tego czy innego powodu. Ale, jak dotychczas, były to przypadki sporadyczne. Wśród kolegów z branży krążyły o tym różne legendy i anegdoty. Taka wpadka to zawsze było coś, o czym opowiadało się długo potem. A tutaj — masz! Głupia, kretyńska sprawa...

Sneer jeszcze raz przebiegł pamięcią cały dzisiejszy ranek (jeśli tak można nazwać czas między dziesiątą, kiedy to wygrzebał się z łóżka, a dwunastą).

Dzień zaczął się normalnie. Obudził się w kabinie noclegowej średniej kategorii (przy jego zajęciu, posiadanie stałego mieszkania było niewskazane, a korzystanie z najlepszych hoteli mogło budzić podejrzenia), potem ruszył bez celu w kierunku śródmieścia, oglądając wystawy sklepów i nogi mijanych dziewczyn. Wstąpił do fryzjerni, ogolił się w automacie i wziął elektromasaż, by nadać swej czterdziestoletniej fizjonomii wygląd trzydziestolatka.

Nie miał dziś właściwie nic do roboty. Ostatni klient bardzo przyzwoicie wywiązał się ze swych płatności. Oznaczało to możliwość co najmniej miesięcznego nieróbstwa, ale Sneer nie lubił zbyt długo pauzować. Nie z chciwości bynajmniej, lecz z zamiłowania. Ten rodzaj zajęcia dawał mu — oprócz środków do wygodnego i w miarę dostatniego życia — pewien szczególnie typ przeżyć emocjonalnych, autentyczny dreszczyk emocji, o który niełatwo w tym uporządkowanym i niemal doskonale zorganizowanym świecie.

A więc, krótko mówiąc, wyszedł się przejść przed południem, wypić to swoje codzienne piwo na rogu Północnej i Ronda Saturna, potem miał jeszcze spotkać się z jednym, który był winien jakieś tam kilkadziesiąt punktów. Słowem, nic poważnego, żadnych niebezpiecznych operacji. Szedł rozluźniony, spokojny, czysty jak łąka, i nagle, niespodziewanie, ten facet. . .

To była niewątpliwie wina Sneera. Po prostu, zbyt był rozluźniony, zbyt beztroski, zbyt przyjaźnie nastawiony do świata i ludzi — i na chwilę zapomniał, że wśród tych ludzi, przyjaciół zawsze może się gdzieś tam wpasować jakaś menda, taki z cicha pęk kapuś, tajniaczek, inspektorek, tfu!

I w ogóle, nie wiadomo po co zatrzymał się przed witryną, w której wystawiono najnowsze modele mikrosystemów informatycznych. . .

Co jego, czwartaka, mogą obchodzić mikro. . . jakieś tam? Na tę jedną fatalną chwilę zamyślił się, zagapił, nie pilnował własnej podświadomości, pozwolił jej wypłynąć na wierzch, wybulgotać poprzez tę spokojną, gęstawą powłóczkę, którą się otoczył i z którą tak mu było dobrze!

W jaki sposób ten gnojek wyczuł ów moment roztargnienia? Czyżby tak doskonale wystudiowana, średnio tępawa mina, okazała się zbyt mądra? Mógł to być czysty przypadek, ale Sneer wiedział, że takie przypadki nie zdarzają się prawie nigdy. Ostatecznie, nie zaczepia się pierwszego z brzegu przechodnia, by z głupia frant zadać takie niby to niewinne pytanie. . .

To była niewątpliwie prowokacja, tylko dlaczego wymierzona właśnie w niego? Czyżby popełnił jakiś błąd? Może to skutek donosu któregoś z klientów? Nie! Sneer był zawsze bardzo ostrożny, klientów traktował poprawnie i nigdy nie brał się do wątpliwych spraw. Nigdy nie groził, nie szantażował, nie wymuszał. . . Co najwyżej, wycofywał się z interesów, czasem dopuszczał zwłokę w inkasowaniu honorarium albo nawet machał ręką na jakieś tam drobne wierzytelności.

Trudno przypuścić, by ktoś z klientów sypnął go z osobistych pobudek. Wszystkich miał w garści, a poza tym każdy z nich zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później może być zmuszony do ponownego skorzystania z raz nawiązanych kontaktów z fachowcem dużej klasy. Taka znajomość była bardzo cenna dla tych, co dzięki specom w rodzaju Sneera wspinali się wyżej czubka własnej głowy.

A jednak musiał być jakiś donos, anonim czy coś w tym rodzaju. Może ktoś z branży, konkurencja? To także mało prawdopodobne. Konkurencji praktycznie nie ma: klienteli pod dostatkiem, można przebierać. Sneer zaliczał siebie raczej do elity w zawodzie: brał tylko wysokie sprawy, stać go było na to. Niewielki przerób, wysokie honoraria, nigdy żadnej taniej masówki, partaniny dla ubogich. Nie podejmował się łatwizny, żadne tam „pięć na cztery”, czy nawet „cztery na trzy”. Operował zazwyczaj między trójką a jedynką. Jedna, dwie sprawy w miesiącu — i dosyć. Nie należało ryzykować zbyt często, wystawiać gęby na pokaz, popadać w rutynę. Sneer wolał opracowywać każdą sprawę indywidualnie, pomału, z roz-

wagą i inwencją. Był dumny z tego, że rzadko powtarza te same chwytły. Czuł się artystą, nie jakimś tam rzemieślnikiem.

Dzisiejszy przypadek rozstroił go zupełnie. Nie poszedł na spotkanie z dłużnikiem, nie dopił ostatniej szklanki piwa.

Cholera wie, co z tego wyniknie — myślał, wciąż rozpamiętując wydarzenie sprzed godziny. — Co on może z tym zrobić? Nie powiedział ani słowa, tylko obejrzał Klucz, coś zapisał, podziękował grzecznie — i poszedł... Może trzeba było pójść za nim, zaproponować coś...

Sneera stać było na kupienie całego pęczka takich małych szczyli — agencjó-ków, ale każda próba dania takiemu w Klucz byłaby równoznaczna z przyznaniem się do czegoś... A wówczas to już zupełnie nie wiadomo, co taki robi. Może lepszy oficjalny tok sprawy, niż szantaż...

Za dobrze mi było, za dobrze szło... — dumał, wychodząc z baru. — Coś podobnego zawsze spotyka człowieka w zupełnie nieoczekiwanym momencie i ze strony, z której najmniej się tego spodziewa.

Rozglądał się odruchowo, jakby z obawy, że już po niego idą, choć doskonale wiedział, że to niemożliwe.

Teraz na pewno wezwą mnie na weryfikację — rozmyślał, idąc skrajem ulicy i nie patrząc już nawet na nogi mijanych dziewczyn. — Żegnaj, słodkie życie! Wlepią trójkę, jak nic... Gdzie tam trójkę! — zreflektował się po chwili. — Dobrze będzie, jeśli nie wyniuchają całej prawdy...

Zbyt dokładnie znał metody badań, by spodziewać się, że zdoła ukryć swą tajemnicę. Co innego normalna sprawa, co innego taka podejrzana weryfikacja.

Ciekawe, co mi każą robić? — zastanawiał się rozpatrując już najgorszą z możliwych sytuacji. Wyobraził to sobie dość wyraźnie. Skrzywił się na samą myśl o codziennym wstawaniu o siódmej, o bieganiu na kilka godzin do jednego z tych paskudnych gmachów... albo gorzej jeszcze...

Tyrałbym jak osioł, nie zarabiając nawet połowy tego, co mam teraz. Nie, mowy nie ma, do diabła! Nie można do tego dopuścić!

Najbardziej ze wszystkiego drażniło go jednak to, że wpadł tak głupio — on, zerowiec, a nadto we własnym przekonaniu i zdaniem towarzyszy w sztuce, jeden z najlepszych lifterów w całej aglomeracji... Dać się nakryć, i to zupełnie na luzie, nie podczas pełnienia czynności zawodowych — to pachniało hańbą, rzucało cień na cały lifterski klan...

Przemierzał ulice, nie widząc i nie słysząc niczego wokoło. Szukał w pamięci tej jednej, fatalnej chwili, w której popełnił błąd; bo teraz nie wątpił już, że musiał ten błąd popełnić. Ten gliniarz po prostu tam czekał, na niego właśnie. Najwyraźniej zasadził się na normalnej, codziennej trasie Sneera, jak dawni myśliwi przy ścieżce, którą zwierzyna zwykła zdążać do wodopoju.

Sneer musiał przyznać, że chwyt był skuteczny, choć kretyńsko prosty. Czyżby policja postanowiła dobrać się wreszcie lifterom do skóry i Sneer padł ofiarą

nowych metod?

Dlaczego właśnie ja? — pytał sam siebie zupełnie bez sensu, i żeby się pocieszyć odpowiadał sobie: — Dlatego, bo jestem kimś, kto się liczy, nie jakimś tam drobnym windziarzem. Gdyby zaczęli od tych z dołu, być może odnieśliby sukces ilościowy, ale nałowiliby płotek, a grubsze ryby zostałyby ostrzeżone. Chwytając takiego jak ja, liczą na zastraszenie pozostałych. . .

Ktoś trącił go w ramię. Obejrzał się, może trochę zbyt nerwowo, lecz nie zwalnając kroku.

— Mam coś dla ciebie — powiedział półgłosem tłusty, łysawy człowieczek, sunąc o krok za Sneerem.

Znał go. Tak, to ten, no, jak mu tam, Prom? Nie, Pron! Drobnym lifciarz z dolnych klas, wyciągający jakichś tam szóstaków i piątaków. Zupełna miernota. Sneer w zasadzie nie zadawał się z takimi. Ale ten czasem dostarczał dobrych klientów.

— Mam robotę trzy na dwa. Sam bym zrobił, ale to dla mnie trochę za wysoko, a dla ciebie pestka. Obiecujący facet.

— Ile? — spytał Sneer machinalnie, lecz natychmiast przypomniał sobie, że go to nic a nic nie obchodzi, przynajmniej teraz.

— Dwie setki!

— W żółtych?

— W żółciusieńkich.

— Nieźle. Ale nie wezmę.

Dwie setki to rzeczywiście było sporo, a nawet bardzo dużo — szczególnie, że wszystko w żółtych. Sneer wyobraził sobie ten nie kończący się szereg kufli z bursztynową zawartością, który można by za to dostać.

— Jak to? — Pron aż się zatrzymał, a potem dodreptał do sunącego nieustannie naprzód Sneera i uczeplił się jego łokcia. — Co ty? . . . Urlop wzięłeś?

— A dajże mi spokój, do cholery. . . — Sneer zawahał się. — Drapnęli mnie i pewnie zwiną lada moment — dodał po chwili.

— Ciebie?

Ton, jakim to było powiedziane, oraz okrągłość wywalonych gał Prona polechtały próżność Sneera. Przez chwilę odczuwał wdzięczność dla obleśnego typa za ten odruch zdumienia, świadczący, że wpadka Sneera była w jego pojęciu czymś najzupełniej nie wchodzącym w rachubę.

— Mnie! — przytaknął z gestem mówiącym: „no i co takiego? Nawet najlepszym się zdarza!”

— Przy pracy?

— Żeby to! Zupełnie głupio, na ulicy. Jedna zbyt mądra odpowiedź na głupie pytanie.

— I ty nazywasz to wpadką? — Pron lekceważąco wzruszył ramionami.

— Spisał mnie.

— No, to co takiego?

— Jak to „co?” Przecież to jasne: kiedy się zgłoszę do przekodowania Klucza, poślą mnie na weryfikację i tak przemaglują, że...

— Do końca miesiąca masz kupę czasu. Coś się poradzi.

— Nic nie poradysz. Za późno — westchnął Sneer z rezygnacją.

— Późnawo, ale nie za późno. Bywało gorzej — powiedział Pron pogodnie. — Sam miewałem różne kłopoty, a prosperuję, Bogu dzięki, siódmy rok w zawodzie. Kto cię spisał?

— Jakiś młody. Tajniak.

— Najskuteczniejszy sposób już przepadł.

— Jaki?

— Stuknąć, od ręki. Pewnie nawet nie poszedłeś za nim?

Otóż to. Tu właśnie tkwiła różnica między gnojkami z niższych klas a elitą, do której należał Sneer. Dla tamtych „stuknąć” było wyjściem oczywistym, które Sneerowi nawet by na myśl nie przyszło. Tak było zresztą zawsze. Dawniej, w epoce banków i kas pancernych, żaden poważny, liczący się kasiarz też nie tykał mokrej roboty, a byle doliniarz bez skrupułów ciął mojką po oczach.

— Dwa tygodnie to kupa czasu. Coś ci wykombinuję, a ty mi za to zrób małą grzeczność: weź tego za dwie setki. Szczerze mówiąc odpalił mi parę punktów zaliczkowo, bo mu obiecałem umówić najlepszego fachowca. Liczyłem na ciebie. Przecież mnie znasz. Nigdy cię w maliny nie wpuściłem, nie? No, to jak będzie?

— A, niech tam. Dawaj go. Za godzinę będę w hallu hotelu „Kosmos” — zgodził się Sneer.

— Dzięki. On będzie tam o drugiej. A o twojej sprawie pomyślę. Trzeba sobie pomagać, jeśli zaczynają się nam kręcić koła tyłków.

Myśl, myśl, bracie. Swoją główką czwartej klasy niewiele wydumasz. A mnie nie zaszkodzi mieć trochę oszczędności na ciężkie czasy. Co na Kluczu, to moje. Nawet, jeśli zweryfikują i przeklasyfikują, to i tak muszą wszystko przelać, co do punktu. Chyba że udowodnią lifting... Wtedy gorzej, dużo gorzej. Ale dowodów nie mają. Co najwyżej, skarżą za świadome i umyślne zatajenie rzeczywistej klasy. Albo i to nie, bo chyba nie ma takiego paragrafu...

Pron skręcił w kolejną przecznicę. Patrząc za nim Sneer zastanawiał się, jaką klasę ma naprawdę ten drobny cwaniak. W lifterskim *savoir-vivre* pytanie o takie sprawy było dużym nietaktem. Sneer kierował się powoli w stronę hotelu „Kosmos”. Z klientem miał się spotkać dopiero za godzinę. Należało to do zawodowego rytuału: klient nie powinien odnieść wrażenia, że lifter jest w każdej chwili gotów do usług. W rezultacie nie bardzo jeszcze wiedział, co zrobi z tą godziną czasu.

Snując się bocznymi ulicami śródmieścia spostrzegł nagle znajomą twarz. Kolega sprzed lat, chyba ze studiów. Nawet dobry kolega. Mimo oporów tamtego po chwili siedzieli już w małym bistro na rogu. Sneer czuł potrzebę pogadania z kimś,

oderwania się od złych myśli dzisiejszego dnia. Tu dopiero kolega zdradził przyczynę swej powściągliwości.

— Nie mam żółtych — wyznał szczerze przed automatem z piwem.

— Drobiazg. To ja zapraszałem — uśmiechnął się Sneer.

Usiedli z kufkami przy stoliku w kącie. Sneer patrzył przyjaźnie na kolegę. Przypomniły mu się te dobre czasy sprzed dwudziestu prawie lat.

— Co u ciebie, Matt? — zagadnął, ale już po chwili żałował tego zdawkowego pytania. Nie zadaje się takich pytań człowiekowi, który nie ma żółtych na piwo.

— Jak widzisz. Średnio! — Matt nie robił przy tym tragicznych min, co Sneera jeszcze lepiej do niego usposobiło. — Właśnie wracam z testu. Nie udało mi się.

— Co chciałeś dostać?

— Startowałem na trójkę, ale...

— Po cholere ci trójka?

— Żeby dostać pracę. Chcę nareszcie coś robić!

Sneer pokręcił głową w milczeniu. Że też ludzie nie mają większych problemów!

— To znaczy, że nic nie robisz!

— Nic. A ty?

— Też mam czwórkę. Ale, jak widzisz, nie narzekam.

Matt patrzył w kufel.

— Rozumiesz coś z tego wszystkiego? — powiedział nagle, półgłosem, rozglądając się dokoła. — Bo ja już się zgubiłem.

Sneer nie lubił rozmawiać o polityce, szczególnie w publicznych lokalach. Jednak kolega najwyraźniej potrzebował wsparcia. Może bardziej niż on, Sneer, w dzisiejszym fatalnym dniu.

— Wszystko jest w porządku, Matt — powiedział. — Tak miało być i tak jest. Zgodnie z założeniami.

— To, że większość ludzi nic nie robi?

— Przecież zawsze o to chodziło! Od najdawniejszych czasów ludzie próbowali przerzucić wysiłek fizyczny na zwierzęta, na maszyny... Potem wysiłek umysłowy na komputery, systemy informatyczne... No, i prawie się udało! Jeśli ktoś jeszcze musi tym kierować, ulepszać, to przecież powinni to robić najlepsi. Dla innych nie pozostaje nic do roboty.

— Ta cholerna klasyfikacja... — mruknął Matt. — Czy to potrzebne?

— Posłuchaj. — Sneer usiadł wygodnie, zapalił. — Jeśli nie przemawiają do ciebie oficjalne artykuły prasowe, ja ci to wyjaśnię prościej. Jest kilka podstawowych cech, jakie winno posiadać idealne społeczeństwo. Jasne, że nigdy się nie osiągnie ideału. Ale należy zbliżyć się do niego maksymalnie. Pierwsza rzecz to równe szansę. A więc powszechny dostęp do wykształcenia. Ten warunek spełniliśmy. Mamy powszechne wyższe wykształcenie. Dawniej się mówiło: trzeba mieć „papierek”, reszta nieważna. Kto miał ten „papierek”, miał większe szansę.

Kto go nie miał, pozostawał z poczuciem, że ten brak decyduje o wszelkich niepowodzeniach. Usunięto to źródło społecznej frustracji. Wprowadzono powszechne wyższe studia. Obowiązkowe! A jeśli miały stać się obowiązkowe, trzeba było umożliwić każdemu ich ukończenie. Umożliwić to znaczy dostosować poziom wymagań do poziomu studentów. Teraz już nikt nie powie, że nie dano mu szansy. Cóż dalej? Druga drażliwa sprawa to zarobki. Próbowano różnie. Dawanie „według potrzeb” to nieosiągalny ideał. Potrzeby są nieograniczone, rosną w miarę ich zaspokajania. A środki na to są zawsze skończone i ograniczone. Dawanie „według pracy”, owszem, to dobra zasada. Ale zastosować ją w całej rozciągłości można tylko wówczas, gdy wszyscy mają pracę. Można jeszcze dawać wszystkim po równo. Też nieźle, ale niezupełnie sprawiedliwie, a ponadto powoduje to powstawanie różnych niepożądanych antybodźców. W naszym społeczeństwie realizuje się pewien szczególnie „cocktail” tych różnych zasad podziału, przy równoczesnym zróżnicowaniu wymagań. Wymagamy od obywateli tym więcej, im wyższy jest ich poziom możliwości umysłowych, zdolności, aktywności intelektualnej. Gdy wszyscy mają równe wykształcenie, jedyną metodą określenia owego poziomu przydatności intelektualnej jest powszechna klasyfikacja przy użyciu systemu testów. Stąd siedem klas przydatności, od zera do szóstki. Każdy może być powołany do pracy, aczkolwiek, jak wiemy, w praktyce potrzebni są tylko ci, którzy mieszczą się między zerem a trójką. Z podziałem dóbr sprawa jest bardziej skomplikowana, lecz, przyznasz, rozwiązano ją niezwykle zmyślnie. Wedle zasady: „każdemu po równo”, każdy, niezależnie od klasy, dostaje tyle samo czerwonych punktów miesięcznie. Obojętne, czy pracuje, czy nie, bo to nie od niego zależy. Według zasady „każdemu według jego możliwości” obywatele otrzymują dodatkowo punkty zielone. Tym więcej, im wyższą klasę intelektu reprezentują. Stwarza to bodziec do zwiększenia swych możliwości, do osiągnięcia wyższych klas, a więc do zwiększania swej potencjalnej przydatności społecznej. Liczba zielonych nie zależy od tego, czy się pracuje czy nie. Premiowana jest gotowość i odpowiedni poziom przydatności do pracy. A w końcu ci, którzy pracują, wynagradzani są dodatkowo, wedle zasady: „każdemu według jego pracy”, punktami żółtymi. Muszą przecież mieć jakiś bodziec do wydajnego działania. Ot, i masz w skrócie nasz doskonały system społeczno-ekonomiczny. Nikt nie zostaje bez środków do życia, jeśli nawet nie ma dla niego pracy i jeśli natura nie obdarzyła go najwyższego lotu intelektem. . .

— Ładnie to przedstawiłeś — powiedział Matt cierpko. — Należy jeszcze tylko dodać, że za czerwone punkty można dostać jedynie podstawowe środki do życia: niezbędną odzież, najprostsze pożywienie i skromne mieszkanie. . .

— Zgoda, i zupełnie słusznie — wtrącił Sneer ironicznie. — Ponadto każdy, w zależności od klasy, dostaje mniej lub więcej punktów zielonych, za które ma prawo nabyć nieco bardziej wyszukane artykuły: naturalne tworzywa, prawdziwą szynkę. . . A ci, którzy wydajnie pracują, mogą za swoje żółte punkty dostać

różne luksusy, a wśród nich dobre piwo... Czy nie uważasz, że wszystko jest w porządku?

Matt patrzył na Sneera wciąż nie mogąc odgadnąć, czy ten broni z przekonaniem przedstawionego systemu społecznego, czy kpi sobie z niego.

— A ty, jak uważasz? — spytał wprost.

— Mnie jest z tym wygodnie — powiedział Sneer, dopijając piwo.

— Nie rozumiem, skąd masz żółte, jeśli nie pracujesz — stwierdził nagle Matt.

Takie pytanie było dopuszczalne jedynie między bardzo zażyłymi przyjaciółmi, ale Sneer nie zamierzał się obrażać.

— Przecież wiesz, że można prywatnie wymienić zielone na żółte...

— Po kursie czarnorynkowym?

— Jasne. Nawet czerwone na żółte też czasem się udaje, chociaż to bardzo drogo wypada.

— Ale... to nie jest dozwolone...

— ...ani też nie zabronione. Przecież nikogo to nie obchodzi. Są legalne automaty rozliczeniowe, w których możesz przepisać dowolną liczbę dowolnych punktów z jednego Klucza na drugi.

— Ale... — Matt zawahał się chwilę, potem ściszył głos — ...ty przecież nie kupujesz żółtych punktów na czarnym rynku?

— Zgadłeś! — zaśmiał się Sneer. — Trzeba mieć tutaj zero — wskazał swoją głowę. — A tutaj — dodał wydobywając swój Klucz — co najwyżej czwórkę. Tyle ci mogę powiedzieć, bo nie jesteś kapuś.

— Skąd wiesz? — uśmiechnął się Matt.

— Stąd, że nie masz na piwo.

— Masz rację. To dość przekonujące kryterium — zaśmiał się Matt gorzko.

— Tylko donosiciele zawsze znajdują zajęcie, niezależnie od posiadanej klasy.

— Policja musi mieć informatorów we wszystkich środowiskach. Ale czasem taki tajniak udaje tylko szóstaka. Ma nawet Klucz z szóstką, a naprawdę jest dużo lepszy.

— Ty masz czwórkę — mruknął Matt.

— Nie, nie! — Sneer poklepał uspokajająco dłoń kolegi. — Bądź spokojny. Jestem dokładnie po drugiej stronie. Sam też mam właśnie kłopoty. Ale kiedy z nich wyjdę, zrobię coś dla ciebie.

— Co możesz zrobić? Z czwórką nie dostanę żadnego etatu.

— To już moje zmartwienie, Matt.

— W porządku. Jeśli to będzie czysta sprawa, będę ci wdzięczny. Byle nie jakieś tam konszachty z policją.

— Mówiłem ci, że jestem po drugiej stronie. Wierzę, że zasługujesz na lepszą klasę niż czwórka, a więc, wedle mojego sumienia, sprawa będzie czysta.

— Powiem ci coś... — Matt zawahał się i milczał przez chwilę, patrząc w blat stolika. — Ja naprawdę mam co najmniej dwójkę. Miałem ją nawet. Tylko że...

była taka sprawa... Po prostu, proponowali mi coś, odmówiłem i teraz mam trudności.

— Krótko mówiąc, nie chciałeś kapować? Kiedy to było?

— Ze trzy lata temu. Skradziono mi Klucz. Zgłosiłem stratę, znalazł się po jakimś czasie, ale rozbebeszony. Oskarżyli mnie o próbę rozpracowania Klucza i dali do zrozumienia, że zatuszują sprawę pod pewnymi warunkami. Obiecywali nawet zaszeregować mnie o klasę wyżej. Powiedziałem, że nie chcę ani jedynki, ani tej roboty. Wtedy zrobili mi weryfikację i spadłem do czwórki.

— Ciekawe! — Sneer pokręcił głową z niedowierzaniem. — Nie spotkałem się z czymś podobnym. Testy są zwykle przeprowadzane przez maszynę. Obsługa nie ingeruje...

— W normalnych warunkach istotnie tak jest...

Sneer zamyślił się. Jeśli zdarzają się podobne historie, to sprawy zaczynają wyglądać niewesoło.

— Zawsze wydawało mi się, że w tym świecie panuje przyzwoity, komputerowo obiektywny porządek. Władza nie zajmuje się pojedynczym obywatelem. Sterowaniu podlegają procesy dotyczące zbiorowości, nie jednostki... Wszystko potwierdzało taki pogląd. Od lat korzystam z tej sytuacji. Ale widocznie czasem bywa tak, jak w twoim przypadku... To oznacza naruszenie wolności osobistej. Ustalony porządek społeczny, panujący w Argolandzie, gwarantował zawsze wolność jednostkom...

— Wolność? — parsknął Matt, krztusząc się piwem. — To jest wolność? Człowieku, w jakim świecie żyjesz? Żółte punkty przesłaniają ci wzrok, czy co? Nie wiem, czym się na co dzień zajmujesz, ale chyba powinieneś dostrzegać tę prostą relację pomiędzy porządkiem i wolnością: one nie mogą współistnieć! Jeśli wolność jest realnym faktem, to porządek jest tylko pozorny, i vice versa! Taka sama sytuacja jak w przypadku równości i sprawiedliwości, o których wspominałeś: równy podział nigdy nie będzie sprawiedliwy, i odwrotnie. Zastanów się nad tym.

— Coś w tym jest, Matt... Jak powiedziałem, mnie jest wygodnie w istniejącej sytuacji. Przynajmniej dotychczas tak było. Wierzę, że nie wszystkim jest z tym dobrze... To nawet oczywiste. Mam szczególne zajęcie. Można powiedzieć, że mój zawód jest chorobliwym wykwitem systemu społecznego Argolandu. Albo... może jest on logiczną koniecznością tego systemu...

Zamilkł, rozglądając się po niewielkim wnętrzu piwiarni. Przy sąsiednim stoliku trzech podpitych mężczyzn prowadziło ożywioną rozmowę. Nie trzeba było długo słuchać, by nabrać pewności, że to szóstacy. Po drugiej stronie, samotnie kiwał się nad kuflem jakiś młody człowiek. Sneer złowił jego bystre spojrzenie, zbyt przytomne jak na pijanego.

— Czym się zajmujesz? — spytał Matt półgłosem. — Jeśli możesz powiedzieć...

— Mogę. Ale nie tutaj — mruknął Sneer, nie spuszczać oka z faceta przy

stoliku obok. — Jak tylko ureguluję swoje sprawy, zrobię coś dla ciebie! Trzy lata, to sporo czasu. Może już nie będą się czepiać.

— Próbowałem dziś zrobić trójkę. Wydawało mi się, że test był specjalnie spreparowany. Albo wyniki oceniono według zaostrzonych kryteriów.

— Pomyślmy, co da się zrobić. Mam tu i ówdzie paru ważnych facetów, którzy mi trochę mają do zawdzięczenia. Jeśli nie przekonamy maszyny, to spróbujemy przekonać jej operatorów. . . Zapisz mi swój telefon.

* * *

Drogeria mieściła się przy bocznej uliczce, pustej i ocienionej ścianami wysokich wieżowców.

Za szybą drzwi wejściowych wisiała tabliczka z napisem: „Przepraszamy, nieczynne. Awaria zasilania”. Karl pchnął drzwi. Nie były zamknięte. W głębi sklepu dostrzegł dwie osoby: dziewczynę, manipulującą we wnętrzu automatu z otwartą płytą czołową oraz mężczyznę, stojącego przed innym automatem.

— Nieczynne, proszę pana! — burknęła dziewczyna, przelotnie spojrzawszy na Karla, nie przerywając dłubania w obwodach automatu.

— Bardzo mi potrzebne ostrza do golenia marki „Atra Super Double Edge” — powiedział Karl.

— W porządku! — Dziewczyna podeszła do drzwi wejściowych i zamknęła je na zasuwkę, opuściła żaluzje w oknie wystawowym, a następnie zniknęła na zapleczu sklepu.

Teraz dopiero mężczyzna stojący przed automatem z kosmetykami odwrócił się w stronę Karla. Górną połowę jego twarzy maskowały ogromne okulary słoneczne, dolną zaś — obfity, gęsty zarost.

— Cześć, Pron! — powiedział podnosząc dłoń gestem przyjaznego powitania. — Siadaj i posłuchaj.

Karl usiadł na wyściełanym taborecie, brodacz stał dalej, piecami wsparty o automat pełen kolorowych pudełeczek i flakonów, widocznych za szybkami podajników. Milczał z minutę, mierząc Karla spojrzeniem spoza okularów.

— Sprawa jest prosta, Pron — powiedział wreszcie, uśmiechając się samymi ustami, co było ledwie widoczne pomiędzy gęstą brodą i sumiastym wąsem. — Mam tutaj Klucz, personalizowany na ciebie. Jest na nim numer twojego konta i wszystkie dane osobowe, a czujnik linii papilarnych jest przystosowany do twoich palców. To duplikat twojego legalnego Klucza i możesz posługiwać się nim podobnie jak swoim. Z kilkoma jednakże zastrzeżeniami. Musisz słuchać uważnie i zapamiętać, a przede wszystkim zrozumieć zasadę tego. . . hm. . . eksperymentu.

Karl przełknął ślinę i dwukrotnie kiwnął głową na znak, że jest gotów słuchać z całą uwagą.

— Nie będę wyjaśniał ci szczegółów technicznych, bo i tak nie zrozumiesz, a zresztą... nie musisz ich znać. Jesteś z wykształcenia ekonomistą, więc będę operował terminami z zakresu bankowości i finansów, które nie powinny być ci obce. Jak wiesz, istnieją dwie grupy automatów przeznaczonych do dokonywania transakcji punktowych przy użyciu Kluczy: do pierwszej należą automaty do drobnych transakcji: sprzedające gazety, papierosy, a także bramki wejściowe do metra, do kina i tak dalej. Słowem te, w których wydatkuje się drobne sumy punktów, nie dające możliwości większych nadużyć. Do grupy tej należą również automaty rozliczeniowe, to znaczy te, w których punkty z Klucza jednego obywatela mogą być przepisane na Klucz innego. Tutaj też nie zachodzi możliwość nadużyć na szkodę społeczeństwa, bo żaden towar nie zostaje wydany w prywatne ręce. Wszystkie automaty tej grupy działają w sposób bardzo prosty. Przy zakupie, gdy wprowadzasz swój Klucz do otworu automatu, on czyta stan rejestrów punktowych zapisany w Kluczu, czyli, innymi słowy, sprawdza, czy masz pokrycie na dokonanie transakcji. Z chwilą, kiedy dotykasz właściwego sensora na płycie automatu, żądając wydania określonego towaru, automat odejmuje od sumy figurującej w odpowiednim, powiedzmy, żółtym rejestrze punktowym Klucza kwotę należności, zapisuje tę należność w innym pomocniczym rejestrze obrotów bieżących twojego Klucza i dopisuje do tej pozycji, wciąż tylko w twoim Kluczu, numer identyfikacyjny automatu, w którym dokonano zakupu. Zapamiętaj, bo to bardzo ważne: automat nie kontaktuje się z Bankiem, nie sprawdza zgodności stanu punktowego na Kluczu ze stanem twojego konta zapisanym w Banku. Przyjmuje niejako „na wiarę”, że stan Klucza jest prawdziwy. Również, i to też bardzo ważne, automat nie zapisuje „u siebie” numeru Klucza, z którym odbyła się transakcja. Jedyne więc ślad dokonanego zakupu zostaje na twoim Kluczu i polega na przeliczeniu części punktów z rejestru głównego do bieżących obrotów oraz na zapisaniu numeru automatu, w którym dokonałeś zakupu. Podobnie ma się sprawa przy osobistych rozliczeniach: na Kluczu dawcy zmniejsza się stan rejestru głównego, w rejestrze bieżących obrotów pojawia się jako rozchód przełana kwota, a także numer Klucza, na który dokonano przelewu. Klucz biorcy rejestruje odpowiednio przychód i numer dawcy. Czy jest to dla ciebie jasne?

— Oczywiście, znam to wszystko! — potwierdził Karl skwapliwie.

— Bardzo dobrze. Wobec tego powiedz, jak odbywa się podobna operacja w drugiej grupie automatów, tych z droższymi towarami? Wybacz, że cię egzaminuję, ale sprawa wymaga znajomości podstawowych rzeczy, więc... rozumiesz...

— Hm... — Karl odchrząknął. — Więc te drugie mają bezpośrednie połączenie z Bankiem. Kiedy wkładam Klucz do szczeliny, automat czyta stan rejestru głównego i sprawdza, czy jest on zgodny ze stanem zapisanym w Banku.

Jeśli w okresie od ostatniego takiego sprawdzenia nastąpiła zmiana na Kluczu, bo na przykład dostałem od kogoś prywatnie parę punktów lub kupiłem papierosy, o czym Bank jeszcze nie wie, to wówczas komputer Banku sprawdza rejestr pomocniczy mojego Klucza, notuje transakcje na moim koncie i zapisuje u siebie nowy stan konta. Jeśli natomiast wpłynęła na moje konto w Banku jakaś kwota, której nie mam jeszcze zapisanej w Kluczu (na przykład miesięczna wypłata), to wówczas Bank przy okazji dopisuje ją w moim Kluczu, tkwiącym w automacie. W ten sposób stan Klucza i konta w Banku zostaje uzgodniony i potwierdzony. Dopiero teraz mogę wybrać i otrzymać towar z automatu.

— Świetnie! — pochwalił brodacza. — I ty jesteś tylko czwartakiem?

— Tak naprawdę, to... mam pewnie klasę gdzieś około trójki... — uśmiechnął się Karl.

— Aa! Rozumiem! — uśmiechnął się tamten. — Liftujesz?

— Trochę, tak... Ale ostatnio, zgodnie z instrukcją, nie robiłem niczego z tych rzeczy...

— W porządku. Więc, wracając do naszych operacji kluczowo-bankowych... Kiedy już dokonałeś zakupu, automat handlowy... zwróć uwagę na ten szczegół: sam automat, nie Bank, odpisuje z głównego rejestru twojego Klucza kwotę należności i wpisuje ją do rejestru obrotów bieżących Klucza razem ze swoim numerem identyfikacyjnym. Dzieje się tak dlatego, że operacja zakupu może zawierać kilka pozycji. Z tego samego automatu możesz czasem brać kilka różnych rzeczy albo tę samą rzecz w kilku egzemplarzach. Łączy się przeciążone, więc dopóki operacja zakupów nie jest zakończona, nie ma sensu przekazywanie do Banku osobno każdej pozycji. I teraz następuje ostatni krok operacji: wyciągasz Klucz z otworu automatu. Dopiero w tym momencie, podczas tego ruchu Klucza w otworze, nowy stan twojego konta, wydane kwoty oraz numer automatu, w którym dokonałeś zakupu, zostają przekazane do Banku! Po wyjęciu Klucza masz teraz pewną nową kwotę na głównym rejestrze Klucza i ten sam zapis figuruje w Banku, a rejestr obrotów bieżących na Kluczu zostaje pusty. Tak wygląda to wszystko w przypadku twojego legalnego Klucza. W tym natomiast, który zrobiliśmy dla ciebie — brodacza uśmiechnął się szeroko — wprowadzono pewną drobną modyfikację. Stan rejestru głównego ulega wprawdzie zmianie przy każdej operacji płatniczej, a kwota wydatkowana i numer automatu zostają zapisane w rejestrze bieżącym, lecz stan taki jest niestabilny! Po upływie kilku mikrosekund, i to jest właśnie nasz wynalazek, stan rejestru obrotów bieżących zostaje wyzerowany, a stan rejestru głównego wraca do pewnej stałej wartości, uprzednio zaprogramowanej. Znika też oczywiście z Klucza numer automatu, w którym dokonywano transakcji! Rozumiesz? Dodaliśmy do Klucza maleńki element scalony, mikrokalulator, który sam wykonuje tę dodatkową operację w czasie między odpisaniem należności przez automat handlowy a wyjęciem Klucza z automatu! W ten sposób do Banku trafia informacja, że... klient rozmyślił się, niczego nie kupił i wycią-

gnął Klucz z otworu zdawczego! Jeśli prześledzisz wszystkie operacje po kolei z uwzględnieniem tej drobnej zmiany, to zauważysz, jakie cudowne, wręcz bajkowe właściwości ma nasz znakomity Klucz: nie dość, że sam zawiera zawsze tyle samo punktów, to jeszcze utrzymuje zapis bankowy w takim samym stanie, niezależnie od dokonywanych zakupów. Operacje rozchodowe i numery automatów, gdzie kupowałeś, nie są nigdzie notowane. Możesz czerpać, ile chcesz!

— To rzeczywiście jak w tej bajce z cudowną sakiewką! — potaknął Karl z podziwem.

— Właśnie. Analogia jest jeszcze właściwsza, niż myślisz. Czy pamiętasz, jak było w tej bajce? Ten, kto miał sakiewkę, mógł z niej czerpać, ile chciał, ale nie wolno mu było ani grosza dać drugiemu człowiekowi, bo wtedy sakiewka przestałaby obdarzać swojego właściciela! Tu jest podobnie! Gdybyś bowiem chciał, na przykład, dać komuś sto złotych w prezencie, to wówczas...

— Rozumiem! — Karl pokiwał głową. — Wprawdzie automat rozliczeniowy zapisze to na Kluczu biorcy wraz z numerem mojego Klucza, ale... na moim Kluczu zapis darowizny i numer biorcy znikną, nim wyjmę Klucz z automatu! Przy najbliższych użyciach obu Kluczy w automacie handlowym Bank porówna oba konta i stwierdzi, że jednemu przybyło, a drugiemu... nie ubyło!

— Chyba naprawdę jesteś trojakiem! — zaśmiał się brodac. — Bystry z ciebie facet. Oczywiście, że nie można nikomu podarować punktów, które... nie istnieją. Taka operacja pociągnęłaby za sobą natychmiastowe zamknięcie obu kont i konieczność przedstawienia obu Kluczy do kontroli. A do tego nie wolno dopuścić. Podobnie zresztą stałoby się w przypadku, gdybyś to ty brał punkty od kogoś innego. Wtedy jemu by ubyło, a tobie nie przybyło i Bank też wyłapałby wcześniej czy później tę niezgodność.

— A co... z wpłatami dokonywanymi bezpośrednio na konto bankowe?

— Nie może być żadnych wpłat! Dlatego właśnie potrzebowaliśmy kogoś, kto nie pracuje i nie dostaje złotych. Nasza modyfikacja dotyczy tylko złotych rejestrów Klucza. Stan złotych w Banku i na Kluczu musi być wciąż, niezmiennie ten sam i taki sam.

— Jaki?

— To zależy wyłącznie od nas. Może to być na przykład tysiąc złotych... Możesz operować tym Kluczem zupełnie dowolnie, jak legalnym, w zakresie czerwonych i zielonych punktów. Tylko złotych dotyczy nasza modyfikacja i wynikające z niej zakazy niedozwolonych operacji.

— To znaczy: kupuj, co chcesz, bez ograniczeń, ale nikomu ani złotego, i od nikogo żadnych złotych. No, i Boże broń, nie wolno pracować i zarabiać złotych punktów.

— Dokładnie tak. Z tym, że najdroższy jednorazowy sprawunek nie może przekraczać kwoty, na jaką nastawiony jest główny rejestr Klucza.

— A... ile to będzie? — spytał Karl nieśmiało.

W marzeniach już widział siebie za sterem własnego jachtu albo za kierownicą własnego, osobistego samochodu. Wprawdzie jedno i drugie można było — mając żółte — bez ograniczeń, codziennie wynająć na godziny, ale to już nie to, co mieć własne. Na własne jachty i motorówki stać było tylko nielicznych. Ceny celowo zawyżono, by uniknąć nadmiernego tłoku na szosach i jeziorze, a zwłaszcza — na parkingach i przystaniach.

— Na pewno ci wystarczy! — uśmiechnął się brodaty. — Zobaczysz, jak dostaniesz. A teraz weź swój Klucz i chodź tutaj.

Karl poszedł za brodaczem do małego automatu w kącie. Był to automat rozliczeniowy.

— Musimy najpierw opróżnić dokładnie twoje konto w Banku. Nasz nowy Klucz ma wszędzie same zera, z wyjątkiem oczywiście rejestru głównego żółtych, gdzie ma na stałe wpisaną pewną kwotę, która, jak ten wielokrotnie sprzedawany pies ze starego dowcipu, zawsze wraca do właściciela. Musimy spowodować, by taka sama kwota żółtych znalazła się na twoim koncie w Banku. Użyjemy w tym celu twojego legalnego Klucza. Włóż go najpierw tutaj, do otworu zdawczego. Najprościej będzie, jeśli oddasz mi wszystkie punkty, jakie masz na wszystkich rejestrach, zielone i czerwone także.

Brodacz włożył swój Klucz do otworu odbiorczego. Karl zawahał się na moment. To głupio oddawać tak do ostatniego punktu wszystko, co się ma. Opanował jednak ten odruch ostrożności. Przecież oni dali mu tyle żółtych do wydawania przez ubiegły tydzień, że trudno ich posądzać, by czyhali na parę nędznych punktów, które mu zostały. Szybko sprawdził stan rejestrów Klucza i wystukał odpowiednie kwoty na czerwonej, zielonej i żółtej klawiaturze automatu.

— No, i już. Jesteś golutki jak noworodek — powiedział brodaty dobrodusznie. — Teraz jeszcze sprawdź, czy ci czegoś tam nie dopisali w Banku, bo mogłyby być kłopoty. Ale najpierw ja potwierdzę to, co dostałem.

Wsunęli kolejno swe Klucze w pierwszy z brzegu automat handlowy, który na Klucz Karla zareagował trzema — czerwonym, zielonym i żółtym — rzędami zer w okienkach.

— Hej, Sandy! — zawołał brodaty w stronę zaplecza. — Pozwól no tutaj, z Kluczem.

Dziewczyna wynurzyła się zza automatów w głębi sklepu, podeszła do automatu rozliczeniowego, wsunęła Klucz do otworu i wystukała coś na żółtej klawiaturze. Karl spojrzął i wybałuszył oczy w osłupieniu. Zamarł w bezruchu z Kluczem w dłoni.

— No, dawaj ten Klucz! — zaśmiała się głośno. — Zatkano cię?

Wsunął Klucz do automatu i po chwili mógł się przekonać, że mu się nie przywidziało: dziesięć tysięcy żółtych!

— A teraz jeszcze raz włóż do handlowego, żeby Bank zapisał to na twoje konto — powiedział brodaty. — A tutaj... jest twój nowy. Na nim też jest zapisane

dziesięć tysięcy złotych.

— Te punkty... były prawdziwe? — spytał szeptem, patrząc w ślad za Sandy wychodzącą ze sklepu.

— A jak myślisz? Pewnie, że prawdziwe. Tu nie ma miejsca na żadne kanty! — zaśmiał się brodac. — Bank musi wiedzieć, skąd na twoim koncie znalazło się dziesięć tysięcy. Ta dziewczyna jest prostytutką. One miewają takie sumy i nikogo to nie dziwi. Tych dziesięć tysięcy wpłacaliśmy na jej konto małymi sumami przez ostatni rok. Pochodzą z kont wielu różnych mężczyzn, wszystko więc wygląda legalnie. A ty... możesz być na przykład jej przyjacielem, u którego zdeponowała swoje oszczędności. Ostatnio mnożą się przypadki wymuszania zakupów przez bandy młodocianych, szóstaków i studentów: łapią bogatą w punkty samotną kobietę i pod groźbą żyłki prowadzą do jakiegoś odludnego automatu z napojami alkoholowymi, gdzie zmuszają do zakupu dla nich dużych ilości trunków. prostytutki są ich częstymi ofiarami i dlatego zwykle starają się nie trzymać dużych sum na własnym Kluczu. Tak więc, wszystko, jak widzisz, wygląda bardzo prawdopodobnie.

— A ja zostałem przy okazji alfonsem! — skrzywił się Karl.

— Za dziesięć tysięcy.

— Jak to?

— Zwyczajnie. To jest twoje honorarium. Kiedy skończymy nasz eksperyment, dostaniesz z powrotem swój legalny Klucz, a te dziesięć tysięcy pozostanie na twoim koncie. Będziesz je mógł wykorzystać wedle chęci. Nie licząc tego, co wykorzystasz z naszego wiecznie pełnego Klucza w czasie trwania testu.

— To znaczy... — zastanowił się Karl — że mając taki Klucz, trzeba jednak mieć sporo złotych na początek?

— A co? Nie wiesz, że punkty idą do punktów? Gdybyś podarował taki Klucz nędzarzowi, nic by z niego nie miał! Może uciąłaby trochę czerwonych i zielonych, zamienił je na parę złotych, i cóż z tego? Mógłby co najwyżej operować w granicach kilkunastu czy, powiedzmy, stu złotych! Mógłby robić drobne zakupy, pić dobre trunki, ale nigdy nie zdołałby kupić sobie jachtu czy willi, bo na to potrzeba mieć tysiące na koncie.

— Punkty lubią punkty... — zgodził się Karl — ale, wobec tego, skoro macie tyle złotych, to... po cholere wam Klucze? Chcecie je sprzedawać?

— Nonsensy pleciesz! Nie musimy ich sprzedawać, mając je do dyspozycji. Rozpowszechnienie ich szybko doprowadziłoby do wykrycia afery. Robimy je wyłącznie dla naszych ludzi. Po prostu utworzyliśmy zespół, rodzaj spółdzielni, w celu zmajstrowania takich Kluczy. Potem rozstaniemy się, każdy pójdzie w swoją stronę i będzie sobie żył spokojnie i beztrąsko.

— Aż do wpadki — mruknął Karl.

Brodacz skierował na niego ciemne krążki szkła.

— Właśnie za to płacimy tobie. Tyle punktów nie daje się za nic. Będziesz

naszym balonem próbnym. Jeśli gdzieś tkwi błąd, jeśli czegoś nie przewidzieliśmy do końca, ty wpadniesz, nie my. Sam musisz sobie radzić. Do nas nie dotrą, choćby nawet odkryli własności tego Klucza.

— Rozumiem — Karl skinął głową.

Wymienili Klucze. Brodacz schował do kieszeni Klucz Karla.

— A teraz wypróbuj — powiedział.

— Gdzie?

— Ot, choćby w tym automacie. Kup sobie ostrza „Atra Super”. I ogól gębę. Posiadacz takiej fortuny musi wyglądać elegancko!

Karl kupił paczkę ostrzy, maszynkę i krem do golenia. Potem sprawdził stan żółtych punktów na swym nowym Kluczu.

Było wciąż dziesięć tysięcy złotych.

Dziesięć lat luksusowego życia! — pomyślał. — Albo dziesięć lat kryminału za oszustwo Kluczowe. Paragraf 784.

— Co mam robić? — spytał, widząc że brodaty zdejmuje z drzwi wejściowych tabliczkę informującą o zamknięciu sklepu.

— Żyć. Normalnie, jak zamożny człowiek. Bez żadnych oszustw i kombinacji. Tylko pamiętaj, że nie wolno brać ani dawać złotych. Dziwkom płać zielonymi albo dawaj prezenty.

— Jak długo ma to trwać?

— Zobaczymy. Skontaktujemy się z tobą.

Brodacz wyszedł pierwszy, pozostawiając Karla z nowym, czarodziejskim Kluczem w dłoni.

Mają mnie w garści. Zawsze mogą zrobić jakiś numer z moim prawdziwym Kluczem i policja będzie mnie szukała. Ale ja też mam ich w garści. . .

Nie, to nie było prawdą. Już po chwili zrozumiał, że nie ma w garści niczego oprócz trefnego Klucza. Jego zleceńodawcy rozplynęli się jak we mgle, a on, nie chcąc zdechnąć w dżungli Argolandu, musiał tego Klucza używać. Trudno przeżyć jedną dobę bez Klucza, wiedział o tym.

Dżungla, psiakrew! — pomyślał o Argolandzie i jego mieszkańcach.

Przypomniał sobie — ni stąd, ni zowąd — znany z filmów przygodowych sposób polowania na tygrysy: do drzewa przywiązuje się beczące, bezbronne jagnię. A myśliwi czają się, ukryci w krzakach.

Może nie było z nim aż tak źle, ale czuł, że nim tamci upolują swego tygrysa, on, Karl Pron, może zostać pożarty zupełnie mimochodem i nikt się tym nawet nie wzruszy.

* * *

Jak to dobrze — myślał Sneer, gdy pożegnawszy Matta szedł na umówione spotkanie — że są jeszcze tacy, którym chce się zaspokajać ambicje i niezdrową chęć do pracy.

Gdy został sam ze swymi myślami, tamta sprawa odżyła. Wrócił stan podenerwowania, niepewności. . . Dotychczas nie dopuścił w swych rozważaniach tej najgorszej ewentualności. . .

Życie liftera, mimo pozorów, nie jest tak słodkie i beztroskie, jakim mogłoby się wydawać. Idealną sytuacją przy uprawianiu liftingu jest posiadanie czwartej klasy intelektu. Zapewnia to dość już przyzwoite dochody, a jeszcze nie zmusza do podjęcia pracy. Druga sprawa to rzeczywisty poziom umysłowy. Najlepiej, oczywiście, być zerowcem. Sneer osiągnął oba te ideały. Zerowcem był niewątpliwie, wiedział o tym. Czwartą klasę zabezpieczył sobie już dawno temu i przeźornie nie wspinał się wyżej.

To, że miał zaniżoną klasę, nie było przestępstwem. Trudno udowodnić, że ktoś wykiwał komputer testujący. Co najwyżej można zarządzić weryfikację pod szczególnie zaostrzonym nadzorem. Zresztą ani władzom nie zależy specjalnie na tropieniu takich przypadków (ostatnio nawet z trójką nie każdy ma pracę), ani też nie ma wielu takich, którzy chcą ukrywać swój wyższy poziom. Raczej przeciwnie, każdy chce wypaść na testach jak najlepiej, bo to daje ewidentne korzyści.

W przypadku Sneera zaliczenie do właściwej klasy oznaczałoby konieczność pracy i ostateczny koniec z liftingiem. Nie to jednak było najgorsze.

Gdyby mu udowodniono, że zajmował się tym procederem, sytuacja byłaby nie do pozazdroszczenia. Lifting był przestępstwem grubszego kalibru.

Nie, to niemożliwe. Tego nie można udowodnić. Na tym można tylko złapać — pocieszał się, wkraczając do hotelowego hallu.

Było tu chłodno i przyjemnie. Sneer rozsiadł się w fotelu blisko okna. Obserwował wchodzących i wychodzących. Sięgnął do kieszeni i wydobyl Klucz. Obracał w dłoniach plastikową płytkę bezmyślnie wpatrując się w białą cyfrę „4” świecącą w okienku, gdy palec dotykał odpowiedniego sensora na jej powierzchni.

— Przepraszam — usłyszał nieśmiały głos nad sobą.

Podniósł głowę. Stał przed nim młody chłopak, blondyn o krótko przyciętych słomkowych włosach i różowej cerze. Błękitnymi oczami wpatrywał się ciekawie w Sneera. O kilka kroków za nim czekał Pron. Gdy Sneer spojrział w jego stronę, tamten lekko skłonił głowę i oddalił się w stronę windy.

Czyżby ten lifciarzyna mieszkał w takim hotelu? — pomyślał Sneer, patrząc za nim z dezaprobatą. — Błąd. Ale to jego sprawa.

— No, dobra — mruknął do stojącego wciąż chłopaka i wskazał mu fotel obok. — Siadaj.

Odrobina lekceważenia w głosie, błyskawiczne przejście na formę „ty” wobec klienta — wszystko to należało do wypraktykowanego obrządku: miało od razu wytworzyć odpowiedni dystans i szacunek. Było poza tym pewną moralną rekompensatą dla liftera, dodatkowym honorarium za sprzedaż własnej osobowości.

— Próbowałem na dwójkę, ale... — zaczął chłopak, opuszczając wzrok. Siedział w fotelu sztywno, z dłońmi zaciśniętymi na podłokietnikach.

— Co robisz? — spytał Sneer obojętnie.

— Jestem asystentem programisty. Z trójką nie mam szansy na nic więcej.

— Chcesz być programistą?

— No... może... — blondyn zarumienił się po końcu uszu.

— Jednym słowem, jak najwyżej. Masz ambicję, chłopcze. Nie ma się czego wstydzić.

Sneer klepnął go dłonią po kolanie.

— Pomogę ci przeskoczyć ten próg. Dalej sam musisz sobie poradzić.

Blondyn podniósł oczy. Uśmiechnął się nieśmiało. Widać było, że jest wdzięczny już teraz, za samą obietnicę.

Czyż któryś z nich mógłby mnie sypnąć? — pomyślał Sneer. — Przecież oni mnie wprost kochają!

— Chodźmy na górę. W kabinie można porozmawiać spokojnie. Aha, jeszcze jeden drobiazg...

Zatrzymał się przed automatem rozliczeniowym i wsunął swój Klucz do otworu odbiorczego. Wystukał na klawiaturze liczbę „100” i wcisnął żółty przycisk, i

— Połowa z góry, reszta po robocie — powiedział.

Chłopak sięgnął po swój Klucz. Małeńki, ledwo dostrzegalny moment wahania... Sneer uśmiechnął się. Znał to dobrze. Wszyscy prawie klienci podobnie przeżywają tę chwilę. Chłopak wsunął Klucz do otworu zdawczego. Cyfry w okienku potwierdziły dokonanie przelewu stu żółtych punktów na Klucz Sneera.

— Chcesz o coś spytać? — Sneer pozwolił pytaniu zabrzmieć ironicznie.

— N... nie — zająknął się chłopak.

— Ale ja ci i tak odpowiem — roześmiał się Sneer. — Gramy uczciwie. W razie niepowodzenia zwracam wszystko, co do jednego punktu. Ale to się nie zdarza, przynajmniej u mnie!

Dwieście żółtych punktów wydaje się ceną dość wygórowaną, lecz trzeba wiedzieć, że przeprowadzenie dobrego liftu też kosztuje sporo wysiłku i ryzyka. Dla artysty, jakim niewątpliwie był Sneer, sprawa „trzy na dwa” nie była niczym niezwykłym. Robił parę razy nawet „jeden na zero”. Unikał tak wysokich klas, ale czasem ponosiła go żyłka hazardzisty. Oszukiwanie testerów było bowiem

czymś w rodzaju hazardu, było pojedynkiem zakonspirowanego zerowca z innymi, jawnie działającymi, którzy usilnie starali się nie dopuścić do zawyżenia czyjejkolwiek klasy. Ambitny lifter, ściskający w garści swój skromny (aczkolwiek nafaszerowany żółtymi punktami) Klucz z czwórką, pragnął sam dla siebie potwierdzić czasem swą prawdziwą klasę. Zrobienie zerowca było takim właśnie potwierdzeniem, testem dla liftera, który na co dzień zajmuje się „wypożyczaniem” swego najwyższej klasy intelektu mniej zdolnym klientom. Ale struny nie wolno przeciągać. Poza tym, operacje „jeden na zero” zdarzają się rzadko. Kosztują też niemało. Taka jedna sprawa „ustawia” liftera na pół roku pod względem finansowym. A klientom też się to opłaca: z zerem można sięgać po najlepsze posady. Jeśli ktoś lubi pracować, oczywiście. Albo — jeśli ma tak zwane „dobre układy”.

Sneer wierzył, że te „układy” też są ważne. To nic, że o przydziale stanowisk decydują obiektywne komputery. Sneer miał już odnotowane na swym koncie niejedno zwycięstwo nad obiektywnym komputerem testującym. . .

Podobno dawniej — przypomniał sobie, wyciągnięty na tapczanie w hotelowej kabinie, po wyjściu klienta — takich, jak ja, nazywano „murzynami”. Podstawiali się za ludzi na różnych egzaminach, pisali za nich rozprawy doktorskie i prace naukowe. Dlaczego sami nie mogli, czy nie chcieli robić tego na własny rachunek, lecz windowali w górę innych? Widocznie, per saldo, lepiej się to opłacało. Podobnie, jak mnie.

Wywiódłszy tak genealogię swego zawodu i osadziwszy jej korzenie w zamierzchłych wiekach, poczuł się jakby nieco pewniejszy: nie zginie lifterski fach, mając tak długie i bogate tradycje.

Doszedł do wniosku, że przed południem zbyt się przejął incydentem z tajniakiem. Prowokacja, której uległ, nie musiała być przecież wymierzona przeciwko niemu jako lifterowi. Równie dobrze mogło chodzić o zwykłą kontrolę Kluczy, ostatnio słyszało się o pojawieniu się fałszywych. Może była to po prostu wyrzykowa kontrola przypadkowych przechodniów. Tylko. . . to pytanie! Pytanie było na poziomie co najmniej dwójki, jak wyjęte z testu. A on, Sneer, bez zastanowienia, machinalnie, z zawodową biegłością odpowiedział na nie przypadkowemu rozmówcy! On, rzekomy czwartak!

Może jednak chodzi o Klucze? Sprawdzają ich autentyczność. Sneer miał Klucz najprawdziwszy w świecie, bez żadnych przeróbek, podmagnesowań, nic z tych rzeczy. To był przyzwoity, legalny Klucz obywatela czwartej klasy intelektualnej, co miesiąc przedstawiany do przekodowania i nigdy nie kwestionowany ani przez władze, ani przez automaty handlowe, kasowe czy rozliczeniowe. A że było na nim sporo żółtych punktów? Za to jeszcze nikomu głowy nie urwano. To sprawa osobista. Wolno, do cholery, dostać czasem coś w prezencie od życzliwych przyjaciół!

Przyląpał się na tym, że układa sobie w myślach mowę obrończą, więc szyb-

ko zajął się rozważaniami na inny temat. Trzeba było ułożyć jakiś plan dla tego chłopaka.

W sytuacji niezbyt jasnej, póki nie wiadomo, czego chce policja, Sneer postanowił nie ryzykować osobiście. Z chłopakiem umówił się na dzisiejszy wieczór w jednej ze stacji badań testowych z dala od śródmieścia. Wiedział, że najlepiej działa się w późnych godzinach, gdy personel techniczny jest zmęczony, ogląda telewizję i nie zwraca tak bacznej uwagi na petentów. Przebiegł pamięcią wszystkie znane sposoby liftingu, które wypróbował już w praktyce, i zdecydował, że najlepsza będzie w tym przypadku metoda „na pigułki”. Sięgnął do kieszeni kurtki wiszącej na krześle, wydobyl sprzęt i sprawdził jego działanie.

Była czwartą. Do spotkania z klientem pozostało sporo czasu. Sneer leżał z rękami pod głową. Brakowało mu jednak czegoś do pełni zadowolenia. Po dłuższej chwili skonstatował, że od śniadania przełkniętego rano w hotelowym barze przez cały dzień niczego oprócz piwa nie miał w ustach. Zwlókł się z tapczanu, narzucił na ramiona kurtkę i rozejrzał się po pokoiku. Nigdy nie zostawiał niczego w hotelowych kabinach, nawet gdy wychodził na chwilę. To też był zawodowy nawyk. Lifter nosi cały swój warsztat pracy w kieszeniach. Oprócz głowy, oczywiście, którą ma na karku.

Zjechał windą do baru, wsunął Klucz do automatu i zadysponował sandwiche z kawiozem i sok pomarańczowy. Stał przez chwilę, oczekując na realizację zamówienia. Spojrzał na płytę automatu i zmartwił.

W okienku jarzył się napis: „**Klucz nieważny**”.

Od dziesięciu lat nie zdarzyło mu się nic podobnego. Kiedyś wprawdzie przeczył termin przekodowania Klucza, ale to była czysta formalność i w ciągu pół godziny sprawa się wyjaśniła. Wyjął Klucz z automatu i obracał go w dłoniach. Ten sam numer. Jego Klucz. . . Co się stało? Czyżby ten tajniak? Nie, on przecież tylko zapisał numer. A zresztą, później, przez cały dzień Klucz był dobry.

Mogło być tylko jedno wytłumaczenie: Klucz został zastrzeżony w centrali i od tej chwili Sneer nie dostanie kropli piwa ani kromki suchego chleba, dopóki nie zgłosi się do najbliższej stacji kontrolnej. W ten sposób zmuszają go, by się zgłosił niezwłocznie. Bo jak długo można wytrwać w takiej sytuacji w środku miasta?

Do cholery! Przecież nie mogę się tam zgłosić! — pomyślał, chowając trefny Klucz do kieszeni. Przypomniał sobie o Pronie. Podeszedł do pulpitu recepcji i zapytał o niego. Tak, zajmuje tu kabinę, jest u siebie.

Sneer zadzwonił do Prona i poprosił go na dół.

— Zablokowali mi Klucz — powiedział. — Pożycz parę złotych.

— W porządku. Dziękuję, że wzięłaś sprawę tego chłopaka. Co chcesz dostać?

Sneer ponowił zamówienie, zabrał wszystko na tacę i skierował się do windy. Był wściekły, że on, król lifterów, musi prosić o pożyczkę takiego szmaciarza, taką kreaturę. Ale robił dobrą minę. Już w windzie zorientował się, że z nieważ-

nym Kluczem nie dostanie się do wynajętej uprzednio kabiny. Znow musiał prosić Prona, tym razem o gościnę.

— Dobra, chodź — zaprosił go mały kanciarz. — Postaram się zaraz dowiedzieć czegoś w twojej sprawie. Rozmawiałem już z jednym takim.

Sneer usiadł na brzegu tapczana i pochłaniał kanapki, a Pron telefonował.

— Załatwione — powiedział, odkładając słuchawkę. — Pójdiesz o ósmej wieczorem do tej stacji przy placu Astronautów. Będzie tam czekał odpowiedni... fachowiec. Pomoże ci. To będzie trochę kosztowało.

— Musi, jasne — zgodził się Sneer. — Kto to jest?

— Chłopak z branży. Młody, ale zdolny.

— Jak on to załatwi?

— Nie bój się, czysta sprawa. Będziesz miał zweryfikowaną czwartą klasę i przekodowany Klucz. Wystarczy?

— O niczym innym nie marzę.

— No, i dobrze. Będziesz miał spokój do następnej wpadki.

— Tfu, tfu, odpukać w nie laminowaną płytę paździerzową! — Sneer roześmiał się i postukał palcem w spód blatu stolika. — Myślisz, że gdybym sam się zgłosił, przetestowaliby mnie przed przedłużeniem ważności Klucza?

— To bardzo prawdopodobne w takiej sytuacji...

— Sądzisz, że nie mógłbym symulować? Udawać idioty?

— O nie, mój drogi! — Pron uśmiechnął się szeroko. — Teraz już nie. Wy-cwanili się. Już wiedzą, że niektórym bardzo zależy na zaniżeniu klasy. W przypadkach takich jak twój, poddają faceta testom w stanie elektrohipnozy, patroszą całą podświadomość. Wywloką twoje zero, choćbyś nie wiem jak je ukrył. Nie wolno ryzykować.

— Pójdę. Jak wygląda ten twój człowiek?

— Pozna cię, sam do ciebie podejdziesz — zapewnił Pron. — Teraz muszę wyjść. Mam jedną dużą sprawę do załatwienia. Możesz tu zostać. Wychodząc zatrzasknij drzwi.

Sneer podziękował. Miał wciąż sporo czasu do spotkania z klientem. Chciał jeszcze chwilę odpocząć, odprężyć się przed oczekującą go robotą. Gdy Pron wyszedł, Sneer wyciągnął się wygodnie na jego tapczanie.

Z drzemki wyrwało go miarowe stukanie do drzwi. Spojrzał na zegarek. Było wpół do szóstej. Za trzy kwadransy powinien spotkać się z klientem.

Kto to może być? — zastanawiał się otwierając. Za drzwiami nie zauważył nikogo. Chciał je zamknąć i wtedy usłyszał cienki głosik, dobiegający gdzieś z dołu. Nim się zorientował, co się dzieje, poczuł zimny dotyk metalu na przegubie dłoni i usłyszał metaliczny brzęk. Cofnął się, usiłując zatrzasknąć drzwi, lecz nim się zamknęły, do pokoju wlało coś w kształcie i wielkości piłki futbolowej, poruszające się na cienkich, pajęczych nogach. To z tego c z e g o ś wydobywał się ów cienki głosik. Przegub Sneera ujęty był w metalową bransoletkę, połączoną

cienkim łańcuszkiem z tym dziwacznym stworem. Teraz dopiero dotarła do świadomości Sneera treść tego, co mówiło kuliste monstrum.

— J e s t — p a n — z a t r z y m a n y . P r o s z ę — s i ę — p o d p o r z ą d k o w a ć . P r o s z ę — s t o s o w a ć — s i ę — d o — p o l e c e ń . N i e s u b o r d y n a c j a — b ę d z i e — k a r a n a — e l e k t r o w s t r z ą s a m i .

— Co za cholera! — warknął Sneer, usiłując pozbyć się bransoletki, ale zainkasował ostrzegawczy impuls elektryczny i natychmiast przestał manipulować przy swoim przegubie.

— J e s t e m — a r e s z t o m a t — n u m e r — s ł u ż b o w y — z e r o - z e r o — j e d e n — c i ą g n ą ł r o b o t p i s k l i w y m , u r y w a n y m g ł o s i k i e m . — J e s t e m — n o w ą — f o r m ą — r e a l i z a c j i — z a b e z p i e c z e n i a — p o d e j r z a n e g o — d o — c z a s u — w y d a n i a — n a k a z u — a r e s z t o w a n i a . N i e — o g r a n i c z a m — s w o b o d y — z a t r z y m a n e g o — a — j e d y n i e — u n i e m o ż l i w i a m — u k r y c i e — s i ę — p r z e d — o r g a n a m i — ś c i g a n i a .

— Więc mogę stąd wyjść? — Sneer patrzył na robota i intensywnie myślał, co robić dalej.

Jakiś cholerny prototyp. Co za dzień, do diabła. Czego oni chcą ode mnie?

— O c z y w i ś c i e — p r o s z ę — b a r d z o — a l e — r a z e m — z e — m n ą — o d p a r ł r o b o t n a z a d a n e p y t a n i e .

Sneer wziął swoją kurtkę i ruszył ku drzwiom. Aresztomat, jak pies na smyczy, podążył za nim na swych ośmiu pajęczych nóżkach. Szedł nawet dość zgrabnie i nie utrudniał poruszania się zatrzymanemu.

Jakim cudem znaleźli mnie tutaj? — pomyślał Sneer, wychodząc z pokoju. — Czyżby... O, do diabła, zaraz!

— Hej, ty, glino na szczudłach czy jak ci tam! — Sneer nie liczył się ze słowami. Nikt nie może oskarżyć go przecież o obrazę funkcjonariusza w osobie tego potworka. — Kogo miałeś właściwie zatrzymać?

— O b y w a t e l a — K a r l a — P r o n a — w y r e c y t o w a ł a r e s z t o m a t .

Sneer odetchnął.

— Więc puść mnie, do cholery. Nie jestem Pron.

— N u m e r — p o k o j u — s i ę — z g a d z a . P r o s z ę — w s u n ą ć — s w ó j — K l u c z — w m ó j — o t w ó r — k o n t r o l n y .

Sneer wydobył pospiesznie Klucz z kieszeni.

— T e n — K l u c z — j e s t — n i e w a ż n y — s t w i e r d z i ł r o b o t .

— Ale przecież jest na nim zakodowany numer ewidencyjny. Mój, a nie twojego Prona.

— N i e — m a m — i n s t r u k c j i — n a — t a k ą — o k o l i c z n o ś ć . P r o s z ę — u d a ć — s i ę — z e — m n ą — d o — c e n t r a l i .

Sneer czuł już, że nie wygra z tym bydlakiem. Zaczynało mu się spieszyć. Oцениł na oko długość łańcuszka. Miał ponad półtora metra.

Cokolwiek zrobię, nie udowodnią, że to ja. Prona też się nie będą czepiać, bo go tu nie było — pomyślał.

Zjechał windą na dół i ruszył bocznymi ulicami w stronę stacji testów, gdzie miał spotkać się z dzisiejszym klientem. Nieliczni o tej porze przechodnie oglądali się za nim z dziwnymi uśmiezkami. Aresztomat dreptał przy nodze. Jakiś dzieciak głośno poinformował matkę:

— Mamo, zobacz, wariat prowadzi robota na smyczy!

Sneer już wiedział, co zrobi. Zszedł powoli po schodach na peron kolejki podziemnej. Peron był pusty. Spojrzał na tablicę informacyjną. Najbliższy pociąg miał nadejść za trzy minuty. Sneer ze swą elektroniczną „kulą u nogi”, a właściwie u ręki, ustawił się na brzegu niskiego peronu.

Po chwili już tylko metr łańcuszka zwisał mu u przegubu. Przebiegł, dla bezpieczeństwa, o kilka uliczek dalej, a potem wstąpił do stacji obsługi pojazdów i poprosił o pożyczanie obcęgow. Po minucie już tylko gustowna bransoletka zdobiła jego prawy przegub. Łańcuszek nie był zbyt solidny. Konstruktorzy liczyli na elektrowstrząsy. Natomiast lifterzy specjalizowali się w przechytrzaniu konstruktorów.

* * *

Chłopak był blady i stremowany. Sneer udzielał mu ostatnich wskazówek.

— Kiedy się już zarejestrujesz i będziesz przechodził przez korytarzyk do kabiny testowej, połknij białą kulkę, a zieloną wciśnij w lewe ucho. W korytarzyku nie ma żadnych kamer, nikt tego nie spostrzeże. Potem, już w kabinie, usiądziesz w fotelu, założysz hełm ze słuchawkami i uruchomisz tester. Tłumaczyłem ci już, jak to działa: kiedy pytanie dotrze do twojego ucha, zielona kulka odbierze je i przekaże do białej, którą będziesz miał w żołądku. Biała kulka jest czymś w rodzaju lasera krystalicznego, emitującego promieniowanie rentgenowskie, zmodulowane sygnałem zielonej. Kabina jest ekranowana, więc fale o częstotliwości radiowej nie mogą z niej wyjść. Częstotliwości rentgenowskie przechodzą bez przeszkód, bo konstrukcja jest dość lekka, ale musisz siedzieć tak, aby twój żołądek znajdował się na wprost wywietrznika w ścianie. Musisz odpowiednio ustawić fotel. Będę tu, po drugiej stronie ściany i natychmiast odbiorę sygnał. Moją odpowiedź usłyszysz w lewym uchu. Będę mówił powoli. Powtarzaj dokładnie każde słowo. Nie spiesz się, limit czasu jest wystarczający. Aha! Musisz pamiętać, że mogą cię obserwować w czasie testowania, więc zachowuj się zupełnie normalnie

i swobodnie. To wszystko.

Klepnął chłopaka po ramieniu, przesunął w kieszeni przełącznik, włożył do ucha mikrośłuchawkę i oddalił się w stronę skweru z krzewami ligustru, ciągnącego się wzdłuż ściany pawilonu Stacji Badań Testowych.

Po dwudziestu paru minutach było po wszystkim.

Sneer usłyszał w słuchawce sakramentalne „proszę wyjść z kabiny” i wiedział już, że się udało. Pytania nie były trudne.

Nie czekając na klienta, z którym umówił się na następny dzień w celu zainkasowania reszty honorarium (nieczynny Klucz uniemożliwił operację przelewu), Sneer ruszył w kierunku placu Astronautów. Nie znał tamtejszej Stacji, nigdy tam nie pracował, a aktualizację swego Klucza przeprowadzał zwykle w śródmieściu.

Przed budynkiem kręciło się — jak zwykle w takich miejscach — sporo dziwnych indywiduali. Tajniacy i kombinatorzy, mniej więcej w liczebnej równowadze, zgodnie koegzystujący i nie wchodzący sobie w drogę, dopóki nic się nie działo. Drobnifalicy, color-changerzy, keymakerzy...

Sneer naciągnął rękaw na swoją nieszczęsną nową bransoletkę. Miała jakiś paskudny zatrzask, którego bez klucza nie zdołał otworzyć, a nie miał pod ręką piłki do metalu.

— Dwanaście czerwonych za jeden żółty! — rzucił schrypnięty drab, mijając Sneera.

— Sam bym kupił za tyle! — burknął, nie odwracając głowy. Wiedział, że ostatnio żółte dochodzą do piętnastu czerwonych.

— Zrobię „cztery na trzy” za sto zielonych, z gwarancją! Nowoczesną metodą! — zapewniał jakiś lifter, nie odrywając wzroku od słupa ogłoszeniowego. Sam nie wyglądał lepiej niż na piąta.

— Kluczyk dla szanownego pana? Czwórka, trójka? Dobra robota, pasowany, do każdego paluszka. Zupełnie tanio! — Jakiś keymaker nachalnie reklamował swój towar. — A może wytrysek do automatów alkoholowych?

— Sneer? — na pół pytająco mruknął młody chłopak w seledynowej wiatrówce.

— Tak — Sneer uniósł wzrok i zwolnił kroku.

— Od Prona. Chcesz utrzymać swoją czwórkę, tak? Ten sam protekcyjny ton i poczucie wyższości, które Sneer tak często demonstrował w kontaktach z klientami.

— Załatwię ci to — ciągnął seledynowy. — Bez pudła!

Sneer skrzywił się z niesmakiem.

Do cholery, na co mi przyszło: być klientem takiego śmierdziela — pomyślał, ale zaraz uśmiechnął się z przymusem.

— Za ile? — spytał rzeczowo.

— Pięćset żółtych. Albo dwa patyki zielonych.

— Z byka spadłeś — warknął Sneer, ale zaraz dodał grzeczniej. — Panie kolego?

— Taka taryfa. A co, nie kalkuluje się?

— Jaką masz klasę?

— Uczciwą czwórkę. Ani pół klasy wyżej.

— Ja mam zero, rozumiesz? A za „trzy na dwa” biorę sto pięćdziesiąt!

— Ale ja robię „zero na cztery”, to też trudna robota. Jak ktoś musi mieć formalną czwórkę, to nie da rady beze mnie. Twoje zero nic ci nie pomoże. A ja, nawet w hipnozie, nie będę lepszy niż na czwórkę!

— Ale, do cholery — zniecierpliwił się Sneer — przecież co innego lifting, a co innego takie tam...

— To się teraz nazywa „downing”. Nowa specjalność. Odkąd zaczęli sprawdzać podejrzanych o lift, downerzy są w cenie. Jak cię, bracie, raz wyzerują, to amen. Pogonią do główkowania za parę złotych i nie będzie czasu na lift ani na dolce vita.

Downer zamilkł, bo jakiś tajniak zainteresował się ich przydługim dialogiem. Odeszli na bok, w stronę parku.

— To jak? — zagadnął downer. — Decyduj się. Czas to punkty.

— Jak to zrobisz? Na podstawkę? Czy na wcisk?

— Nie twoje zmartwienie. Każdy fach ma swoje sekrety.

— Cztery sta.

— Dla ciebie, niech będzie. Jesteś kumpel Prona, to niech tam.

Cholera jasna, też mi kumpel! — Sneer zagryzł wargi. — Wlazłem w lepsze towarzystwo.

Był wściekły. Tyle punktów! I żeby on, Sneer, musiał pokornie targować się z takim gówniarzem. On, zerowiec!

— Prona zwiną lada moment. O ile już nie siedzi — rzucił mimochodem.

— Skąd wiesz?

— Dopadli mnie w jego kabinie. Przez pomyłkę.

— Gliny?

— Nie, jakiś taki mały elektryczny bydlak.

Sneer odchylił mankiet i pokazał bransoletkę.

— Tyle z niego zostało.

— Widziałem już ten nowy wynalazek — powiedział downer. — Nie przyjmie się. Aha, jeszcze tylko mała zaliczka. Dwie setki z góry, reszta potem.

— Przecież mam trefny Klucz, Pron ci nie mówił? Żaden automat nie zrobi przelewu, wszystkie dostały zastrzeżenie po linii zasilającej.

— Nie ma sprawy. Znam tu jednego pasera, niedaleko. Ma na melinie własny automat rozliczeniowy, domowej roboty, zasilany z baterii. Za dychę załatwi. To jak? Idziemy?

Sneer w milczeniu skinął głową. Downer poszedł przodem.

— To tutaj — powiedział, zatrzymując się przed drzwiami wysokiego mieszkaniowca. — Zaczekaj chwilę.

Sneer rozejrzał się po uliczce, obstawionej ponurymi, betonowymi blokami o jednostajnych fasadach. Na skrawkach zdeptanych trawników między budynkami bawiły się dzieci, choć pora była dość późna. Widocznie rodzice ich zajęci byli jakimiś ważnymi sprawami.

Według statystyk — pomyślał Sneer — zatrudnionych jest tylko osiemnaście procent dorosłych obywateli. Cała reszta to czwartacy, piątacy i szóstacy, dla których nie ma odpowiednich zajęć. Teoretycznie, nikt nie ma poważniejszych problemów materialnych. Nawet ci, którzy mają wielodzietne rodziny. A jednak wszyscy ci rezerwowcy są nieustannie czymś zajęci. Najczęściej świadczeniem podejrzanych usług na rzecz wyższych klas, za żółte, oczywiście.

Po kilku minutach seledynowa wiatrówka downera ukazała się w ciemnym prostokącie drzwi. Sneer wszedł za nim do sieni o ścianach pokrytych nieudolnymi bazgrołami. W poprzek jednej z nich biegł wielki napis: „Nie trać żółtych na dupę. Gówno kupisz za czerwone!” Po drugiej stronie Sneer odczytał: „Choćbyś miał najwyższą klasę, bez punktów jesteś. . .”. Ostatnie słowo było zamazane.

Paser mieszkał w podwójnej kabinie na parterze. Gdy weszli, załatwiał jakąś transakcję z dwoma przyzwoicie wyglądającymi młodzieńcami. Sneer dostrzegł, że każdy z nich miał po kilka Kluczy.

— Opróżniają obce Klucze — wyjaśnił downer szeptem. — Ta maszynka ignoruje sygnał identyfikatora linii papilarnych. Możesz przelać wszystkie punkty z cudzego Klucza na własny.

— Jak to? — zdziwił się Sneer. — Przecież wiadomo, z czyjego Klucza pochodzą te punkty. Wystarczy, że właściciel zgłosi kradzież. . .

— Nie zgłosi. Leży w kostnicy. Ci chłopcy, to hieny szpitalne. Współpracują z personelem szpitala publicznego. Kiedy pacjent umiera, zgarniają punkty z jego Klucza, zanim szpital zgłosi zgon. Wiesz, jaka jest procedura: gdy facet umiera, Syskom blokuje jego konto i czeka na dyspozycje Wydziału Spadkowego. Po ustaleniu praw spadkowych, punkty zmarłego przechodzą na konta spadkobierców. Dopóki nie ma zgłoszenia, konto jest czynne, ale facet już nie żyje. Jeśli się w tym czasie przeleje punkty na czyjeś konto, to on już nie zakwestionuje tego przelewu i istnieje prawne domniemanie, że zadysponował przelew ciepłą ręką. Wiesz przecież, że czujnik linii papilarnych sprawdza także temperaturę skóry i tętno w kciuku.

Sneer wiedział o tym dobrze, bo sam niejednokrotnie w swej praktyce stosował metodę „na podstawkę”. Polegała ona na użyciu cieniutkich, niewidocznych prawie, rękawiczek ze sztucznymi liniami papilarnymi, odpowiadającymi liniom klienta. Pozwalały one podszyć się pod inną osobę podczas sprawdzania tożsamości w automacie testującym. Ważne było wówczas, by temperatura zewnętrznej powierzchni rękawiczki mieściła się w granicach przeciętnej temperatury naskór-

ka dłoni. Dlatego też przed wejściem do Stacji Testowej należało mieć dodatkowo na dłoni rękawiczkę z ogrzewaczem i termostatem, którą zdejmowało się na moment przed identyfikacją.

Sposób ten wymagał jednakże uprzedniego przygotowania rękawiczki, za zgodą i z udziałem klienta, który musiał udać się do fachowca zwanego rękazem w celu zdjęcia miary. Kosztowało to sporo złotych, zwykle koło pięćdziesięciu, i obciążało honorarium liftera, więc Sneer tylko w ostateczności imał się tej metody.

Hieny skończyły właśnie swe machinacje z Kluczami nieboszczyków, pozostających chwilowo między niebem a ziemią. Za Sneerem czekało już trzech następnych klientów.

— Dwie setki i dycha dla ciebie — powiedział downer, wtykając Klucz do prymitywnie wyglądającego aparatu.

Sneer włożył swój Klucz do drugiego otworu. Maszynka działała bezbłędnie. Przelew poszedł sprawnie, co Sneer natychmiast mógł sprawdzić na liczniku swego Klucza.

— To zdolny facet — powiedział downer, gdy wyszli. — Zerowiec chyba albo co najmniej jedynek. Ale oficjalnie jest na rencie. Ci ze szpitala podkreślił coś w komputerze medycznym i załatwili mu pełną niezdolność do pracy. Za to on robi im od czasu do czasu przelewy z nieboszczyków.

— A z żywych? Nie zdarza się?

— Owszem, ale to już inny proceder. Tym już nie zajmują się hieny, i w ogóle, personel szpitala nie macza w tym palców. Trudnią się tym tylko wampiry. To tacy, co potrafią dostać się na oddział szpitalny, symulując ciężki stan przez zażycie odpowiedniej kompozycji środków chemicznych i leków. Kradną Klucze innym pacjentom i przekazują współnikom, którzy je opróżniają, a potem zwracają niepostrzeżenie właścicielowi. Ale to duże ryzyko i niewielki zysk. W publicznym szpitalu leżą przeważnie piątacy i szóstacy. Ile można z takiego wyssać? Parę zielonych. . .

Sneer słuchał tych wyjaśnień z rosnącym obrzydzeniem. O ile do tej pory wykonywał swój zawód z pewnym staraniem ukrywanym przed samym sobą poczuciem niesmaku, o tyle teraz zaczynał dochodzić do przekonania, że lifting jest czymś w rodzaju szlachetnej rozgrywki w porównaniu z machinacjami dziejącymi się w dolnej warstwie przestępczego światka Argolandu.

Downer zabrał Klucz Sneera i zniknął w drzwiach Stacji Testów. Sneer usiadł na ławce niedaleko wejścia do budynku i obserwował kręcących się w pobliżu osobników, bawiąc się w odgadywanie ich profesji.

Tajniaków rozpoznawało się najłatwiej. Poruszali się dość nerwowo, rozglądając się bacznie i unikając miejsc nie oświetlonych latarniami. Handlarze punktami snuli się powoli, jakby od niechcienia zbliżali się do przechodniów i głosem bruchomówcy rzucali parę związanych słów w rodzaju: „może żółte za zielone?” albo:

„mamy coś do odstąpienia?”. Lifterzy a raczej — jak pogardliwie nazywano nisko kwalifikowanych, pokątnych przedstawicieli tego zawodu — „windziarze” usiłowali skusić potencjalnych klientów kwiecistymi obietnicami zrobienia im piątej klasy w miejsce szóstej.

Downera nie było już od dobrych czterdziestu minut, gdy nagle — jak zdmuchnięci — ze skweru przed Stacją Testów zniknęli wszyscy spacerujący leniwie kombinatory, pozostawiając dezorientowanych tajniaków, wyodrębnionych tym samym i zdekonspirowanych. Po chwili dopiero Sneer dostrzegł przyczynę paniki: niewielki, szary furgon z siatką w oknach, który wyłonił się z jednej z bocznych ulic i zmierzał w kierunku budynku stacji.

Samochód zatrzymał się przed wejściem. Dwóch cywilów i jeden mundurowy policjant weszli do Stacji. Wyszli dokładnie po dwóch minutach. Sneer zauważył między nimi seledynową kurtkę downera.

— A niech by to jasny szlag trafił! — zaklął, spluwając z wściekłością. — Co za dzień cholerny!

Sięgnął machinalnie do kieszeni, gdzie zazwyczaj nosił swój Klucz.

Trzeba natychmiast zgłosić kradzież Klucza! — pomyślał, wstając z ławki. — Mam nadzieję, że ten bałwan wie, co należy zeznawać w takich przypadkach!

Ruszył w stronę budki telefonicznej, by zadzwonić na posterunek policji. To była jedyna rzecz, którą mógł teraz zrobić — za darmo.

* * *

Brzęczyk nie wróżył niczego dobrego. Bann podnosił słuchawkę z ociąganiem.

— Inwigoł, słucham.

— To ja słucham! — To był sam szef.

— Więc, Szefie...

— Macie wreszcie jakiegoś?

— Mieliśmy... to znaczy... chwilowo... zniknął — jęknął się Bann, kręcąc nerwowo sznur telefonu wolną dłonią.

— Jak to zniknął?

— Jeszcze nie wiem. Po szesnastej jeszcze był, i od tej pory żadnego śladu.

— Do mnie, z wyciągiem!

Bann westchnął ciężko i odłożył słuchawkę. Kiwnął na technika, który przysłuchiwał się rozmowie.

— Dawaj wydruki. Wszystkie, od wczoraj.

Technik zgarnął ze stołu cztery sterty szerokiej papierowej taśmy poskładanej

w harmonijkę, włożył je wszystkie do kartonowego pudła, które Bann wziął pod pachę i powlókł się do szefa.

— Ja zupełnie nie rozumiem — zaczął już od drzwi.

— Dobrze, dobrze. Pokaż go!

— Którego?

— No, tego co zniknął.

Bann wybrał odpowiednią taśmę z pudła i rozpostarł ją przed szefem na biurku.

— Tutaj, o dziesiątej sześć, brał cztery bułki z szynką i dwie kawy w barze hotelu „Kosmos”. Potem przelał osiem złotych na czyjś Klucz. Taka jedna, studentka. Pierwszy raz miał z nią do czynienia. Też sprawdziliśmy, na jej koncie nie było innych przelewów z jego Klucza.

— Nieważne. Dalej! — ponaglał szef, przesuwając taśmę zapisu.

— Tutaj... o 10.50 kupował papierosy w automacie na rogu alei Tibigan i Czternastej Przecznicy — mamrotał Bann — potem... tak, wstępował do baru... dwa piwa... drugi bar... dwa piwa... Ale był sam, te piwa brał w parominutowych odstępach... Siedział chyba dość długo, bo następny zapis jest z bramki metro, ze stacji zaraz obok baru... Potem... Parę drobnych zakupów, ciągle w centrum, znów piwo, ale z kimś drugim, brane po dwa kufle naraz... Nie wiemy, kto to był. W każdym razie żaden z pozostałych śledzonych. Oni byli wtedy zupełnie gdzie indziej. No, i wreszcie, przelew... Nie potwierdzony na jego koncie, bo nie użył Klucza ani razu po tym, jak... ten młody przelał mu setkę.

— Pewnie zaliczka?

— Chyba tak. Bo potem, około siódmej wieczorem, Klucz tego młodego został zweryfikowany na dwójkę.

— Gdzie to było?

— W Stacji Testowej numer siedem. Ale, powtarzam, ten pierwszy przelew nie został potwierdzony. Nasz obiekt nie używał Klucza od czwartej po południu.

— To wprost niemożliwe. Jest dziewiąta! A co w hotelu?

— Nie wrócił. Pokój zapłacony z góry, ale nikogo tam nie ma. Zabili go, zgubił Klucz, albo...

— Blokada! — szef ucieszył się własną przenikliwością. — Sprawdziłeś czy nie ma zablokowanego Klucza?

— Nie... W wydruku nie ma informacji.

— Nie chodzi o blokadę konta, tylko o blokadę Klucza! W takim przypadku sygnał blokujący idzie do wszystkich automatów siecią zasilającą. Powinieneś o tym wiedzieć! Bank nie ma tu nic do rzeczy. Blokadę Klucza nakłada Służba Kontroli Klas, a blokadę konta Służba Bankowa. To dwa odrębne wydziały. Sprawdź to natychmiast!

Po kilku minutach Bann wrócił z informacją. Szef triumfował.

— No, widzisz! Trzeba myśleć o wszystkim! Te barany z Kontroli Klas miały coś do niego! Założyli mu blokadę Klucza i spieprzyli całą Waszą pułapkę. Teraz szukaj wiatru w polu.

— Może się zgłosi do kontroli, żeby odblokować.

— No, więc na co czekasz? Zawiadom wszystkie Stacje Testów!

Bann znowu wybiegł, by wrócić po kwadransie.

— No, mamy go! — zapał radośnie, aż szef podskoczył na krześle. — Zgłosił się do weryfikacji. Kazałem przetrzymać go jak najdłużej, chociaż jest już po kontroli. Obiecali zwlekać z wydaniem mu Klucza, dopóki patrol policji nie będzie na miejscu. Oni po prostu czasem sprawdzają czy ktoś nie ma zaniżonej klasy. Trafili na niego zupełnie przypadkowo. Zwyczajny pech.

— Ale także nauka na przyszłość — powiedział szef sentencjonalnie. — Trzeba przewidywać i takie przypadki. Jak on się nazywa?

— Adi Cherryson. Znany też jako Sneer. Z informacji, które mamy o nim, niewiele wynika. Czwartak, nieokreślone zajęcie, duże przychody od prywatnych osób. Teraz nie ma wątpliwości, że to wysokiej klasy lifter. Dostawał duże przelewy od paru osób, które obecnie mają klasę zerową i zajmują wysokie kierownicze pozycje.

— To już nie nasz wydział! — przypomniał szef. — Potrzebuję po prostu dobrego zerowca. Żeby miał prawdziwe zero, a nie jakieś kółko graniaste.

— O takiego najłatwiej wśród lifterów. To cholernie inteligentne bestie. Na pewno będzie dobry, szefie.

Na biurku zabrzączał telefon. Szef podniósł słuchawkę. Bann widział, twarz mu powoli czerwienieje, co u Szefa było oznaką wściekłości. Po chwili słuchawka spadła z hałasem na widełki, a pięść Szefa huknęła o biurko.

— Gówno! — ryknął. — Zidentyfikowali go. To nie żaden zerowiec i w ogóle, nie ten. . . Sneer. Ma tylko jego Klucz. Robił mu czwartą klasę To zwykły czwartak, downer.

— Downer? — zdziwił się Bann.

— Co? Nie wiesz, co to znaczy? To co ty w ogóle wiesz? Przeniosę do policji miejskiej, słowo daję!

Bann włókł się z powrotem do swego pokoju pełen czarnych myśli.

Trzeba zaczynać od początku. Niech to wszyscy diabli — pomyślał z goryczą. — I kto narozrabiał? Koledzy z innego Wydziału. Ale to nic. Szefowi się czegoś spieszy z tym zerowcem, pewnie dostał polecenie z góry. Dostanie innego i będzie znów spokój.

Metoda łapania „na żywca” była opracowana dokładnie i zwykle działała bez pudła. Musiała działać, bo opierała się na statystyce. Chcąc zidentyfikować i dopaść dobrego liftera z utajoną klasą zerową, wystarczyło wytypować kilkuset młodych, ambitnych ludzi, z aspiracjami co najmniej na dwójkę. Potem typowało się kilkuset drobnych kombinatorów, operujących w tej samej dzielnicy. Potem —

przekazywało się odpowiednie instrukcje do Syskomu: kontrola bankowa automatów z piwem we wszystkich barach dzielnicy, posiadających automaty do gry; jeśli w tym samym barze, w krótkim odstępie czasu, zamówił piwo jeden z młodych ambitnych i jeden z cwaniaczków, i jeśli do tego jeszcze ten ambitny zagrał na automacie — Syskom dawał mu wygrać. Cwaniaczek nie przegapia okazji zarobku, a młody, rozsądny człowiek nie przepija kilkuset złotych, tylko stara się je wykorzystać z pożytkiem dla swojej przyszłości. W dziewięćdziesięciu procentach takich przypadkowych spotkań z zaaranżowaną wygraną, młody człowiek znajduje dojście do dobrego liftera za pośrednictwem przypadkowego cwaniaczka. Wystarczy śledzić kroki szczęśliwego gracza i — wcześniej czy później — jego złote punkty trafią na konto tego, o kogo ostatecznie chodzi.

Spółczeństwo epoki automatyzacji samo staje się jednym wielkim automatem, działającym prawie bezbłędnie. Wrzucasz trzysta złotych — wyskakuje lifter z klasą zerową. Nie trzeba bawić się w detaliczne inwigilacje, prowadzenie kartotek, śledzenie każdego z osobna. Każdy krok każdego obywatela znaczonej jest kolorowymi punktami zostawionymi na jego drodze: w sklepie, w automacie barowym, w kinie, w bramce metra, na Kluczu dziwki. Zamiast śledzić obywatela, wystarczy przejrzeć zapis bankowy jego wydatków. Jeśli wydaje, to znaczy, że żyje. Jeśli żyje — musi wydawać, brocząc punktami jak ranny zwierz, dopóki wszystkie z niego nie wyciekną. Więc o to właśnie chodzi: by miał zawsze choć trochę, bodaj tych czerwonych, bo inaczej straci się go z oczu.

W tym właśnie kryła się odpowiedź na wątpliwości Sneera, posiane przez dawnego kolegę w jego wysoce inteligentnym, lecz leniwym umyśle: istnienie lifterów i downerów, robionych zerowców i zerowych czwartaków, inteligentnych dziwek i inteligentów sprzedających jak dziwki swoją uczciwość i honor, wszystko to było normalnymi składnikami tej rzeczywistości, a nawet — można by rzec — składnikami niezbędnymi dla jej funkcjonowania, dla owego ściśle kontrolowanego Porządku. Bo w świecie Argolandu realny był właśnie Porządek. To Wolność była pozorem.

* * *

Opuszczając gmach hotelu „Kosmos”, Karl Pron odczuwał coś w rodzaju zachwyty nad swoim szlachetnym charakterem. Czuł się dobroczyńcą, samarytaniem, aniołem opiekuńczym i w ogóle świetlaną postacią w obrzydliwym bagnie powszechnej chciwości i bezwzględności, za jakie uważał teraz Argoland wraz z okolicami.

„Gdyby nie czysta toń jeziora Tibigan, nie znalazłbyś w całym Argolandzie

jednego metra kwadratowego, na którym nie pleni się jakieś świństwo” — przypomniał sobie fragment przemówienia pewnego kaznodziei, którego słuchał czasem w niedzielne przedpołudnia.

Stosunek Karla Prona do religii był — można by rzec — ostrożny. Należał on do tych, których onże kaznodzieja nazywał „wierzącymi na wszelki wypadek”. Oprócz takich jak Karl, duchowny ów wyróżniał jeszcze: szczerze wierzących, niewierzących, czyli ateistów, oraz „antyteistów”. Charakterystyczną cechą tych ostatnich było — wedle pastora — to, że uważają za swój ideologiczny obowiązek jadać w każdy piątek wieprzowy kotlet (choćby nawet lekarz zalecał im dietę), by swym postępowaniem sprzeciwić się Temu, w którego istnienie nie wierzą.

Z uwagi na swój asekurancki światopogląd, Karl nie unikał okazji spełniania dobrych uczynków, szczególnie wówczas, gdy nie kosztowało to ani punktów, ani zbytej fatygi. Nie bez słuszności sądził, że zawsze lepiej mieć wokół siebie ludzi, którzy coś mu zawdzięczają. Był wprawdzie zbyt trzeźwy, by żywić złudzenia co do ludzkiej wdzięczności, niemniej jednak — jako ekonomista z wykształcenia — niezachwianie wierzył w statystykę. Świadcząc drobne grzeczności możliwie licznemu gronu osób, liczył na to, że znajdą się wśród nich — statystycznie rozsiadani jak rodzynki w cieście — tacy, którzy przyjąwszy przysługę czują się moralnie zobowiązani do jej odwzajemnienia. Pozostałych z góry spisywał na straty, nie żałując poniesionego trudu świadczenia im uprzejmości ani też nie czując żalu do nich samych. Pewien procent mile potraktowanych sprawdzał mu się od czasu do czasu w potrzebie i tych wpisywał na listę bliższych znajomych.

Metoda nie była wynalazkiem Karla. Studiując historię handlu, czytywał stare podręczniki psychologii klienta, z czasów gdy jeszcze istniały sklepy z ludzką obsługą. Żelazna zasada głosząca, że każdy wchodzący do sklepu — choćby tylko chciał schronić się przed deszczem — jest potencjalnym klientem i musi być traktowany na równi z czyniącym duże zakupy, owocowała teraz w interesach Karla. Dzięki niej prosperował niezłe, imając się różnych zajęć.

Ostatnie siedem lat liftingu nadwątlilo wprawdzie jego spore ongiś rezerwy finansowe, lecz wynikało to z obiektywnych okoliczności i specyfiki zawodu: lifting wymagał spektakularnej oprawy — drogich hoteli, porządnych restauracji, eleganckiego wyglądu. Kiedy miało się — jak Karl Pron — niską rzeczywistą klasę, koszty pochłaniały lwią część niezbyt wysokich honorariów. Ale profesja ta dawała w środowisku pozycję, jakiej nie mogła zapewnić żadna inna: liftera nikt nie pyta, dlaczego ma tylko czwartą klasę. Istnieje bowiem domniemanie, że — de facto — ma on klasę o wiele wyższą, którą ze względów zawodowych ukrywa. Dla ambitnego trojaka rzecz to nader cenna.

Karl nie wierzył w piekło. Jego zdaniem, istota tak pełna dobroci, jak Stwórca tego świata, nie może okazać się skrupulatnym, małostkowym buchalterem, rejestrującym każde ludzkie potknięcie — tak jak Syskom rejestruje każdy punkt wydatkowany przez obywatela. Wedle reguł etycznych, które Karl wykoncyponował

sobie na własny użytek, liczy się tylko ostateczny bilans złych i dobrych uczynków, który — jeśli jest w równowadze — daje człowiekowi całkiem niezłą notę „za ogólne wrażenie” w oczach Stwórcy.

Już od dawna (tak przynajmniej wydawało mu się teraz) czuł w sobie niewyżytą skłonność do wyświadczenia dobrodziejstw innym ludziom. Tyle że dotychczas jakoś nigdy nie miał na to środków. Wszystkie punkty — te otrzymywane urzędowo i te zarobione, rozplywały się od razu, przeciekały przez palce, nim zdążył spotkać potrzebującego kumpla. W rezultacie to raczej on, Karl, potrzebował często wsparcia w formie paru punktów pożyczki.

Lecz od dzisiejszego ranka wszystko jakoś się zmieniło, odwróciło. Począwszy od zupełnie bezinteresownego (jeśli nie liczyć uzyskanej przy tym informacji) poczęstunku dla dziewczyny, poprzez załatwienie Filipowi najlepszego liftera, zupełnie za darmo (pominąwszy tych głupich pięć złotych zaliczki), aż do nakarmienia głodnego Sneera — dzisiejsza działalność Karla układała się w jedno chwalebne pasmo dobrych uczynków.

Starał się zapomnieć, że nie mógłby — choćby nawet chciał — ani odebrać reszty prowizji od Filipa, ani też rozliczyć się ze Sneerem za kanapki, bo nie pozwala na to jego nowy Klucz. W świetle tego faktu, filantropia Karla okazałaby się w pewnym stopniu przymusowa, jednakże... czyż nie czynił tego wszystkiego jedynie z dobroci serca?

Zapragnął raz jeszcze przypieczętować poczucie własnej dobroci, które tak radykalnie łagodziło, ba, tuszowało wręcz w jego sumieniu świadomość uczestniczenia w łajdactwie, jakiego nie znały argolandzkie kroniki kryminalne. Okazja nadarzyła się od razu za rogiem Siódmej Przecznicy: dwoje malców — ciemnoskóry chłopczyk i drobna, jasnowłosa dziewczynka — łakomie przyglądało się automatowi ze słodyczami i gumą do żucia.

Karl wsunął do automatu swój Klucz i sypanął naręczem kolorowych opakowań pod nogi oszołomionych z zachwyty dzieciaków.

Dobre uczynki dotyczą osób znanych lub nieznanymi, ale zawsze konkretnych i określonych. Przystępna machinacja z Kluczem, wymierzona przeciw anonimowej, szarej masie enigmatycznie zwanej „ogółem” — nie krzywdziła konkretnie nikogo. Ta różnica obiektu działań pozwalała Karlowi wywieść dodatnie saldo swych uczynków.

Zdawał sobie doskonale sprawę, że gdzieś tam, na poziomie górnych szczebli zarządzania gospodarką, wyjdzie jak szydło z worka ten drobny w ogólnej skali niedobór towaru w stosunku do punktów. Lecz nim do tego dojdzie, on, Karl Pron, będzie już normalnym, spokojnym obywatelem z czwartą klasą i mrowiem złotych punktów na swym legalnym Kluczu.

Pełen tak optymistycznych przewidywań, dumny ze swej szczerzej miłości do bliźnich, gotów nadal świadczyć swe usługi z czystej dla nich życzliwości, Karl zatrzymał się przed pawilonem bankowym przy alei Tibigan, tuż za skrzyżowa-

niem z Dziewiątą Przecznicą, dla dokonania operacji, jaką zdrowy na umyśle Argolandczyk przeprowadza tylko wtedy, gdy nie ma już innego wyjścia: zamiany pewnej liczby żółtych punktów na zielone.

Zamiana taka była legalnie możliwa jedynie według nominalnej wartości: punkt za punkt. Można było dostać zielone i czerwone za żółte, oraz czerwone za zielone. W drugą stronę — automaty bankowe nie działały.

Wobec silnie zróżnicowanej czarnorynkowej wartości punktów o różnych kolorach, bankowa wymiana była oczywistym nonsensem i nikt z niej nigdy nie korzystał. Jednakże oficjalny kurs, równy dla wszystkich kolorów punktów, miał pewne znaczenie społeczno-ideologiczne: Przychody zerowca, wyrażone w punktach (bez specyfikacji ilościowej poszczególnych barw) były przeciętnie tylko cztery razy większe od przychodów szóstaka. Znakomicie maskowało to rzeczywistą rozpiętość dochodów różnych klas intelektualnych, podtrzymując — w statystykach przynajmniej — mit o względnej równości materialnej obywateli.

W rzeczywistości, po uwzględnieniu rynkowej wartości żółtych i zielonych, zerowiec inkasował kilkanaście razy więcej niż szóstak. Wprawdzie ten ostatni otrzymywał dostatecznie dużo, by spokojnie egzystować na nie najgorszym poziomie, bez konieczności szukania dodatkowych zarobków — jednakże świadomość, że inni mają się jeszcze o wiele lepiej, niejednemu spędzała sen z powiek.

Zamiana żółtych na zielone lub czerwone — jeśli już ktoś zmuszony był do takiej operacji, na przykład z braku czerwonych na zapłacenie komornego w takim bloku mieszkalnym — odbywała się zwykle nie w banku, lecz pod bankiem, u jednego z urzędujących tam stale handlarzy, zwanych color-changerami albo potocznie — kameleonami.

Wobec ograniczeń swego nowego Klucza, Karl nie mógł załatwić sprawy z zawodowym kameleonem spod banku. Nie mógł także dokonać zwykłej — jeden za jeden — zamiany żółtych na zielone w automacie bankowym, bo — jak wykonywał — operacja taka spowodowałaby „urodzenie się” pewnej sumy zielonych na jego koncie bez uszczerbku stanu żółtych. Takie punkty niewiadomego pochodzenia demaskowałyby „lewy” Klucz.

Karl wymyślił sobie inny sposób. Pod bankiem — oprócz handlarzy — trafiali się także ludzie pragnący zdobyć trochę żółtych na konkretny zakup. Już po kilku minutach znalazł młodą kobietę usiłującą nabyć dwie setki żółtych. Karl porozmawiał z nią chwilę i poszli razem do pobliskiego magazynu, wyróżniającego się jaskrawożółtymi draperiami w oknach wystawowych.

Wyszli stamtąd zadowoleni oboje: Karl z ośmioma setkami zielonych na Kluczu, kobieta — z pięknym, prawdziwym futrem z norek. Osiemset nie wystarczyło, więc Karl musiał dwukrotnie jeszcze przeprowadzić podobne transakcje, śledzony złymi spojrzeniami color-changerów, którym podkupywał klientów, dając korzystniejsze warunki wymiany.

Uzbierawszy półtora tysiąca zielonych, usunął się chyłkiem z oczu wyraźnie

już wściekłych kameleonów.

Punktów potrzebował do uregulowania pewnego prywatnego długu. Sprawa była w ogóle paskudna i Karl pluł sobie w brodę żałując, że dał się w nią wciągnąć. Zataił tę historię przed ludźmi, z którymi obecnie współpracował, bo obawiał się, że mogliby zrezygnować z jego usług.

Na samo wspomnienie wątpliwego interesu, który zrobił, zmuszony gwałtowną potrzebą finansową, rumienił się teraz i dostawał gęsiej skórki.

On, Karl Pron, przywoity lifter, dwa tygodnie temu zadał się — wstyd przyznać — z wampirem. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy i — jak sobie właśnie obiecał — ostatni. . .

Ten nędzny szóstak zaczepił go przy piwie i skołował zupełnie, obiecując pięćset zielonych za drobną przysługę. Pron znał faceta z widzenia, lecz broń Boże! — pojęcia nie miał, czym się ta kreatura zajmuje! Ze swej wrodzonej przychylności wobec ludzi, Karl przyrzekł swą pomoc, a poza tym. . . kiedy nie ma się punktów, każdy interes jest dobry. Karl uwierzył, że sprawa jest łatwa, a jego rola — bezpieczna. W umówionym dniu poszedł do szpitala, obejrzał sobie żywego jeszcze umarlaka, pogadał z leżącym w tej samej sali wampirem, a potem wyszedł z ukradzionym przez wampira Kluczem, przelał u pasera dwa tysiące zielonych na swoje konto, zwrócił Klucz.

Wampir miał poleżeć jeszcze z tydzień, by dopilnować sprawy. Potem mieli się spotkać i rozliczyć. Szóstak nie dawał znaku życia przez następne dziesięć dni, punkty się Karłowi rozlazły.

A jeśli facet nie umarł? — gryźł się Karl od tygodnia.

Dziś właśnie wampir zadzwonił. Domagał się spotkania, mówił półsłówkami i był czegoś podenerwowany. Karl wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby ograbiony pacjent ozdrowiał nagle i zorientował się w stanie swego Klucza.

Pierwsze, co policja robi w takich razach, to ustalenie osoby, na której korzyść przelano punkty. . .

Mam nadzieję, że ten cymbał wybrał odpowiedniego pacjenta! — pocieszał się Karl, idąc w stronę stacji metra, by spotkać się z wampirem.

* * *

Dwaj cywilni wywiadowcy stali przed komisarzem w pozie pełnej skruchy. Szef się wściekał i trudno byłoby nie przyznać mu racji.

— Nie nasza wina, komisarzu. . . — bąknął jeden z tajniaków. — To Wydział Techniki Śledczej wmusił nam ten cholerny aparat do wypróbowania.

— Trzeba było mieć go na oku! — warknął komisarz.

— Oni zapewniali, że zatrzymany nie może się wymknąć. Aresztomat emituje ciągły sygnał kontrolny.

— Niech to szlag trafi! — Komisarz skierował złe spojrzenie na leżący na podłodze wrak aresztomatu. — Żeby nie przewidzieć takiego prostego tricku!

— Próba pozbycia się aresztomatu jest wykroczeniem zagrożonym karą wysokiej grzywny z zamianą na areszt — powiedział drugi tajniak. — Ale w tym przypadku nie mamy nawet dowodu. Musiała zajść pomyłka. Automat nie zidentyfikował tego faceta. Najprawdopodobniej to nie był Karl Pron.

— Jak to? — nastroszył się komisarz. — Więc kto to był?

— Ktoś z nieważnym Kluczem. Aresztomat nie był zaprogramowany na taką okoliczność, nie zapisał numeru.

— No, proszę! Jeszcze jeden błąd konstruktorów. Napiszcie o tym w raporcie! A ten Pron, jak zrozumiałem, zniknął wam z oczu?

— Niestety. Ale, powtarzam, to nie nasza wina. Posłaliśmy aresztomat do hotelu, a sami udaliśmy się do szpitala. Nie wolno nam było osobiście zatrzymać podejrzanego, nie mając żadnych dowodów. Aresztomat jest wybiegiem prawniczym, pozwalającym mieć faceta w ręku bez ograniczenia jego wolności.

— Ale wampira nie złapaliście.

— Mamy paru podejrzanych.

— Bez żadnych dowodów! Wiadomo tylko, że ktoś otrął pacjenta, któremu wyciągnięto przedtem wszystkie punkty z Klucza. Jedynym konkretnym śladem jest ten Pron. Trzeba go teraz znaleźć i zamknąć! — sierdził się komisarz.

— Wciąż nie ma podstaw, szefie. Właściciel Klucza nie żyje. Przelew był zrobiony na dziesięć dni przed jego śmiercią. W szpitalu stoi ogólnie dostępny automat rozliczeniowy. Każdy adwokat bez trudu wykaże, że Pron mógł załatwić transakcję legalnie, z udziałem Brisky'ego. Często bywa, że pacjent, leżący w szpitalu, przelewa swoje punkty na konto znajomego lub członka rodziny, z prośbą o załatwienie jakichś interesów. W tym przypadku pacjent nie miał bliższych krewnych, więc...

— No, tak... — komisarz podrapał się w głowę. — Co wiadomo o tym Pronie?

— Mamy tu wyciągi z jego konta za ostatnie dwa tygodnie. — Jeden z inspektorów rozłożył na biurku papierowe taśmy. — Tydzień temu dostał dwie setki złotych od jakiegoś trzeciaka, wydał je prawie co do punktu. Mieszkał w „Kosmosie”, nie ukrywał się, a nawet, można powiedzieć, afiszował się ze swoimi złotymi. Dziś rano, na przykład, zamawiał kanapki z kawiozem i drogi koniak. Koło południa natomiast... o, tutaj, oddał resztę posiadanych punktów temu, od którego dostał tych dwieście. A potem zainkasował dziesięć tysięcy z Klucza pewnej dobrze prosperującej dziewczynki.

— To przypuszczalnie depozyt. One często tak robią — dodał drugi inspektor.

— A potem, koło siedemnastej, dostał jeszcze kilkaset zielonych od pewnej kobiety.

— Słowem, żadnego punktu zaczepienia! — zirytował się komisarz.

— No... może tylko to jeszcze, że od chwili otrzymania dużego przelewu nie wydał ani punktu przez cały dzień. To musi być rzeczywiście depozyt tej dziewczyny. Hotel ma opłacony z góry, ale sam zniknął.

— Jeszcze jeden wampir wyślizguje się nam z rąk. Trudno, chłopcy. Załóżcie stałą kontrolę konta tego Prona. Musi się wreszcie odezwać, wydać parę punktów, wrócić do hotelu.

— Chyba że... — zaczął jeden z tajniaków.

— Że co? Sądzisz, że ten wampir, z którym współpracował, postarał się zatrzeć ślady? — domyślił się komisarz.

— To zupełnie prawdopodobne. Tylko Pron, o ile jest rzeczywiście współnikiem, przyciśnięty do muru, mógłby sypnąć wampira. A sprawa jest gardłowa, więc...

— Masz rację. Jeśli nie będzie żadnych obrotów na koncie Prona przez najbliższy tydzień, możemy go skreślić i zacząć szukać zwłok — zgodził się komisarz.

— Myślę, że będą, mimo wszystko. On miał dziesięć tysięcy na Kluczu! Nie wierzę, by morderca nie próbował tego odzyskać.

— W jaki sposób?

— Oni znają metody, o których nawet my jeszcze nie mamy pojęcia. Przy takiej sumie warto pokombinować. Na przykład, można zdjąć skórę z palców nieboszczyka albo sporządzić rękawiczkę papilarną. A potem przelać te punkty na dziesięć Kluczy, należących do różnych facetów ze znakomitym alibi. A jeszcze lepiej na Klucze różnych prostytutek albo nieskazitelnych, na pierwszy rzut oka, obywateli. Ślad się rozmyje, rozgałęzi i... szukaj wiatru w polu.

— Tak czy owak — zdecydował komisarz — nie traćcie czasu. Mamy do schwytania jeszcze paru innych drani grasujących w publicznych szpitalach. A z tym Pronem zaczekamy. Jeśli się nie ujawni w ciągu paru dni, przekazemy jego sprawę do Sekcji Zaginięć.

Na biurku zadzwonił telefon. Komisarz słuchał przez dłuższy czas, a potem powiedział bezradnie:

— A co ja mogę mu zrobić? Jeśli nawet łże, to nigdy tego nie wykryjemy. Chyba że znajdziemy wampira i wydusimy z niego zeznania, ale to jeszcze trudniejsza sprawa. Otruc mógł każdy, kto tam był: pacjent, pielęgniarz, ktoś z odwiedzających. Aha, jeszcze jedno: kogo w takim razie próbował zatrzymać ten cholerny arestomat? Tak, rozumiem... Z tym Pronem? Niech idzie do diabła.

Komisarz odłożył słuchawkę i spojrzał na agentów.

— No, i macie swojego „nieboszczyka”. Zgłosił się. Stary lis! Jeśli nawet maczał łapy w tej szpitalnej aferze, to teraz niczego mu nie udowodnimy. Oczywiście

znał Brisky'ego i oczywiście wziął jego oszczędności na przechowanie. Denat bał się, że go okradną.

— To ostatnie jest niepodważalnie prawdopodobne. Źle się dzieje ostatnio w miejskich szpitalach — powiedział jeden z tajniaków.

— A faceta, który w parę dni wydaje dwie setki złotych i ma dziesięć tysięcy na koncie, trudno byłoby oskarżyć o chęć ograbienia staruszka z paru zielonych — dodał drugi. — Inna rzecz, że warto by zbadać, skąd czwartak bierze na takie wydatki.

— To już sprawa Wydziału Kontroli Dochodów. Nie będziemy ich wyręczać, mamy dość własnych kłopotów — uciął komisarz. — Przy okazji dowiedzieliśmy się, kto rozpracował aresztomat. Nazywa się Sneer. O ile Pron nie zmyślił tego pseudonimu. Ale nie sądzę, by łąał wiedząc, że jest podejrzany. Sprawdźcie tego Sneera.

* * *

Cienie wysokich budynków stojących wzdłuż alei Tibigan sięgały już brzegu jeziora. Od strony wody wiał słaby, lecz chłodny wietrzyk, kołyszący barwne żagle na spokojnej tafli zatoki. Karl patrzył na jezioro, dłońmi wsparty o barierkę, oddzielającą promenadę bulwaru od plaży.

Stał tak już od pół godziny, bojąc się odwrócić ku miastu. Wydawało mu się, że stamtąd właśnie grozi niebezpieczeństwo rozpoznania jego twarzy, zdemaskowania, pojmania... Jezioro było czymś neutralnym, nie zaangażowanym w ciemne machinacje. Było czyste, spokojne, radosne.

Inna sprawa, że znajdowano w nim niekiedy ofiary porachunków przestępczego podziemia. Ale w większości przypadków jezioro wyrzucało zwłoki na wybrzeże lub na mielizny nie opodal plaży, jakby chciało odżegnać się od udziału w brudnych interesach, rozgrywających się na lądzie.

Karl pierwszy raz w życiu naprawdę bał się miasta. Idąc tutaj, nad jezioro, gdzie o tej porze nie było już tłumu plażowiczów, przemykał się pod ścianami domów, ukrywając twarz przed przypadkowymi spojrzeniami przechodniów. Nigdy dotąd nie odczuwał podobnego lęku. Tłum był dla niego bezimienną, przelewającą się masą. Nie rozróżniał w nim pojedynczych osób — z wyjątkiem dobrych znajomych, i to tylko wówczas, gdy chciał ich zauważyć. Teraz widział z osobna każdą gębę; każdą parę oczu, prześlizgującą się po jego twarzy. Taksował szybkimi spojrzeniami mijane osoby i wydawało mu się, że przynajmniej co trzeci przechodzień ma bystre oczy inspektora w cywilu.

Nie mógł darować sobie własnej głupoty. Jak można było wchodzić w kon-

szachty z takim typem! Co za beznadziejnie głupi szczeniak! Nie mógł wytrzymać jeszcze kilku dni na szpitalnym żarciu? Śpieszyło mu się do paru nędznych zielonych! Od razu widać, że partacz i nowicjusz. Stary fachowiec poczekałby cierpliwie, co najwyżej pomagając dyskretnie przeznaczeniu. A ten — sygnął jakiegoś paskudztwa, dającego charakterystyczne objawy.

Nie, tego się Karl nie spodziewał! Przyjął spółkę w najlepszej wierze. Sprawa była jasna i czysta jak łza niewinnej dziewczyny: pacjent był człowiekiem samotnym i beznadziejnie chorym. Jego punkty poszłyby i tak do publicznej kasy.

Ale żeby zaraz mordować? Karl wzdrygnął się na samą myśl o śledztwie, w którym on będzie pierwszym podejrzanym, choć nawet palcem nie tknął denata!

Mając w garści niewyczerpane źródło punktów, Karl mógł w każdej chwili wpaść w ciężkie tarapaty przez głupie pięćset zielonych, na które połaszczył się w chwili słabości. Perspektywa wpadki właśnie teraz, w obliczu otwierającego się przed nim raj, wtrącała Karla na dno czarnej rozpacz.

Siedem lat liftingu, i żadnych poważniejszych kłopotów z władzą. Czysta kartoteka w policji, a tu masz diable kaftan! — myślał z żalem, wtulając odruchowo głowę w ramiona, ilekroć za jego plecami zastukały kroki przechodnia spacerującego po bulwarze. — Ciekawe, co grozi za współudział? Ba... ale, żeby potraktowali mnie tylko jako pomocnika, musi najpierw znaleźć się główny winowajca!

Karl bał się przesłuchania. Wiedział, co grozi kapownikowi w Argolandzie. Sypnięcie wampira mogło się zupełnie nie opłacać: wcześniej czy później znaleziono by zwłoki Karla w jakimś kanale albo na skraju plaży.

Z drugiej strony, przeczuwał także, co zrobią faceci od fałszywych Kluczy, gdy zorientują się, że ich cudowny prototyp może wpaść wraz z Karlem w ręce władz. Karl wiedział, że wówczas także może liczyć na cichy pogrzeb w jeziorze Tibigan, i to zanim zostanie zatrzymany.

Bądź co bądź, jestem w sytuacji nieco lepszej niż Sneer. Mam czynny Klucz, i to taki, który nie pozostawia śladów na moim koncie. Policja nie ma żadnych dowodów. Przelew na moje konto z Klucza denata to tylko poszlaka. Zaraz, zaraz... Przecież znam nazwisko tego pacjenta, widziałem go, wiem o nim to i owo... Dlaczegoż by nie zabluffować? Albo... Lepsze to niż czekanie i ukrywanie się, niepewność trwająca przez następne kilka dni. Choćbym się ukrywał, znajdą mnie i zwiną wkrótce, a wtedy rozmowa będzie zupełnie inna.

Poczuł się całkowicie wolny od zobowiązań wobec tej świni, co bez skrupołów wpakowała go w kabałę.

Jeśli ktoś z nas musi mieć kłopoty, to ja w mniejszym stopniu na nie zasłużyłem! — zdecydował i odwrócił się twarzą ku miastu.

Wymijając przechodniów, ruszył wzdłuż bulwaru, potem skręcił w Szóstą Przechodnicę i doszedł do alei Tibigan dokładnie o dziewiętnastej, kiedy wielki zegar na ścianie gmachu Zarządu Automatyki wygrywał swą śpiewną melodyjkę. O tej porze ruch uliczny był już słabszy, ludzie zapełniali lokale rozrywkowe,

bary, sale widowiskowe. Tutaj, w centrum, spotykało się wieczorem całe lepsze towarzystwo Argolandu: „żółte klasy” — od zerowców do trojaków, a także obywatele innych klas, mający do stracenia trochę złotych.

Karl zatrzymał się na chwilę przed wejściem do budynku zwanego „Basztą Argolandu”. Gmach ten — jedna z najwyższych budowli świata — mieścił, oprócz licznych biur, wielki wielobranżowy dom handlowy oraz — na samym prawie szczycie — ekskluzywną restaurację. Mijając „Basztę”, Karl przypomniał sobie, że nie jadł jeszcze obiadu.

Zawsze sobie obiecywałem drogi obiad w „Baszcie”, gdy tylko uda mi się zebrać tysiąc złotych — przypomniał sobie i westchnął. — Nigdy nie pomyślałem, że można mieć jeszcze jakieś kłopoty, gdy się posiada nieograniczony kredyt!

Minął „Basztę” z postanowieniem, że wróci tu zaraz, jeśli powiedzie się jego desperacki plan.

Gdy wchodził do poczekalni Komendantury Policji, siedziało tam kilka osób. Karl zlustrował ich twarze jednym szybkim spojrzeniem. Na szczęście, nie było tu nikogo znajomego. Podszedł do dyżurnego policjanta i zgłosił chęć złożenia zeznania. Po chwili poproszono go do małej kabiny w głębi biura.

— Proszę siadać — uśmiechnął się gruby policjant w niedbale rozpiętym mundurze, siedzący za konsolą.

— Nazywam się Karl Pron. Czwarta klasa — powiedział Karl kładąc na pulpicie swój Klucz.

Inspektor machinalnie wsunął Klucz do identyfikatora i spojrzał na ekran komputerowego terminalu, ukryty przed wzrokiem petenta. Potem przeniósł spojrzenie na twarz Karla.

— Koledzy z Brygady Śledczej szukają pana — powiedział, nie przestając się uprzejmie uśmiechać.

— Domyślam się, o co chodzi. Chyba to ta sama sprawa. — Karl starał się nie tracić dobrej miny, ale wewnętrznie zdenerwował się trochę. — Właśnie dziś dowiedziałem się, że zmarł w szpitalu pewien starszy człowiek nazwiskiem Brisky.

Prawa dłoń inspektora wystukiwała coś na klawiaturze komputerowego terminalu.

— Tak, tak, proszę mówić, słucham pana — powiedział zachęcająco, spoglądając na ekran. — Ben Brisky, zgadza się.

— Znałem go trochę. To znaczy, spotkaliśmy się parę razy na północnym pirsie, za półwyspem. Pan wie, tam jest dobre miejsce do wędkowania, a ja czasem lubię sobie posiedzieć nad wodą. Taka to była znajomość, pan rozumie.

Inspektor pokiwał głową i uśmiechnął się ze zrozumieniem. Być może sam był wędkarzem.

— Więc jakieś dwa tygodnie temu, kiedy byłem na rybach, ktoś mi wspomniał, że Brisky leży w Trzecim Szpitalu. Pomyślałem wtedy, że można by go było odwiedzić. Licho wie, czy ma jakąś rodzinę. Facet był, wie pan, dość sym-

patyczny. Ale jakoś nie mogłem wybrać się do tego szpitala. Wreszcie wstąpiłem tam po paru dniach, przy okazji. Brisky był w kiepskim stanie. W dodatku uroił sobie, że ktoś ze szpitalnych współtowarzyszy dybie na jego oszczędności. Prosił, żebym od niego wziął wszystkie zielone. Zgodziłem się, by go uspokoić. No, więc teraz chciałbym oddać te punkty. Tylko nie wiem, komu?

— Hm... — inspektor zastanawiał się przez chwilę, patrząc w ekran. — Można je zdeponować na koncie policji. Dyżurny wskaże panu odpowiedni automat inkasujący. A poza tym proszę podać miejsce zamieszkania. Możemy pana potrzebować jako świadka.

— Świadka? — Karl zręcznie udał zdziwienie.

— Tak. To Wydział Zabójstw szukał pana dziś po południu. Pańskie zgłoszenie częściowo wyjaśnia wątpliwości, ale...

— Co się stało?

— Brisky'ego otruto.

— W szpitalu? Coś podobnego! Do czego to dochodzi! — oburzył się Karl. — Przedawkowali leki!

— Ee, nie... — uśmiechnął się policjant. — Zresztą, śledztwo jest w toku, wkrótce wyjaśnimy sprawę. Więc gdzie pan mieszka?

— Na razie w hotelu „Kosmos”. Gdybym zmienił adres, zawiadomię.

— W porządku. Dziękujemy, że się pan zgłosił.

Możecie mnie teraz pocałować w tyłek — pomyślał Karl, wstając. — Zznałem wszystko, więcej nie wiem. Punkty oddałem i nikt mi niczego nie udowodni. Mogę spać spokojnie.

— Aha, jeszcze jedno — zatrzymał go gruby inspektor. — Kiedy próbowano... hm... znaleźć pana w hotelu, ktoś inny był w pańskim pokoju. Któż to taki?

— W moim pokoju? — Karl udał głęboki namysł, co dało mu chwilę czasu na błyskawiczną analizę sytuacji. Jeśli policja zastała tam kogoś, to przecież wiadomo, kogo. — Parę osób było u mnie dzisiaj. Może ta dziewczyna, co ją zostawiłem w pokoju, wychodząc rano do miasta?

— To było po południu — odpowiedział policjant.

— Aha. To mógł być tylko...

Zamiast mnie zwinęli Sneera. Co za cholerny pech! Chyba nie pomyślał, że to ja napuściłem na niego gliny? — zafrasował się Karl.

— ...taki jeden kolega. Był zmęczony i zdrzemnął się u mnie.

— Nazwisko?

— Ba! Czy ja wiem? Nazywają go Sneer.

— No, dobrze. — Policjant znów wystukał coś na klawiaturze terminalu i popatrzył w ekran. — Tak. To wszystko. Dziękuję panu.

— Mogę prosić o mój Klucz?

— A, oczywiście. Proszę. — Policjant podał Karlowi Klucz, wyłączył magnetofon i uśmiechnął się sympatycznie na pożegnanie.

Dopiero na ulicy Karl odetchnął pełną piersią.

Jeśli tamten kretyn nie sypnie, mogę być spokojny — pomyślał. — Gdyby mieli choć cień dowodu, nie wypuściliby mnie tak łatwo.

Pomacał w kieszeni Klucz i ruszył w stronę „Baszty”.

* * *

Było dobrze po jedenastej, gdy Sneer wstał z ławki i ruszył w stronę śródmieścia. Wieczorny chłód przenikał jego wytworną bluzę i najmodniejszą białą koszulę, nieco już przybrudzoną po całodniowym włóczeniu się w upale ulic zakurzonego miasta.

Bramka kolei podziemnej była nieubłagana, choć Sneer próbował wszystkich tricków znanych i wypraktykowanych jeszcze w czasach studenckich. Widocznie ulepszono od tego czasu mechanizmy kontrolujące tak, aby nikt nie mógł nadużyć miejskiej komunikacji bez stosownej opłaty. Musiał dotrzeć pieszo do tych rejonów, gdzie miał szansę spotkania kogoś znajomego.

— Panie kochany! — przekonywał go bezradny policjant, dyżurujący przy telefonie w Komendanturze, któremu Sneer zgłosił utratę Klucza. — Cóż ja mogę dla pana zrobić? Mam tu już z dziesięć podobnych zgłoszeń. Jutro dostanę wykaz wszystkich Kluczy, odzyskanych lub znalezionych tej nocy. Niech pan zadzwoni rano.

Do jutra jakoś wytrzymam, ale co będzie, jeśli nie zechcą oddać? — rozważał Sneer, mijając otwarte przez całą dobę sklepy z automatami żywnościowymi i automatyczne jadłodajnie. — Czort wie, co zeznał ten młody idiota?

Pocieszał się, że wpadka downera mogła być spowodowana tylko przyłapaniem go na posługiwaniu się cudzym Kluczem. Taka sytuacja byłaby najkorzystniejsza. Etyka zawodowa nakazywała — przynajmniej w przypadku liftingu — by niefortunny fachowiec chronił klienta, biorąc całą winę na siebie. Powinien przyznać się, że znalazł cudzy Klucz i próbował z własnej inicjatywy uruchomić go dla własnych celów. Trudno wówczas udowodnić cokolwiek klientowi, szczególnie gdy dopełnił obowiązku zgłoszenia zguby. Ale jeśli downer został zatrzymany zamiast Sneera, podobnie jak ten — zamiast Prona?

Co za cholerny splot przypadków! — myślał Sneer ze złością, dotykając dłońią metalowej bransolety, która wciąż obejmowała jego przegub. — Jednak chcieli czegoś ode mnie. Stacje Testowe dostały polecenie zatrzymania mnie, gdy zgłoszę się do kontroli. Co gorsza, wcale nie chodzi im o ten diabelski aresztomat. On

chyba nawet nie zarejestrował mojego numeru. Widocznie zablokowany Klucz nie pozwala na odczytanie danych przez zwykły automat. Dopiero identyfikator w Stacji Testowej może dobrać się do danych z takiego Klucza. No, i dobrał się, porównał z rejestrem zastrzeżeń i wyszło, że trzeba zawiadomić policję. Chłopak wpadł przeze mnie, nie na odwrót. Trudno, jego zawodowe ryzyko. Za to bierze swoje cztery setki. Najgorsze, że wciąż nie wiadomo, czego chcą ode mnie. Jakkolwiek by było, doliczą w ostatecznym rozrachunku także próbę posłużenia się downerem, a licho wie, czy nie skojarzą tego z moim zajęciem. Musieliby być durniami, gdyby nie wiedzieli, komu przede wszystkim potrzebni są downerzy. A jeśli nie pozbędę się tej cholernej obręczy, to dostanie mi się także za tamtego policyjnego diabła.

Sneer zdawał sobie sprawę z tego, co oznacza utrata Klucza. Nie będąc jednakże dotychczas nigdy w podobnych tarapatkach, nie przypuszczał, jak przykre może to być w bliższym zetknięciu.

Co za perfidny system przymusu! — zżymał się, klucząc bocznymi ulicami w kierunku centrum miasta. — Jak łatwo przywołać do porządku każdego, kto choć o cal wyłamie się z przypisanych mu ramek. Dopóki jesteś w porządku, respektujesz wszystkie, głupie i mądre, zarządzenia administracyjne, nie buntujesz się, pracujesz, kiedy ci każą, a kiedy cię zwolnią, nie protestujesz, dopóki jesteś potulnym barankiem w tej owczarni, dostajesz co najmniej minimum tego, co niezbędne do egzystencji. Ale spróbuj tylko wystawić rogi! Bez Klucza zdechniesz, samotny pośród milionów ludzi, goniących za własnym interesem.

Świat Argolandu objawiał mu teraz swoje drugie oblicze, a raczej swój „spód”, o którym wiedział, lecz którego nie oglądał nigdy z takiego punktu widzenia, będąc zawsze „na wierzchu” tego społeczeństwa.

Odczuwając coraz dotkliwszy głód i zmęczenie, zatęsknił do dawnych, znanych z historii, dobrych czasów, kiedy można było wyciągnąć komuś z kieszeni portfel wypchany banknotami albo urznąć dyndający u pasa mieszek pełen dukatów. Albo chociaż ściągnąć kilka jabłek ze straganu!

Dziś wszystkiego strzeże nieomylna, czujna elektronika i automatyka. Możesz ukraść bliźniemu jego Klucz, ale niewiele ci z tego przyjdzie. Gdy spróbujesz go użyć, każdy automat okrzyknie cię złodziejem.

Poza śródmieściem ulice były o tej porze dość puste. Sneer słabo znał dzielnicę, kluczył więc nieco na oślep pomiędzy podobnymi do siebie blokami mieszkalnymi, kierując się — jak na latarnię morską — na jasno oświetlony szczyt „Baszty Argolandu”, ukazujący się w prześwitach ulic wiodących w stronę centrum.

Tam, na sto dwudziestym piątym piętrze, siedzą sobie różne nicponie i żrą soczyste befsztyki. . . — westchnął, wspominając świetną kuchnię restauracji na szczycie wieżowca.

Na skrzyżowaniu ulic, przed wejściem do pustego o tej porze małego baru, prawie wpadł na jakąś wychudzoną, rozczochraną dziewczynę. Usunęła się szyb-

ko pod mur budynku, kryjąc się w cieniu pomiędzy dwoma oświetlonymi oknami bistro. Sneer wszedł do środka.

Za grubymi szybkami gablot bufetu widać było apetyczne, zimne i gorące przekąski. Automaty z napojami zapraszały barwnymi, sugestywnymi reklamami. Przełknął ślinę i odruchowo sięgnął do kieszeni, ale dobrze wiedział, że nie ma sposobu na automaty gastronomiczne. Chyba że...

Powiódł końcami palców wzdłuż krawędzi drzwiczek jednego z podajników. Szczelina była zbyt wąska, by udało się podważyć czymkolwiek drzwiczki, odgradzające głodniałego człowieka od smakowitych dań. Najsłabszym punktem była szyba, lecz Sneer nie miał ochoty wybierać okruchów szkła z talerza. Ze złością uderzył pięścią w szkło.

— Uważaj! — usłyszał za sobą lekko schrypnięty głos.

Obejrzał się. Chuda dziewczyna stała w drzwiach baru. W jasnym świetle mógł widzieć jej brzydką, wyblakłą twarz i błyszczące gorączkowo oczy.

— Nie próbuj nawet — powiedziała, wskazując na automaty. — Założyli zabezpieczenia. Popatrz!

Wyciągnęła w kierunku Sneera wąskie, kościste dłonie, pokryte bliznami po niedawnych zadrapaniach. Patrzył na nią pytająco.

— Wmontowali pojemniki z aerozolem. Kiedy stłuczesz szybę, automat opryska cię takim gryzącym paskudztwem, że będziesz się drapał przez trzy godziny do krwi. To przesiąka nawet przez rękawiczki i odzież. Miałam szczęście, że tylko dłonie...

Stali naprzeciw siebie, milcząc przez chwilę.

— Myślałam, że masz punkty. Taki elegancki facet, tutaj... To jest tania knajpka, za czerwone i zielone. Żółtacy tu nie przychodzą. Ale... ty też nie masz?

— Straciłem Klucz.

— Przykro. Myślałam, że coś zarobię. Nie mogę dostać się do mojej kabiny. Nie zapłaciłam za poprzedni miesiąc i zablokowali mi drzwi. Teraz płacę z dnia na dzień, po trochu, ile uda mi się zdobyć. Kiedy zadłużenie się zmniejsza, czasem udaje się otworzyć drzwi i przespać w domu. Ale kiedyś wreszcie trzeba wyjść, zdobyć coś do jedzenia. A przy powrocie znów trzeba płacić, żeby drzwi się otworzyły. I tak z dnia na dzień. A Klucz mam pusty.

— Do końca miesiąca jeszcze sporo czasu — zauważył Sneer.

Nie spodziewał się, by ktokolwiek mógł w tym mieście znajdować się w tak krytycznej sytuacji. Miesięczny przydział punktów zapewniał podstawy egzystencji nawet szóstakom.

— Zaraz na początku miesiąca przychodzi ten łajdak i zabiera mi wszystko, do ostatniego czerwonego — westchnęła dziewczyna.

— Mąż?

— Niezupełnie. Ale mimo to bije, kiedy nie chcę zrobić przelewu.

— Próbowłaś złożyć skargę w policji?

— W policji? On dla nich pracuje. Jest na ich usługach, potrzebują go i nie zrobią mu krzywdy. Przez całe noce nie ma go w domu, prawie nie mieszka ze mną, nic go nie obchodzi, że komorne nie zapłacone.

— Nie mogę ci pomóc — Sneer rozłożył ręce. — Sam nie wiem, gdzie będę spał tej nocy.

— Dam sobie radę — uśmiechnęła się dziewczyna. — Nie dziś, to jutro znajdzie się ktoś z paroma punktami. Póki Klucz w garści, w sercu nadzieja, jak mówią. Gorzej, jak nawet Klucza nie ma. Wtedy dopiero zaczyna się gehenna. Znam to, ukradli mi kiedyś Klucz. Ostatnio podobno coraz częściej kradną. Zanim człowiek dostanie nowy, zdechnąć można przez tę biurokrację.

Przygębiony jeszcze głębiej utyskiwaniami dziewczyny, Sneer przyspieszył kroku, by prędzej znaleźć się w znanych, przyjaznych, pełnych znajomych osób, rejonach śródmieścia. By skrócić sobie drogę, skręcił z głównej ulicy, zataczającej obszerny łuk estakadą nad niskimi, starymi domami. Zabrnął w wąskie uliczki starej dzielnicy i po chwili już żałował, że nie trzymał się dobrze oświetlonej arterii.

— Ej, panie! — usłyszał za sobą cienki, dziecięcy głos.

Spojrzał przez ramię. Mały, najwyżej dziesięcioletni chłopczyk szedł za nim w odległości paru kroków.

— Czego chcesz? — Sneer rozejrzał się ukradkiem na boki.

— Kup mi czekoladę. Tu, za rogiem, jest automat.

— Kiedy, widzisz — Sneer uśmiechnął się przyjaźnie do malca — tak się nieszczęśliwie złożyło, że mi właśnie ukradli Klucz!

Chłopiec stał przed nim, milcząc z zakłopotaną miną. Widać nie miał instrukcji na taką okoliczność.

— No, dlaczego nie chcesz kupić dziecku czekolady? — powiedział ktoś skryty w mrocznej sieni budynku. — Mam cię nauczyć uprzejmości?

Z ciemnego otworu drzwi wyłonił się wysoki, barczysty młodzieniec. Za nim wyszło jeszcze dwóch, niższych i mniej okazałych. Byli za to uzbrojeni w cienkie metalowe drążki.

— Powiedziałem, że nie mam Klucza — burknął Sneer, robiąc krok w ich stronę. — Nie wierzysz? Masz, szukaj!

Dryblas zbliżył się niezdecydowanie.

— Tylko bez sztuczek! — ostrzegł niepewnie.

Czuło się, że brak mu rutyny. Obmacał stojącego spokojnie Sneera, sprawdził wszystkie kieszenie.

— Nie ma — powiedział w stronę kumpli.

— Zostaw. Może być glina — poradził jeden z nich.

— Ja tu znam wszystkich tajniaków — mruknął wysoki. — Kto ty jesteś?

— Nie powiem ci, synku — wycedził Sneer — bo umarłbyś ze strachu.

Chłopak wahał się chwilę, ale cofnął się o dwa kroki.

— No, dobra, dobra! — powiedział pojednawczo. — Sprawy nie było.

Sneer zrobił zwrot na pięcie i nie oglądając się, niezbyt szybko oddalił się w stronę najbliższej przecznicy. Dopiero za rogiem, widząc z daleka zaparkowany przy krawężniku wóz policyjny, odetchnął swobodniej.

Udało się. Początkujący wyciskacze dobrze wiedzieli, kto — oprócz niektórych tajnych funkcjonariuszy policji — chadzać może nocą bez Klucza po ulicach Argolandu. Gdyby Sneer miał Klucz przy sobie, przygoda niechybnie zakończyłaby się przymusowymi zakupami.

Wyciskacze nie czynili zazwyczaj krzywdy cielesnej przechodniowi, płacącemu w automatach sklepowych za zamówione przez nich towary. Zwykle poprzestawali na kilku butelkach alkoholu, paru puszkach piwa, jakiejś niewielkiej zakasce. Uwzględniając stan punktowy konta ofiary, nie nadużywali go zbytnio. Na umiarkowaniu wymagań opierali własne bezpieczeństwo i bezkarność. Klient, obrobiony w miarę łagodnie, rezygnował przeważnie ze składania doniesień na policji, zdając sobie sprawę z bezskuteczności skargi. Wyciskacz nigdy oczywiście nie wymuszał żadnych przelewów na swoje konto i wszelki ślad ginął wraz z nim za rogiem ulicy.

Tylko odmowa obdarowania wyciskaczy kończyła się zwykle mniej lub bardziej dotkliwym pobiciem — ku przestrodze potencjalnym klientom. Także w tym przypadku identyfikacja napastników była bardzo utrudniona, gdyż działali z dala od stałych siedzib, gdzie zwykle cieszyli się niezłą opinią wśród sąsiadów i miejscowych policjantów.

Wolałbym już nawet stracić parę punktów, byle mieć Klucz! — pomyślał Sneer. — Dobrze, że się odczepili. Mogliby mi dołożyć ze złości, że nic nie dostali!

Zagrał ryzykownie, ale z dobrym skutkiem. Sugestia podziałała, w ich szóstackich mózgownicach zakiełkował strach. Elegancko ubrany facet spacerujący bez Klucza po bocznych ulicach, mógł być zdziercą. Sneer sam czuł niemiły dreszcz na plecach, gdy myślał o spotkaniu prawdziwego zdziercy. Nie znał nikogo, kto wyszedł cało z takiego spotkania. O zdziercach słyszało się niekiedy w komunikatach policyjnych i stąd ich wyczyny znane były szerokiemu ogółowi.

Zdzierstwo jest procederem nie znajdującym akceptacji nawet w kręgach najbardziej zdegenerowanych przestępców Argolandu. Zdzierca to zwyrodniały bandzior, który potrafi zabić człowieka jednym uderzeniem pięści, by potem, posługując się specjalną, sobie tylko znaną techniką, precyzyjnie zedrzeć skórę z dłoni denata — jak zdejmuje się rękawiczkę.

Zdzierca nie nosi własnego Klucza. Do akcji wyrusza ubrany w porządną strój wieczorowy. Ma zwykle jedną noc na opróżnienie Klucza ofiary, zanim policja dowie się o zabójstwie i zablokuje konto. Nie ma zatem czasu na sporządzenie rękawiczki papilarnej. Zresztą, żaden szanujący własny spokój i wolność rękaz nie sporządza rękawiczki z martwej dłoni, a zdzierca też nie lubi wciągać nikogo do spółki. Używając skóry ofiary jako rękawiczki, prowadzi do rana intensywne

nocne życie po najlepszych lokalach, nie wzbudzając niczyich podejrzeń — chyba że popełni jakąś nieostrożność.

Możliwość używania cudzego Klucza kończy się zwykle następnego dnia, lecz zdzierca śpi już wówczas w najlepsze w swej melinie, nabierając sił do kolejnej nocnej wyprawy na następną ofiarę. Przestępca jest tak doskonale anonimowy, że nie udało się jeszcze w Argolandzie schwycić żadnego zdziercy.

Sneer słyszał o przypadkach, gdy ofiarą zdzierstwa padali ludzie ze znikomym stanem konta. Przestępca nie sprawdza przecież Klucza przed atakiem na przechodnia, ofiarę wybiera zapewne na oko, według zewnętrznego wyglądu. Zatem brak Klucza nie chroni przed tego rodzaju opryszkami.

Docierając do południowej części śródmieścia, gdzie patrole policyjne skrętniej wymiatały z ulic podejrzanych nocnych włóczęgów, Sneer poczuł się bezpieczniej. Policjanci byli teraz jego sprzymierzeńcami i opiekunami. Przepisowo zgłosił utratę Klucza, mogli to w każdej chwili sprawdzić w Komendanturze. A dowód własnej tożsamości — linie papilarne dłoni — miał, jak każdy obywatel, zarejestrowane w centralnej kartotece Syskomu. Oddychał z ulgą, wkraczając na znany teren, gdzie nie powinno go spotkać nic złego dniem ani nocą. Tutaj przeżył prawie całe swoje dorosłe życie, tu czuł się pewnie i bezpiecznie.

Wlokąc się na obolałych nogach, przeklinał rozległość aglomeracji. Argoland, rozprzestrzeniając się wzdłuż zachodniego i południowo-zachodniego brzegu jeziora, stopniowo wchłonał dawne suburbia i kilka starych, podupałych miasteczek w promieniu dziesiątek kilometrów. Teraz był monstrualnym zlepkiem dawnych wielkomiejskich dzielnic, podmiejskich obszarów niskiej zabudowy i otaczających pierścieniem śródmieście licznych osiedli ponurych, monotonicznie jednakowych bloków mieszkalnych.

Dalej, poza granicami aglomeracji, nie było już nic... To znaczy, nic z punktu widzenia bezpośrednich zainteresowań mieszkańców miasta. Setkami kilometrów rozpościerały się tam obszary upraw rolnych i fermy hodowlane, obsługiwane przez urzędników wymagające nadzoru zaledwie nielicznych specjalistów. Gdzieniegdzie wśród pól uprawnych spotkać było można jakieś dziwne budowle — w pełni zautomatyzowane przetwórnice, fabryki prawie całkowicie ukryte we wnętrzu ziemi, by nie zajmowały cennej powierzchni uprawnej. Ludzie zamieszkujący miasto nie myśleli na co dzień o tych terenach, nie traktowali ich jak źródła tego wszystkiego, co konsumowali każdego dnia w mieście. Dla przeciętnego argolandczyka tereny pozamiejskie jak gdyby nie istniały. Mało kto wybiegał myślą poza aglomerację, choć każdy przecież — w ramach odbytych wyższych studiów — uczył się o tym wszystkim. Nauka ta, dla większości, nieprzydatna w dalszym życiu, prędko wietrzała z głów i niejedyn, spytany o pochodzenie pewnych artykułów spożywczych lub wyrobów codziennego użytku, nie potrafiłby powiedzieć nic ponad to, że pochodzą z odpowiedniego automatu czy magazynu.

W sytuacji, gdy każdy prawie obywatel całe swe życie spędzał w obszarze

aglomeracji, pochłonięty legalnym lub nielegalnym pomnażaniem punktów, trudno było dziwić się takiemu podejściu. Sprawy produkcji dóbr mogły interesować co najwyżej jakichś przemądrzałych zerowców — tych samych, co wymyślali wszystkie te dowcipne maszyny, eliminujące potrzebę ludzkiej pracy na roli czy w fabrykach. Najważniejsze, że za swoje punkty każdy mógł dostać to, co było mu potrzebne, i że zostawało jeszcze na eksport do innych aglomeracji, skąd za to dostawało się różne importowane delikatesy i artykuły luksusowe dostępne za żółte dla tych, co umieli je zdobywać.

Sieć dróg i linii kolejowych, zbiegających się w obszarze aglomeracji, służyła wyłącznie dowozowi towarów do miasta i wywozowi produkowanych przez nie odpadów do przerobu lub unicestwienia w zakładach produkujących energię. Aglomeracja była ogromną, żywą istotą, monstrualnym polipem rozsiadłym pośrodku rozległego obszaru i wysysającym z niego wszystko, co się dało. Gdzieś daleko, rozsiane po wielkim kontynencie, istniały podobne. Tak podobne, że nikt właściwie nie miał dostatecznie ważnych powodów, by je odwiedzać. Tym bardziej że kosztowałyoby to zawrotną liczbę punktów.

Dawne, historyczne przyczyny migracji ludności — chęć łatwiejszego życia, lepszych zarobków — przestały działać od chwili ogólnoświatowej unifikacji zasad gospodarczych i wprowadzenia jednolitej klasyfikacji intelektualnej. Teoretycznie można było zarejestrować się w dowolnej aglomeracji, lecz związane z tym formalności i opłaty stanowiły skuteczną zaporę przeciwko przemieszczaniu się ludności. Światowy system gospodarczy wyrównywał poziom życia mieszkańców globu tak dokładnie i skutecznie, że obywatele określonej klasy mieli się jednakowo w każdym miejscu globu.

Od czasu, gdy produkcja przemysłowa i rolna uległy całkowitej mechanizacji, zniknęły mniejsze ośrodki — miasta, wsie, osiedla przy dużych zakładach przemysłowych. Ludność na terenach poza wielkimi aglomeracjami okazała się zupełnie zbędna, tereny były potrzebne pod uprawy. Dawni mieszkańcy mniejszych miejscowości wchłonięci zostali przez wielkie aglomeracje, powiększając tłum „rezerwowych”, dla których nie było zajęcia także w miastach. Lecz tutaj można było żyć, nawet nie pracując. Tu znajdowały się automaty, magazyny, instytucje kulturalno-rozrywkowe, mieszkania.

Dla niektórych nie zatrudnionych — takich jak Sneer — aglomeracja była wdzięcznym terenem do rozwijania pozalegalnej, lecz intratnej działalności usługowej, pomnażającej skromne stosunkowo dochody z dotacji urzędowych. Lecz, by takie dodatkowe dochody osiągnąć, trzeba było mieć klasę. Nie na Kluczu, lecz w głowie, jak mawiał Sneer. Większość niepracujących, z klasą od czwartej do szóstej, a także niektórzy trojacy posiadający niezbyt przydatne specjalności zawodowe, przyjmowali bez protestu status materialny wynikający z zaszerzgowania intelektualnego. Jednakowy dla wszystkich klas, przydział czerwonych punktów zapewniał niezłe pokrycie codziennych potrzeb, a pewna kwota ziolo-

nych (otrzymywanych przez wszystkich, proporcjonalnie do zaszerzgowania — z wyjątkiem studiującej młodzieży, która dostawała tylko czerwone) dawała możliwość korzystania z dodatkowych uciech oferowanych przez miasto.

Tak więc każdy był nie tylko zabezpieczony materialnie, lecz także miał wciąż szansę polepszania swej sytuacji drogą kształcenia własnego intelektu. Dawało to każdemu tak potrzebną w życiu nadzieję na „coś więcej”.

Nadzieja ta była — mówiąc szczerze — dość iluzoryczna, jednak zdawali sobie z tego sprawę tylko ci, którzy wspięli się nieco wyżej od innych, osiągając średnią klasę. Granica wymagań stawiana przed kandydatami do pracy dosłownie uciekała przed ludźmi szybciej, niż byli oni zdolni podnosić swą klasę umysłową. Niektórzy pozostawali na zawsze w pokonanym polu, zderzając się z nieprzekraczalnym pułapem własnych możliwości. Inni — dla których nawet mur oficjalnej etyki nie był żadną przeszkodą, forsowali barierę możliwości przy pomocy fachowców podobnych do Sneera.

W sumie, nie bardzo było wiadomo, czy to stopień komplikacji urządzeń technicznych i problemów społecznych wzrastał tak gwałtownie, że coraz mniej ludzi potrafiło sprostać obowiązkom wynikającym z kierowania i nadzoru — czy może poziom umysłowy społeczeństwa obniżał się w ogólnej skali tak szybko i władze dla utrzymania dobrego nastroju musiały cichcem zaniżać kryteria klasyfikacyjne, wskutek czego dzisiejszy trojak czy dwojak nie był już tak inteligentny, jak niegdysiejszy.

Ogólnie biorąc, wszystko w tym systemie działo się zgodnie z pierwotnymi założeniami: automatyzacja procesów wytwórczych i operacji handlowych po to właśnie została wprowadzona, by uwolniwszy ludzi od wysiłku fizycznego i umysłowego, zapewnić im dobrobyt i wygodę. Ostateczną granicą tego procesu byłby zatem stan, w którym nikt nie pracuje, lecz wszyscy korzystają z wytworów automatycznych urządzeń. Pierwotnie sądzono, że granica ta osiągnięta zostanie w jakiejś niewyobrażalnie odległej przyszłości. Urbanizację przyjęto jako nieodzowny produkt uboczny wdrażanego programu. Problem zatrudnienia spodziewano się rozwiązać drogą skracania dziennego czasu pracy i zwiększania zmianowości.

Szybko okazało się to utopią. W teoretycznych rozważaniach pomyłono rzeczywistość z pobożnymi życzeniami idealistycznych demagogów: zbyt serio potraktowano nieprecyzyjnie rozumiany aksjomat o równości wszystkich ludzi. Bo cóż to znaczy, że jeden człowiek jest równy drugiemu? Człowiek — rzecz można — jest istotą wielowymiarową; któreż z jego cech uznać mamy za reprezentatywne dla porównań? Ani możliwości, fizyczne czy umysłowe, ani potrzeby, materialne czy duchowe, zunifikowane nie są i ujednoczyć się nie dają.

Wprowadzenie powszechnie obowiązującego wyższego wykształcenia, mającego zrównać możliwości i szansę, obnażyło jedynie niezaprzeczone różnice poziomów umysłowych i zdolności. System klasyfikacyjny stał się niezbędny dla określenia, kto i w jakim stopniu zdolny jest sprostać wymogom złożonego ukła-

du. Upychanie na stanowiskach pracy ludzi z miernymi zdolnościami byłoby absurdem. O wiele prościej i taniej zapewnić im byt bez zatrudnienia, niż tworzyć fikcyjne stanowiska pracy!

W trakcie wdrażania nowego systemu ekonomicznego padły kolejne, z dawna pokutujące w ludzkim kanonie poglądów społecznych, nieściste lub zgoła błędne pewniki. Okazało się na przykład, że wbrew przekonaniu panującemu od czasów wczesnego kapitalizmu, ludzie wcale nie żądają pracy dla niej samej „Praca” była zawsze pewnym hasłem, umownym symbolem, znaczącym tyle, co inny umowny symbol — „pieniądz”. Jedno i drugie pojęcie oznacza to samo: sumę dóbr, jakie pracownik spodziewa się otrzymać na własność. Żądając pracy, robotnik spodziewa się otrzymania — w naturalnym następstwie rzeczy — płacy. W czasach, gdy nie było innego sposobu zdobycia pieniędzy przez liczne rzesze ludzi pracujących, w swej podstawowej masie uczciwych i uczciwie traktujących swoją społeczną rolę, oderwani od życia teoretycy ukuli doktrynę, iż lud pracujący potrzebuje tylko pracy, bo żyć bez niej nie potrafi.

Ale w gruncie rzeczy, każdy człowiek jest w pewnej mierze leniwy, mniej lub bardziej — tak jak bywa lepszy lub gorszy, głupszy lub mądrzejszy; jest to jego naturalne, ludzkie prawo, świadczące o człowieczeństwie. Można nawet — jak chcą niektórzy — lenistwu przypisać rolę twórczą w kształtowaniu ludzkiej cywilizacji. Gdyby bowiem nie lenistwo naszych przodków, chcących osiągnąć to samo mniejszym wysiłkiem, nie mielibyśmy dziś nawet maszyn prostych.

W długiej historii ludzkich społeczeństw znaleźć można eksperymenty różnych reformatorów, zmierzające do tego, by zapewnić ludziom pracę z pominięciem płacy. Jednak próby takie na ogół kończyły się fiaskiem, przy czym wychodziło zazwyczaj na jaw, iż człowiek pracujący nie uważa jeszcze za wynagrodzenie tego, co zużywa na prostą reprodukcję własnych sił fizycznych, na mieszkanie, ubranie i inne koszty własne swego jednoosobowego „przedsiębiorstwa”.

Natomiast odwrotny eksperyment nie prowadzi do katastrofy: dając człowiekowi samą płacę, powodujemy, że pracę znajduje on sobie we własnym zakresie, odpowiednio do stopnia własnego lenistwa. Przy czym regułą jest, iż aktywność okazuje się proporcjonalna do poziomu umysłowego osobnika. W skrajnym przypadku — człekokształtna małpa, karmiona do syta, nie przejawia żadnych skłonności do organizowania sobie pracy, wyżywając się wyłącznie w zajęciach czysto ludycznych.

Należy zwrócić uwagę, że historia wykazała także powierzchowność innego sądu, wywodzącego się ze starożytności, a głoszącego, iż lud potrzebuje jakoby tylko chleba i igrzysk. Nieraz mogli się przekonać różni późniejsi władcy, że otrzymawszy sam chleb, lud niechybnie zapyta zaraz o masło i wędlinę, bojkotując najatrakcyjniejsze nawet igrzyska.

System panujący w społeczności Argolandu nie był sprzeczny z naturalnymi prawami: pracą zajmowali się najinteligentniejsi — z konieczności lub z wyboru

działając w legalnych i nielegalnych dziedzinach życia społecznego i gospodarczego — i na ogół nie czuli się pokrzywdzeni; ci o niższym poziomie umysłowym, pobierający dotacje — także nie domagali się bynajmniej umożliwienia im odpracowania otrzymanych dóbr. Jednym słowem, wszystko przedstawiało się jako układ dość stabilny i w miarę sprawiedliwy.

Tak przynajmniej interpretował sytuację Sneer, stojący nieco z boku głównego nurtu życia podstawowej masy obywateli Argolandu. Do dzisiejszego, fatalnego dnia — dysponując zwykle dość pokaźną sumą punktów na Kluczu — nieczęsto wdawał się w dywagacje nad oceną rzeczywistości pozwalającej mu zupełnie przyzwyciężyć egzystować pośród dobrze poznanych zjawisk i procesów.

Po zastanowieniu, obecną sytuację Sneer ocenił jako przypadek, z której trzeba się będzie będzie mniejszym lub większym kosztem wydobyć. To jeszcze nie katastrofa. Ostatecznie, innym ludziom też giną od czasu do czasu Klucze.

Gorzej było z najbliższą przyszłością. Sneer od razu skreślił Prona z listy osób, u których można by poszukać schronienia na dzisiejszą noc. Jeśli nawet policja nie zatrzymała go do tej pory, to pewnie postarał się zniknąć bez śladu, przynajmniej na pewien czas.

Znalazłszy się przed gmachem hotelu „Kosmos”, Sneer wstąpił jednak do hallu i na wszelki wypadek sprawdził listę gości. Owszem. Kabina Prona była nadal zarezerwowana i opłacona, lecz lokatora w niej nie było. Tak przynajmniej informował monitor informacyjny hotelowego komputera.

Pokój Sneera był także opłacony na dalsze trzy doby, co w obecnej sytuacji zakrawało na kpinę. Bez Klucza nie było sposobu, by dostać się do własnej kabiny noclegowej. Na domiar złego, z hotelowej restauracji dochodziły dźwięki muzyki tanecznej i zapachy gorących dań.

Sneer usiadł na kanapie w hallu i łakomie patrzył na szklane drzwi knajpy, za którymi rozbawieni mężczyźni obżerali się i pili przy akompaniamencie radosnego szczebiotu kobiet, wśród których przeważały miejscowe „panienki”. Sneer widywał je tutaj każdej nocy. Niektóre — te lepiej prosperujące — miały wynajęte na stałe kabiny w hotelu, inne przychodziły z miasta.

Jeszcze jeden zawód, przy którym wysoka klasa tylko przeszkadza — pomyślał, obserwując tańczących na parkiecie. — Trudno przecież pracować w dzień i w nocy; a zresztą, nadmiar intelektu też chyba zawadza w tej profesji. Mężczyźni wolą górować umysłowo nawet w łóżku.

Myśl o łóżku wywołała w nim raczej dosłowne skojarzenia, ciepło hotelowego hallu otuliło go łagodnie. Z głową odchyłoną do tyłu na zagłówek kanapy, przymknął powieki.

— Samotny? — usłyszał nagle stłumiony głos za plecami, czując równocześnie na ramieniu czyjaś lekka dłoń.

Obejrzał się ostrożnie. Za oparciem kanapy stała dziewczyna. Pochylona nieco, w lekkiej sukience zapiętej prawie pod szyją, nie wyglądała na nocną rezy-

dentkę hotelowej knajpy. Wydało mu się jednak, że musiał widzieć ją już kiedyś: te duże, okrągłe, niebieskie oczy, jasną twarz w aureoli złotawych, dość krótko obciętych, lecz wijących się włosów.

— Źle trafiłaś — uśmiechnął się. — Dziś firma nieczynna.

— Wiem. Masz kłopoty — odpowiedziała ze zmrużeniem oczu.

— Skąd wiesz?

— Widziałam dziś po południu. Puścił cię ten... mechaniczny gliniarz?

— Aha, widziałaś — mruknął Sneer. — No, to już wiesz i rozumiesz, że...

— Dziś rano — przerwała mu szeptem — jeden taki, nieduży i trochę łysy, pytał o ciebie. A raczej, nie o ciebie konkretnie, tylko o specja z twojej branży. Powiedziałam, że był tu taki i spytałam, czy cię zna. Ucieszył się i poszedł cię szukać. Nie wiem, czy... nie zrobiłam czegoś niewłaściwego?

— Skąd wiesz, czym się zajmuję? — Sneer oprzytomniał już zupełnie. Patrzył na dziewczynę badawczo, raz jeszcze usiłując sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach mógł ją widywać.

— Nie denerwuj się. Jeśli to przeze mnie masz kłopoty, powiedz. Ja naprawdę niczego o tobie nie powiedziałam. On cię znał.

— W porządku. Widziałem się z nim. Może byłoby lepiej, gdybym go nie spotkał, ale to i tak nie ma większego znaczenia. Nie trap się.

Sneer uśmiechnął się blado i zamknął oczy. Czuł znów ogarniającą go falę senności, która przewyciężała uczucie głodu i pragnienia.

— Źle wyglądasz. Powinieneś się przespać — powiedziała dziewczyna.

— Powinienem. Zjeść kolację, wyspać się... Ale nic z tego — odburknął niecierpliwie. — Nie mam Klucza.

Milczała przez chwilę, jakby nie rozumiejąc.

— Jak to? W ogóle nie masz? — powiedziała po chwili. — Zresztą, nieważne. Chodź, mam tu kabinę. Wprawdzie rano przyjdzie pewien facet, który...

Sneer spał. Potrząsnęła jego ramieniem, potem odeszła na chwilę w stronę baru. Wróciła z plastikową torbą i znów potrząsnęła śpiącym.

— Chodź! — powiedziała. — Wzięłam coś do zjedzenia. Nie mam zbyt wielu złotych, ale nie mogę patrzeć, jak się męczysz.

Wstał i bezwolnie dał się zaciągnąć do windy, a potem do kabiny. Tutaj dopiero obudził się na dobre, zatapiając zęby w ćwiartce kurczaka z rożna. Szklanka wina przywróciła mu całkowicie przytomność.

Dziewczyna miała widocznie najprawdziwsze wyrzuty sumienia. Sądziła, że to z jej winy Sneer wpadł w tarapaty i chciała to jakoś odkręcić. Rozczuliła go ta troskliwość zupełnie obcej dziewczyny, której nie znał nawet z imienia.

— Przypadkiem wiedziałam, jak cię nazywają i co robisz — wyjaśniała skwapliwie, w pośpiechu i bezładnie. — Ten facet szukał dobrego liftera. Wiesz, tutaj dziewczyny wiedzą coś o każdym, kto pomieszka parę dni. Plotkują w barze.

A ten łysy zafundował mi przekąskę, więc... chciałam się zrewanżować... Czy to był ktoś z policji?

— Nie. Sam ma jakieś kłopoty — powiedział Sneer między kęsami kurczaka — i przy okazji zaplątałem się w jego sprawę. Ale to ani twoja wina, ani jego.

Spostrzegł, że dziewczyna patrzy na jego prawy nadgarstek.

— O, widzisz? — uśmiechnął się. — Pozbyłem się tego drobnego problemu. Zostały inne, gorsze. Ale to już zupełnie osobna sprawa.

Położył rękę na jej dłoni.

— Dziękuję ci, w każdym razie. Jak ci na imię?

— Alicja.

— Przeszkadzam ci w pracy, Alicjo. Zaraz sobie pójdę.

— Nie przeszkadzasz. Rano powinien tu przyjść facet, który przechowuje moje punkty. Wiesz, nie trzymam ich na własnym Kluczu. Nie muszę dziś pracować... za punkty. W ogóle, chętnie bym zajęła się czymś innym. Gdyby można było uczciwie zarobić chociaż ze dwie setki złotych na miesiąc, nie marnowałabym zdrowia w tej cholernej knajpie.

— Dwie setki? — Sneer spojrzał na nią ze zdziwieniem. — Tyle nie dostaje nawet zerowiec na kierowniczym stanowisku.

Uśmiechnęła się zagadkowo.

— Są różni zerowcy. Nie masz pojęcia, do jakiego stopnia różnią się między sobą. Znam wielu z nich. Rozmawiają ze mną. Niektórym nie dałabym nawet dwójki. Zupełne dno!

— Wiem. Sam zrobiłem kilku takich.

— Masz zero?

— Coś koło tego.

— Dlaczego nie pracujesz?

— Za ile? Za sto złotych miesięcznie? — skrzywił się Sneer. — Z liftingu mam cztery, pięć razy tyle. A jak się trafi kandydat na zero, to nawet więcej.

Otarł usta serwetką i wyciągnął się na tapczanie. Alicja usiadła obok niego. Widział jej profil na tle ciemnego okna. Miała ładny, mały nos i apetyczny zarys warg. Sneer przyglądał się jej z przyjemnością.

Nażarłeś się — pomyślał z przyganą — i już zaczynasz łakomie zerkać na dziewczynę.

— Posuń się — powiedziała. — Zająłeś cały tapczan.

— Przypominam, że nie mam Klucza — mruknął, gdy kładła się obok.

— Lubię sobie porozmawiać z prawdziwym zerowcem. Ale najpierw musisz się przespać — powiedziała i przytuliła się do niego.

Sneer nie byłby sobą, gdyby potrafił zasnąć w takich okolicznościach. Bliskość Alicji rozbudziła go zupełnie.

— Mówiłaś o zerowcach. Że wielu wśród nich jest liftowanych. W jaki sposób możesz to rozpoznać? — spytał, patrząc z bliska w jej oczy. — Kiedy otwierałaś

drzwi kabiny, dostrzegłem czwórkę na twoim Kluczu.

Zmieszała się trochę, ale po chwili uśmiechnęła się przeprasząco.

— Zełgałam trochę. To co robię tutaj, wśród dziewcząt z baru, nie jest moim jedynym zajęciem. To jest... a raczej był... parawan dla sporych sum wpływających na mój Klucz. Zaczęli się mną interesować inspektorzy z Kontroli Dochodów, więc musiałam udawać panienkę lekkich obyczajów. Ale wkrótce przekonałam się, że to zajęcie opłaca się jeszcze lepiej niż poprzednie i... zmieniłam zawód.

— Co robiłaś przedtem?

— Też mam zero. Robiłam to samo, co ty...

— Lifterka? — Sneer aż uniósł się na łokciu, by przyjrzeć się tak niezwyklemu zjawisku. — Coś podobnego!

Pierwszy raz w życiu miał przed sobą dziewczynę lifterkę na poziomie zerowym.

— Nie bujasz tym razem? — upewnił się jeszcze.

— Stąd właśnie znam ciebie i paru innych. Któryż z lifterów Argolandu nie znałby Sneera, artysty w swoim rzemiośle — powiedziała, przymykając swoje ogromne oczy o tęczęwkach koloni nieba nad Tibigan w pogodny lipcowy dzień.

Sneer nie mógł oderwać wzroku od jej oczu, niewinnych na pozór, lecz dziwnie przyciągających i obezwładniających. Miał dziwne uczucie, jakiego nigdy przedtem nie doświadczył, że ta dziewczyna mogłaby zrobić z nim wszystko, co zechce. Jej spojrzenie rozmiękczało w jednej chwili ów chłodny pancerzyk, twardy acz niedostrzegalny z zewnątrz, którym się otaczał, zapobiegając zbyt głębokim penetracjom uczuć w obszar jego duszy. Duszy — jak uważał — w gruncie rzeczy zbyt wrażliwej, by bez dostatecznej osłony mogła funkcjonować w tym bezwzględnym, zmechanizowanym świecie.

Powłoczka cynizmu, przywdziana przez duszę i sumienie chroniła Sneera przed nadmiarem współczucia dla innych ludzi, przed zakusami przedsiębiorczych dziewczyn, które — po uwieńczonym sukcesem ataku na zmysły, spodziewały się podobnie łatwych zdobyczy w dziedzinie uczuć.

Lecz ponadto — i to było już efektem ubocznym — powłoczka owa przesłaniała Sneerowi jego własne wnętrze przed nim samym, pozwalając mu nie zastanawiać się zbyt głęboko nad własnym postępowaniem, nie analizować własnych stanów uczuciowych i prawdziwego stosunku do otoczenia.

Teraz, twarz w twarz z Alicją, Sneer czuł się coraz bardziej obnażony ze swojej warstwy ochronnej, bezbronny, miękki jak ostryga wydobyta z muszli.

— Powiedz od razu, czym jeszcze się zajmujesz — powiedział ochryłym półszepceniem, próbując zbliżyć usta do jej policzka. — Hipnotyzujesz? Rzucasz uroki?

— Nie! — roześmiała się, uchylając twarz przed jego pocałunkiem. — Ale potrafisz wróżyć. Daj mi lewą rękę!

Patrzyła przez chwilę na wewnętrzną stronę jego dłoni.
— Widzę wielkie zmiany! — powiedziała tajemniczym głosem chiromantki.
— Widzę zero na twoim Kluczu!
— Mówisz o stanie konta? — roześmiał się. — Bywało tak już nieraz. To żadna sztuka wydać wszystko co do punktu!
— Mówię o twojej klasie. Zostaniesz zerowcem, bardzo ważnym zerowcem... Będziesz dźwigał na swych barkach wielki ciężar. Będziesz znał prawdę. A kiedy dostrzeżesz, że nie ma ratunku dla świata, kiedy nie będziesz wiedział, co zrobić, kiedy uświadomisz sobie, że w całym wszechświecie nie ma istoty zdolnej ci pomóc, pomyśl o Alicji. Nigdy nie zapominaj o Alicji! — zacisnęła jego dłoń i dodała, już swym zwykłym, żartobliwym tonem: — Za wróżby się nie dziękuję, ale wolno pocałować wróżkę.
Sneer skwapliwie skorzystał z przyzwolenia.
— Czy znasz piosenkę, którą śpiewała kiedyś Dony Bell? — spytała, gdy leżeli obok siebie w mroku kabiny, rozświetlanym co chwila barwnymi odblaskami neonowej reklamy zza okna. — Tę balladę o gwiazdach nad Tibigan?
— Nie przypominam sobie... Dony Bell? To ta, której zabroniono występować w telewizji?
— Tak. Koniecznie musisz posłuchać kiedyś tej ballady. Koniecznie, pamiętaj!
— Uhm! — mruknął sennie. — Zanotujesz mi tytuł...
— Pamiętam numer nagrania. Zapiszę ci. Pamiętaj, musisz tego posłuchać!
Za oknem było już zupełnie jasno, gdy Sneer otworzył oczy, rozbudzony lekкими pociągnięciami za włosy.
— Wstawaj. Powinieneś już stąd iść — powiedziała Alicja łagodnie. — Lepiej będzie, jeśli nikt cię tutaj nie zobaczy.
— Dlaczego? — wymamrotał sennie.
— Wstań, proszę cię! — Alicja popchnęła go w kierunku łazienki.
Opłukał twarz, spojrział w lustro na swoje nie ogolone policzki i zaczerwienione oczy. Ubrał się szybko. Alicja otworzyła przed nim drzwi i na pożegnanie dotknęła dłonią jego twarzy.
— Wróć tu — powiedział, patrząc jej w oczy.
Skinęła ledwo dostrzegalnie głową, zamykając drzwi kabiny.
Ostrożnie zszedł po schodach. Spał zbyt krótko i czuł się fatalnie. W hallu na dole spojrział na zegar. Była siódma trzydzieści cztery.
Barbarzyńska pora na wyrzucanie człowieka z łóżka — pomyślał i opadł na miękką kanapę pod ścianą, naprzeciw zamkniętych drzwi nocnej restauracji.
Ocknął się kwadrans przed dziewiątą.
Co za dziewczyna! — To była pierwsza myśl, jaka przebiegła mu przez głowę.
— Zerówka, lifterka, a do tego jeszcze...
Nie umiał znaleźć odpowiednich określeń. Alicja zaimponowała mu jak nikt

dotychczas. Pokonała jego chłodną obojętność i samo to już wystarczało, by nabrał przekonania, że jest wyjątkową dziewczyną.

We dwoje stanowilibyśmy niezły tandem! Oczywiście, musiałyby zaniechać tego nocnego... kamuflażu — myślał, wychodząc z hotelu. Zatrzymał się nagle.

Do licha! Jestem o nią zazdrosny! — stwierdził z niepokojem. — Co z tobą, stary?

Z pobliskiej kabiny telefonicznej zadzwonił na policję i dowiedział się, że jego Klucz znalazł się właśnie i jest do odebrania w Komendanturze Śródmieścia.

Pognał w stronę pobliskiego biura policji, lecz po drodze oprzytomniał z pierwszej radości i zaczął się zastanawiać nad sytuacją.

Może lepiej byłoby najpierw znaleźć downera i dowiedzieć się, jak rozegrał sprawę? — pomyślał, ale już po chwili odrzucił ten pomysł.

Downer mógł zostać zatrzymany w areszcie, a zresztą bez pomocy Prona, który go znał, Sneer nie miał szansy jego odnalezienia. Z kolei Pron też zapewne siedzi albo się ukrywa.

Sneer czuł się bardzo źle, z samego rana w brudnawej koszuli i z nie ogoloną gębą, w rejonie miasta, gdzie w każdej chwili można było spotkać znajomych z branży... Jedna doba życia bez Klucza, bez własnej kabiny, możliwości zjedzenia śniadania i wypicia porannej kawy — to było najzupełniej dość jak na jego cierpliwość.

Wszystko jedno — zdecydował. — Jeśli to pułapka, to i tak mnie przydybią, nie dziś, to jutro.

Zegar na gmachu Zarządu Automatyki Miejskiej wydzwonił dziewiątą. Argoland dopiero zaczynał żyć normalnym, dziennym życiem. Sneer rzadko bywał na ulicach o tej porze.

Między ósmą a dziesiątą ruch był niewielki. Obywatele złotych klas już co najmniej od godziny tkwili na swych stanowiskach pracy — lub odsypiali jeszcze nocne rozrywki, jeśli mieli dziś akurat popołudniową zmianę. Obywatele klas nie zatrudnionych oraz tacy symulanci jak Sneer wygrzebywali się właśnie z łóżek i nie zdążyli jeszcze zapełnić barów i piwiarni.

Sneer ujrzał w wyobraźni siebie pośród tłumu ludzi pędzących do pracy przed godziną ósmą, przetykających w pośpiechu kanapki w automatycznych bufetach, ludzi spoconych na samą myśl o spóźnieniu do pracy. Teraz, przeżywszy niecałą dobę bez Klucza, nie dziwił się im, lecz tym bardziej wzdragał się na myśl o znalezieniu się w podobnej sytuacji.

Co za kretyński paradoks! — zastanawiał się. — Jeśli urodziłeś się za mądry, albo chciało ci się doskonalić swój umysł, musisz tyrać jak głupi osioł, bo inaczej zablokują ci Klucz i figę z makiem dostaniesz. Ale wystarczy, żebyś był głupi albo udawał głupiego i już cię społeczeństwo bierze na utrzymanie. A jeśli jeszcze do tego kombinujesz coś nielegalnie, to żyjesz sobie wesoło i bez kłopotów, choćbyś był szóstakiem. Alicja ma rację: ten świat zmierza ku upadkowi, goni w piętę,

coś tutaj nie jest w porządku. A mimo wszystko ten upadek trwa tak długo, że ma cechy stanu ustalonego.

Jeśli my tutaj, od wewnątrz, dostrzegamy, że coś nie jest w porządku to niemożliwe, by nie widzieli tego jeszcze dokładniej zerowcy z najwyższego szczebla hierarchii, czuwający nad całym tym kramem! Oni chyba udają tylko, że wszystko tu przebiega wedle ustalonego planu i zmierza prosto do wytyczonego celu!

Ale dlaczego tak postępują, tolerując ten stan rzeczy? Może zabrnęli zbyt daleko, nie mają już odwrotu? Nie brak wszak dowodów na to, że idealny plan ustanowienia porządku społecznego i totalnego uszczęśliwienia ludzkości powoduje uboczne efekty, jakich nikt nie przewidywał. Czemuż więc autorzy i wykonawcy tego planu starają się za wszelką cenę utrzymać pozory, że wszystko realizuje się tutaj za ich aprobatą i dokładnie wedle pierwotnych założeń?

Sneer był przeświadczony o tym, że zna dobrze reguły funkcjonowania społeczności Argolandu. Znał je w istocie, aczkolwiek tylko w takim zakresie, by móc bezbłędnie posługiwać się prawami, jakie tu rządzą. Teraz — nie wiedział sam, dlaczego — czuł, że otwiera się przed nim otchłań niewiedzy, że rodzą się pytania, których nie zadawał sobie do tej pory i — siłą rzeczy — nie szukał na nie odpowiedzi. Miał dotąd w swej świadomości coś w rodzaju modelu tego społeczeństwa, fenomenologiczną teorię, pozwalającą wyjaśnić współzależności rzeczy i zjawisk, bez wnikania w ich istotę, przyczyny i cele. Brał ten świat takim, jaki był, badał go i czerpał stąd jedynie „wiedzę pozytywną”, która była przydatna — bezpośrednio lub pośrednio — przy zdobywaniu punktów.

Dlaczego nagle umysł Sneera zaczynał domagać się głębszych rozstrzygnięć, skąd pojawiły się wątpliwości i problemy? Czyżby parę chwil rozmowy z przypadkowo spotkaną dziewczyną — rozmowy, której jego zmęczony umysł nie był nawet zdolny w całości zarejestrować — spowodowało ten dziwny niepokój intelektualny? A może to po prostu jednodniowe wykluczenie poza tę społeczność („wykluczenie” — co za trafny kalambur! — pomyślał Sneer) zmusiło go do rewizji utrwalonych poglądów? Nie umiał tego rozstrzygnąć. Z rękami w kieszeniach szedł brzegiem chodnika w kierunku Komendantury, odruchowo rozglądając się po ulicy, jakby w nadziei spotkania jednego z tych dwóch, którzy byli mu teraz potrzebni: downera lub Prona.

Bzdura! — zgromił sam siebie. — Nie wierzy w cuda. Siedzą obaj, jak amen w pacierzu! Przed wejściem do gmachu policji w porę przypomniał sobie o bransolecie i obciągnął mankiet. Wszedł zdecydowanie, kierując się prosto do dyżurnego, ziewającego za pulpitem. Po chwili miał z powrotem swój Klucz. Przyjrzał mu się uważnie. Wszystko się zgadzało: numer, stan konta. . . no, i to najważniejsze: czwarta klasa!

Policjant nawet słowa nie powiedział, skinąwszy tylko głową na uprzejme podziękowanie Sneera.

To wprost niemożliwe! — pomyślał, już na ulicy, wkładając Klucz do auto-

matu z papierosami. — Działa! Niech mnie wszyscy diabli, jeśli coś rozumiem. . .

Po tyłu perypetiach, kombinacjach, szarpaniu nerwów niepewnością — oddają mu, jakby nigdy nic, czynny Klucz! Z dużej chmury mały deszcz. Wiele hałasu o nic. Góra urodziła mysz. Wyświechtane powiedzonka nasuwały się mimowolnie.

Albo ten świat komputerowego porządku jest de facto jednym nieopisanie wielkim burdelem, albo. . . to jeszcze nie koniec kłopotów — pomyślał, chowając Klucz i otwierając kupioną paczkę papierosów. Gdy zapalał papierosa, rozejrzał się ukradkiem. Nie zauważył nikogo podejrzanego w zasięgu wzroku, lecz na wszelki wypadek obszedł kilka bocznych uliczek, zatrzymując się przed automatami, wstępując do sklepów i bram. Nie. Nikt go chyba nie śledził.

Zawrócił w stronę hotelu. Mijając jeden z niewielkich pawilonów na bocznej ulicy, dostrzegł grupkę rozbawionych mężczyzn, którzy wychodzili ze sklepu. Zatrzymał się przed witryną pełną barwnych reklam, zapraszających do wnętrza.

Jakiś nowy sex shop — pomyślał i chciał pójść dalej, lecz zaintrygowały go salwy zbiorowego śmiechu dobiegające z wnętrza, więc wszedł do sklepu.

W środku panował półmrok, słychać było nastrojową muzykę. Tłumek obiboków, którzy zwykli wałęsać się o tej porze po okolicznych piwiarniach, otaczał stojące na środku niewielkie podium pokryte czerwonym pluszem. Ludzie popijali piwo z puszek i półgłosem wymieniali jakieś uwagi czy dowcipy. Sneer zbliżył się do podium i spojrział pomiędzy głowami widzów.

Na podwyższeniu, w pozycji leżącej, poruszały się dwie ludzkie sylwetki. Czerwone światło nadawało nienaturalny odcień skórze nagich postaci. Sneer patrzył przez chwilę na dwa ciała, wykonujące jakieś wymyślne łańcuchy, bardziej przypominające ćwiczenia akrobatyczne, niż normalne, ludzkie czynności seksualne.

Czyżby uchylono już nawet ten paragraf Kodeksu Obyczajności? Dawniej nie wolno było pokazywać takich rzeczy w ogólnie dostępnych lokalach handlowych — pomyślał i cofnął się o krok w kierunku wyjścia.

Muzyka urwała się nagle, strumienie oślepiająco białego światła zalały podium. Dwie postacie zamarły w bezruchu, splecione w dziwacznej, nienaturalnej pozie. Sneer dostrzegł, że pod opadającymi, długimi włosami kobiety pochylonej nad leżącym mężczyzną, jest tylko gładka różowa wypukłość bez żadnych rysów, przecięta u dołu czerwoną szparą ust.

— Prosimy obejrzeć nasz najnowszy produkt — powiedział głośnik nad podium. — Przedstawiamy państwu nowy model uniwersalnego, doskonałego sexomatu, w dwóch wersjach, męskiej i żeńskiej, wedle zapotrzebowania. Nasza niezawodna, człekokształtna maszyna zaspokaja wszelkie potrzeby klienta. Jest doskonalsza niż najsprawniejszy żywy partner. Jest niewyczerpana w pomysłach, co gwarantuje bogata biblioteka programów, dołączona bezpłatnie do każdego egzemplarza. Za dodatkową opłatą można otrzymywać w abonamencie wymienne

podobizny twarzy osób aktualnie popularnych i znanych powszechnie z filmów i telewizji. Automaty nasze zasilane są z własnych mikroakumulatorów o dużej pojemności i niskim napięciu, gwarantujących nieprzerwane działanie przez osiem godzin oraz pełne zabezpieczenie przed porażeniem elektrycznym. Ładowanie akumulatorów z sieci miejskiej, za pośrednictwem prostownika w kalkulowanego w cenę kompletu. Koszty eksploatacji minimalne, trwałość gwarantowana, cena rewelacyjnie niska. Satysfakcja pewna!

A teraz — ciągnął po chwili głośnik, a światło zmieniło barwę — prosimy naocznie przekonać się o zaletach naszych wyrobów. Prosimy ocenić niezwykłą sprawność działania oraz precyzję oprogramowania naszych nowych sexomatów. Zwracamy uwagę na bezprecedensowy fakt, iż oba egzemplarze — męski i żeński — idealnie synchronicznie wykonują wspólnie czynności, dla których są skonstruowane, zupełnie bez udziału żywych partnerów!

Z głośnika popłynęła znów nastrojowa muzyka, a dwie różowe, plastikowe kukły podjęły swe mechaniczne harce, wydając przy tym serie okolicznościowych dźwięków i posapywań.

Sneer stał jeszcze przez chwilę i czuł, jak w nim gwałtownie wzbiera, nie dający się opanować, histeryczny chichot, szyderczy chichot jakiejś rozpaczliwie radosnej satysfakcji. Wybiegł, krztusząc się tym wewnętrznym paroksyzmem śmiechu. Przez kilka minut stał, zgięty wpół, z czołem opartym o chłodny mur budynku, dłońmi trzymając się za brzuch. Ciałem jego wstrząsały konwulsyjne spazmy dzikiego rechotu, po policzkach płynęły łzy.

— To jest to! — wychlipał półgłosem, opanowując z trudem drgania przepony. — To jest właśnie pełna synteza, szczyt wszystkiego, pierwsza zapowiedź ostatecznego końca. Oto, do czego gnamy w tym naszym beznadziejnym, ślepych, baranim pędzie. Automaty do wszystkiego! Wszystko automatycznie! I oto nagle przytomniejemy w obliczu dylematu: jeśli jeden automat potrafi kopulować drugi tak sprawnie, zgrabnie i na tyle sposobów, to co jeszcze, u diabła, robią ludzie na tej planecie?!

* * *

Fred Banfi, pracownik Wydziału Kontroli Dochodów, siedział w bufecie nad drugą filiżanką kawy i wpatrywał się w miły dla oka zarys bioder Sally, pochylonej nad automatem z napojami gazowanymi.

Dziewczyna była nowym konserwatorem automatów spożywczych w stołówce Zarządu Aglomeracji. Pracowała tu dopiero dwa tygodnie i wszyscy szeptali, że jest dziewczyną jednego z Wysokich Szefów, lecz nie wiadomo którego. Zdania

w tej sprawie były podzielone, ale sam fakt nie ulegał wątpliwości. Dziewczyna miała trzecią klasę, jednakże liczba niesprawnych automatów w stołówce nie najlepiej świadczyła o jej kwalifikacjach. Przypuszczano, że wcale nie jest elektrykiem ani mechanikiem precyzyjnym. Miała za to idealną figurę i była bardzo ładna.

Gdyby jej przyjaciel był Wysokim Szefem w Zarządzie Masowej Rozrywki, na pewno bez trudu umieściłby ją na etacie spikerki telewizyjnej — pomyślał Banfi sarkastycznie. — Nadawałaby się równie dobrze do takiej pracy, a otrzymywałaby najwyższą możliwą liczbę złotych. Jej trzecia klasa wygląda na podliflowaną. Właściwie, można by ustalić, czyja to przyjaciółka. Wystarczyłoby sprawdzić, czy jeden spośród notowanych lifterów inkasował ostatnio sto złotych od kogoś z wyższych szefów.

Taką rzecz Banfi mógłby sprawdzić bez trudu we własnym wydziale. Miał dostęp do kont wszystkich mieszkańców Argolandu osiągających prywatne dochody za bliżej nie określone usługi świadczone innym obywatelom. Mógłby to jednak zrobić jedynie dla zaspokojenia ciekawości, bo przecież samobójstwem byłoby zadzieranie z którymkolwiek z Wysokich Szefów, jakimś ważnym zerowcem z wyższego szczebla administracji.

Cóż zresztą mógłby takiemu zrobić, on, zwykły dwojak? Przecież nie pójdzie i nie spyta po prostu, dlaczego ta smarkata, prosto po studiach, dostaje prawie tyle samo złotych co on, stary pracownik na odpowiedzialnym stanowisku, w dodatku o klasę od niej lepszy?

— Czym się martwisz? — usłyszał za plecami.

Poznał głos Bustona, inspektora z Wydziału Kontroli Klas.

— Wprost przeciwnie. Cieszę moje oczy — powiedział, nie odwracając głowy i wskazując podbródkiem wypięty tyłek dziewczyny.

— No, no! — uśmiechnął się Buston. — Nie rób sobie apetytu. Nie stać cię na taki kąsek.

— Wiem, i to właśnie przyprawia mnie o zgrzytanie zębów. Człowiekowi opadają ręce w obliczu pewnych... praktyk w naszym urzędzie — powiedział Banfi zniżonym głosem.

— Mój drogi! Nie myśl o tym, bo nabawisz się nadkwasoty — poradził kolega, sadowiąc się ze swoją kawą obok Banfięgo, tak aby też mieć w polu widzenia okrągłości Sally. — Wiesz, że niczego tu nie zmienisz, nie naprawisz. Mnie też czasem diabli biorą. Człowiek jest bezsilny wobec zerowców z góry. Robisz, co do ciebie należy, naganiasz się jak idiota, żeby spełnić swój obowiązek, przepisy są po twojej stronie, a tu nagle, w ostatniej fazie sprawy, dzwonią do ciebie z Centrali i mówią: „zaniechać wszelkich działań, zostawić człowieka w spokoju, żadnych wyjaśnień”. Ot, choćby przed chwilą. Miałem w garści Klucz faceta. Ewentualny usługowiec, może lifter albo gorzej jeszcze. Wyglądało na to, że ma zaniżoną klasę, robił jakieś manipulacje z downerem. Chciałem go przesłuchać, a tu nagle

telefon: żadnych przesłuchań, oddać Klucz w normalnym trybie, tak jakby został zwyczajnie zgubiony.

— Co za facet?

— Jeden taki, ze śródmieścia. Sneer go nazywają, czy jakoś tak.

Banfi z trudem opanował drgnienie powiek.

— Nie przypominam sobie — powiedział z udaną obojętnością.

— Ma duże wpływy z różnych prywatnych Kluczy.

— Będziecie go rozpracowywać?

— Po co? Góra go chroni. Może ma kogoś wśród Wysokich Szeferów?

— Myślisz, że niektórzy z nich wolą chłopców niż dziewczynki? — roześmiał się Banfi, już zupełnie odprężony.

Nie byłoby dobrze, gdyby zaczęli rozpracowywać tego Sneera. Bez trudu mogliby znaleźć na jego koncie w Banku zapis przelewu stu pięćdziesięciu złotych z Klucza żony Banfięgo. Żałował teraz, że nie poprosił o tę przysługę kogoś z dalszej rodziny. Trick z zapłatą poprzez Klucz żony był bardzo prymitywny i niczego właściwie nie ukrywał. Wtedy, dwa lata temu, wołał jednak, by sprawa została w rodzinie.

— Nasz system prawny zupełnie wiąże nam ręce — Bustonowi zebrało się właśnie na utyskiwania zawodowe. — Nawet, kiedy masz w garści faceta prawie przyłapanego na liftingu, niewiele możesz mu udowodnić. Wczoraj wywiadowca przyprowadził mi jednego. Nominalnie czwartak, lecz z rozmowy od razu wyczuwasz, że sprytna bestia. Udaje prymitywnego głupka, ale przepisy zna na pamięć. Do niczego się nie przyznaje, więc odtwarzam mu zapis jego dialogu z wywiadowcą. Pod stacją testów proponował mu „cztery na trzy” z gwarancją. A on mi na to: „Jak to? Nie wolno udzielać korepetycji? Przecież władze popierają podnoszenie poziomu intelektualnego obywateli”. Więc go pytam, czy wie, że działalność usługowa wymaga zgody administracji miejskiej. Wie, oczywiście. „Ale — powiada — przepisy nie zabraniają działalności społecznej ani też świadczenia uprzejmości”. Roześmiałem mu się w nos i mówię: „Przecież nie będziesz mi tu, bracie, opowiadał, że chcesz kogoś za darmo liftować na trójkę?”. A on, uważasz, z gębą bezczelnie, na mnie: „Co mi tu, bracie przyszywany, będziesz imputował? Mówiłem o korepetycjach, nie o liftowaniu. A poza tym, nie ma przepisu zabraniającego komukolwiek wyrażania i przyjmowania wdzięczności w jakiegokolwiek formie. Czy, gdyby mi dziewczyna zaproponowała parę miłych chwil w zamian za podniesienie jej poziomu umysłowego, to też według was byłaby nielegalna działalność usługowa?”. Widzę, że facet jest szczwany, więc zaczynam z innej beczki: „Ma pan tylko czwórkę — mówię. — Więc, jak pan sobie wyobraża pomoc w uzyskaniu trójki?” A on: „Według mnie, jestem trojakiem. Chyba to nie przestępstwo, mieć dobre mniemanie o sobie? A że wasze testy są do kitu, to nie moja wina. Możecie mi podwyższyć klasę, proszę bardzo. Parę zielonych więcej zawsze się przyda. Ale ostrzegam, że o pracę dla mnie niełatwo i Wydział

Zatrudnienia będzie was kłął w żywy kamień. Jestem z wykształcenia archeologiem. A w ogóle, to proszę się ode mnie uprzejmie odpieprzyć”. Tak mi dosłownie powiedział i poszedł sobie, a ja nawet nie mogłem go zatrzymać.

— Co to znaczy „imputować”? — zainteresował się Banfi.

— Pojęcia nie mam — mruknął Buston i obaj pograżyli się w kontemplacji zgrabnej figury dziewczyny bezradnie szamocącej się z zepsutym automatem.

* * *

Ani wizyta w gabinecie bioregeneracji, gdzie wziął kąpiel, masaż, ogolił się i przebrał w czystą bieliznę, ani nawet obfite śniadanie w „żółtym” barze przy alei Tibigan, nie wymazały z pamięci Sneera przykrych wspomnień ubiegłej doby. Usilnie starał się, by wszystko wróciło do normy; odbył nawet — jak każdego dnia — półgodzinną przechadzkę ulicami śródmieścia, lecz niełatwo było przejść do porządku dziennego nad wydarzeniami, które tak niespodziewanie spiętrzyły się i zagęściły wokół jego osoby. Niby wszystko zakończyło się pomyślnie, sytuacja obecna nie różniła się niczym od tej sprzed dwudziestu czterech godzin, sprzed momentu, gdy jakiś głupi tajniak czy kontroler posiał niepokój w jego umyśle, żądając pokazania Klucza i notując jego numer ewidencyjny. A jednak. . .

Zatrzymując się w tym samym miejscu, przed tą samą wystawą dużego sklepu ze sprzętem elektronicznym, usiłował odtworzyć tamtą wczorajszą sytuację. W oknie wystawowym stały dziś inne już nowości — drogie zabawki dla dorosłych: jakieś nowe urządzenia do rejestracji przestrzennego, barwnego i ruchomego obrazu holograficznego. Wczoraj prezentowano tu mikrosystem komputerowy, na którym Sneer znał się dużo lepiej, niż wypadało przyzwoitemu czwartakowi gardzącemu perwersyjnymi fanaberiami zerowców.

To wprost niemożliwe, by odczepili się ode mnie tak łatwo — pomyślał Sneer, rozglądając się wokoło, jakby spodziewał się ujrzeć znowu tego samego młodego człowieka, który wczoraj zagadnął go o jakiś niuans z zakresu teorii organizacji systemów komputerowych.

Instynkt mówił mu, że wciąż coś się tu nie zgadza, że brakuje jakiegoś dalszego ogniwa łańcucha zdarzeń, w które wplątał go. . . przypadek czy celowe działanie jakichś nieznanych sił.

Historia z Kluczem, aresztomatem i policją domagała się innego, logicznego finału. Ten, który nastąpił, musiał być tylko pozornym happy endem, jak w dobrym filmowym dreszczowcu czy kryminale, gdzie bohatera — pewnego już, że skończyły się mrozące w żyłach krew przeżycia — czeka jeszcze parę zaskoczeń, rujnujących rzekomy ład i spokój.

Do tego jeszcze dziewczyna. Sneer nie musiał nawet zamykać oczu, by ujrzeć twarz Alicji; jej głos brzmiał mu w uszach na tle ulicznego szumu, przebijał się nawet poprzez jazgot staroświeckiej kolejki miejskiej — zabytku z ubiegłego stulecia, kursującej po estakadzie nad ulicami centrum Argolandu.

Kim była Alicja? Czy tylko przypadek wplótł ją w bieg wydarzeń, w które zamieszany był Sneer? A może pojawiła się właśnie po to, by go w te wydarzenia wplątać? Nie, nonsens! Przecież zaczęło się od tajniaka. Niemniej jednak, Pron odnalazł Sneera dzięki wskazówce Alicji. Gdyby nie to, wydarzenia musiałyby potoczyć się inaczej. Chociaż, kto wie?

W tym zautomatyzowanym otoczeniu człowiek staje się także takim małym automacikiem, nie dostrzegającym nawet, do jakiego stopnia podlega sterowaniu przez nadrzędny system kontroli — westchnął Sneer, krocząc coraz śmielej główną ulicą Argolandu.

Próbował myśleć o swych zwykłych, codziennych sprawach, układać jakieś plany, obmyślać nowe, bardziej wyrafinowane lifterskie chwytty do zastosowania przy najbliższej okazji, ale nieposłuszna wyobraźnia podsuwała mu wciąż przed oczy obraz dziewczyny, która zjawiała się przy nim w momencie, gdy miał po uszy zmartwień i — jakby nie było tego dość — otumaniała go zupełnie tymi błękitnymi oczyma, których nie sposób zapomnieć.

Poczuł gwałtowną potrzebę zobaczenia się z Alicją. Przyspieszył kroku, lecz po chwili zatrzymał się i skręcił w przecznicę. Wszedł do magazynu damskiej konfekcji, gdzie napakował pełną torbę różnych drobiazgów, które — jak mu się wydawało — mogłyby ucieszyć każdą dziewczynę. Będąc nieraz obiektem mniej lub bardziej nachalnego naciągania na drogie prezenty przez różne przelotne znajome, miał w tych sprawach niezłe rozeznanie.

Czujnik kasowy przy wyjściu ze sklepu, po obwąchaniu torby, zainkasował z Klucza Sneera czterdzieści parę złotych, co wydało mu się zbyt małym wydatkiem na prezenty dla tak wspaniałej dziewczyny, wstąpił więc jeszcze do sklepu z importowanymi kosmetykami oraz biżuterią i zaokrąglił wydaną sumę do setki. Teraz wyglądało to już zupełnie przyzwoicie. Dwie torby z zakupami za sto złotych nie mogły nie przekonać najwybredniejszej nawet argolandki o szczerym zaangażowaniu ofiarodawcy.

Zgłupiałeś zupełnie — zgromił sam siebie. — W życiu nie wydałeś na żadną dziewczynę więcej niż dziesięć naraz. . .

Ale dziś był szczególnie dzień, a Alicję uważał za kogoś zupełnie wyjątkowego. Poza tym Sneer wciąż nie był pewien, czy niespodziewanie odzyskany Klucz nie straci nagle swych normalnych właściwości. Może zwrócono go tylko przez niedopatrzenie zaspanego policjanta z nocnego dyżuru? Każdym kolejnym zakupem upewniał się, że Klucz wciąż funkcjonuje.

Alicja! Byle tylko zastać ją w hotelu! — Sneer poczuł nagły niepokój. Serce zaczęło mu bić dziwnie mocno, gdy wbiegał do hotelowego hallu.

Co się ze mną dzieje? — powtarzał, obłudnie próbując oddalić od siebie nasuwaną się odpowiedź. Nie chciał dopuścić do świadomości tej prostej prawdy, tego oczywistego faktu, że Alicja przełamała jego niezłomną dotąd zasadę nieangażowania się w damskie sprawy.

Położył na pulpicie recepcji obie torby z zakupami i w tejże chwili uświadomił sobie, że nie zna numeru kabiny, w której spędził noc. Nie znał także nazwiska Alicji, nie pamiętał nawet, na którym piętrze mieszka.

Na każdej z sześćdziesięciu kondygnacji gmachu znajdowało się co najmniej sto kabin mieszkalnych.

Drżącą ręką wystukał na klawiaturze informatora imię „Alicja”. Ekran rozświetlił się paroma wierszami napisów. W hotelu mieszkało kilka kobiet noszących to imię.

„Klasa czwarta”, dopisał Sneer.

Wszystkie nazwiska zniknęły z ekranu jak zdmuchnięte. W ich miejsce pojawił się napis informujący, że wśród mieszkańek hotelu nie ma — i od tygodnia nie było — żadnej czwartaczki o takim imieniu.

To wprost niemożliwe — myślał Sneer gorączkowo. — Przecież otwierała drzwi własnym kluczem, pokój musiał być wynajęty na jej nazwisko. Dopiero po chwili zrozumiał, że dziewczyna mogła posłużyć się pseudonimem albo zgoła zmyślonym imieniem.

Pytanie o młode kobiety z czwartą klasą, mieszkające w hotelu, spowodowało wyrzucenie na ekran ponad setki nazwisk i numerów. Komputer ewidencyjny był cierpliwy, lecz Sneer poddał się wobec perspektywy sprawdzania tyłu kabin.

Jeśli tu mieszka. . . — pomyślał, zbierając paczki i wlokąc się w stronę windy — spotkam ją wreszcie, choćby w barze na śniadaniu. Chyba że. . .

Zatrzymał się gwałtownie w wejściu do windy, blokując mechanizm drzwi.

— Wchodzi pan, czy nie? — ofuknął go jakiś niecierpliwy współpasażer, więc Sneer wszedł w zamyśleniu do klatki windy i wcisnął przycisk siedemnastego piętra, gdzie miał swoją kabinę, w której nie był od wczorajszego popołudnia.

Czyżby to wszystko wcale się nie zdarzyło? — zastanawiał się, podczas gdy dźwig minął dawno jego siedemnaste piętro i zatrzymał się na sześćdziesiątym. — Przyśniło mi się, czy jak? Tam, w hallu, na kanapie?

Po chwili zastanowienia z niepokojem stwierdził, że nic nie przeczy tej hipotezie. Żaden materialny dowód nie potwierdzał realności spotkania z Alicją. Czyżby jego umysł, zmęczony tyloma wydarzeniami, wśród sennych marzeń wytworzył sobie postać czulej, troskliwej dziewczyny — jedynej osoby w tym mieście, którą szczerze obchodził los Sneera owej fatalnej nocy? Potrzebował kogoś takiego i. . . przyśnił sobie?

Jeśli to był sen, to chyba zaczynam wariować! — pomyślał Sneer i ze złością wcisnął ponownie przycisk windy, by znaleźć się na swoim piętrze. — Wydałem całą setkę z powodu sennych halucynacji!

Nie mógł uwierzyć, by Alicja naprawdę nie istniała. Zbyt dobrze pamiętał jej słowa, zbyt realnie widział w wyobraźni jej twarz. Dlaczego podała mu fałszywe imię, zatarła swe ślady? Przecież sama wbijała mu to imię do głowy, wielokrotnie nakazując, by o niej pamiętał.

Wszystko to było zbyt rzeczywiste jak na najbardziej nawet realistyczny sen.

— Znajdę ją! Jeśli istnieje, muszę ją znaleźć! — postanowił, rzucając torby z zakupami na tapczan.

Na kolejną pointę wczorajszej historii nie trzeba było długo czekać: w cocktail-barze na dole, gdzie wstąpił w poszukiwaniu Alicji, spotkała go następna niespodzianka.

Przy automacie z piwem siedzieli w najlepsze ci dwaj, których Sneer w swych przewidywaniach widział już co najmniej w policyjnym areszcie. Pron i downer w seledynowej wiatrówce rozprawiali wesoło z kuflami w dłoniach i wyglądali na zupełnie zadowolonych z życia. Gdy Sneer zatrzymał się w drzwiach, Pron pomachał mu dłonią, jakby właśnie tu i na teraz byli umówieni.

— Zdaje się, że jestem ci coś winien za wczoraj — zaczął Sneer, wydobywając Klucz, lecz Pron zamachał rękami.

— Broń Boże! — zaprotestował. — To była koleżeńska przysługa. Nie ma mowy o żadnych należnościach. Stawiam ci piwo za wczorajsze kłopoty w mojej kabinie.

Podał Sneerowi pełny kufel i podsunął mu stołek.

— Trzeba oblać to miłe spotkanie! — dodał jowialnie. — Niewiele brakowało, a spotkalibyśmy się w takim samym składzie, tylko że w miejscu, gdzie nie dają piwa.

— Taak... — wtrącił downer przeciągle. — Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Należy mi się dwieście.

— Jak to? — Sneer spojrział na niego z ukosa.

— A zwyczajnie. Masz Klucz?

— Mam!

— Czynny?

— Czynny...

— Zrobiłem swoje, punkty się należą.

Sneer milczał przez chwilę, zaskoczony bezczelnością młodego człowieka. Trudno jednak było znaleźć lukę w jego prostym wywodzie.

— Dobra. Fakt jest faktem — powiedział wreszcie. — Sprawę załatwiłeś, aczkolwiek, niech mnie wszyscy diabli, jeśli cokolwiek rozumiem... Jakim cudem cię puścili?

— To proste! — zaśmiał się downer. — Nie można nikogo aresztować bez powodu. Byłem czysty jak kryształ.

— Wyplacę ci dwieście złotych i dołożę jeszcze pięćdziesiąt, jeśli mi wyjaśnisz, jak to zrobiłeś.

— Tajemnic zawodowych nie sprzedaję, Mogę ci powiedzieć za darmo, bo i tak nie wykorzystasz tego tricku w lifterskiej praktyce, a na downing masz za dobrą klasę. Tylko nie puszczaj tego dalej.

— W porządku! — zgodził się Sneer. — Ale najpierw załatwimy rozliczenia. Kolejne dwieście punktów opuściło Klucz Sneera.

To już trzysta w dniu dzisiejszym — zsumował w myślach. — Nie licząc drobnych wydatków. Jest dziesiąta trzydzieści rano. Jeśli dalej pójdzie w takim tempie, to do wieczora zostanę nędzarzem.

— Nie dopadli cię w końcu? — zagadnął Prona, gdy usiedli znów obok niego.

— Sam się zgłosiłem. To robi dobre wrażenie.

— Też, oczywiście, okazałeś się kryształowy? — uśmiechnął się Sneer.

— Ma się rozumieć.

— A tak naprawdę?

— Powiem ci kiedyś. — Pron zmrużył swoje nieco wylupiaste oczy. — Jak się wszystko ładnie zakończy.

— Aha, jeszcze jedno! — przypomniał sobie Sneer. — Wczoraj rano rozmawiałeś o mnie z dziewczyną w barze.

— Zgadza się. Blondynka, duże niebieskie oczy.

— Nie spotkałeś jej tu dzisiaj?

Pron zastanawiał się przez chwilę.

— Nie. Dziś jej tu nie było. Przynajmniej po dziewiątej. Szukasz jej?

— Uhm. Gdybyś ją spotkał...

— To co?

— Powiedz jej, że proszę o telefon. Mieszkam tutaj, w „Kosmosie”.

Pron wiercił się na stołku, jakby miał coś jeszcze do powiedzenia i nie mógł się zdecydować.

— Słuchaj, Sneer... — wykrztusił wreszcie. — Muszę się uczciwie przyznać, że policja wie, kto załatwił aresztomat. Podeszli mnie, nie mogłem nic skrócić. Wierz mi, byłem przekonany, że to policjanci zastali cię w mojej kabinie... Dopiero Aber mi powiedział... o przygodzie z aresztomatem.

— Trudno, cholera — zafrasował się Sneer. — Wiedziałem, że to musi się źle skończyć. Trzeba szybko pozbyć się tej bransoletki.

— Wciąż ją masz?

— Nie daję się otworzyć. Będę musiał wybrać się zaraz do „Raju Majsterkowiczów” na Czwartą Przecznicę i spróbować rozciąć to piłą do metalu.

— Pokaż, jak to wygląda? — zainteresował się Pron.

— Tutaj ci nie będę pokazywał. — Sneer rozejrzał się po barze, w którym siedziało po kątach parę osób. — Podałeś moje nazwisko?

— Skądże! — obruszył się Pron. — Znam cię tylko jako Sneera.

— To pół biedy. Niczego mi nie udowodnią. Pseudonim nie jest zakodowany na Kluczu. A to głupie urządzenie nie umiało nawet stwierdzić, kim jestem. No,

więc jak to było tam, w Stacji Testów?

Downer, nazwany przez Prona Aberem, odstawił pusty kufel na blat stolika.

— Wy, lifterzy — zaczął z kpiącym uśmiechem — wykorzystujecie w swojej pracy własną inteligencję i cudzą głupotę. My natomiast staramy się wykorzystać własną głupotę i cudze lenistwo. No, może trochę przesadzam z tą głupotą, ale czwartak nie jest oficjalnie uważany za umysłowego orła, i właśnie to pomaga nam podejść dumnych ze swej klasy dwojaków i trojaków obsługujących Stację Testów. Są różne metody downingu. Nie muszę ci tego tłumaczyć, sam też stosujesz indywidualne podejście do każdej sprawy. Opowiem ci, jak zrobiłem twoją czwórkę. To był dość prosty trick. Nie ma mowy o oszukaniu komputera, który testuje delikwenta pod elektrohipnozą. Pozostaje więc oszukać operatorów. Pierwsza rzecz to wybór odpowiedniej chwili. Wybrałem czas, kiedy telewizja transmitowała interesujący mecz: drużyna „Niedźwiedzi Argolandu” walczyła właśnie z „Zielonymi Kaskami”. Zgodnie z moimi przewidywaniami, w chwili gdy wszedłem do Stacji, obaj dyżurni technicy siedzieli z patrzawkami na oczach i słuchawkami w uszach, śledząc kolejną akcję naszej czołowej drużyny. Jeden z techników łypnął okiem spod patrzawki i półgębkiem spytał, o co chodzi. Podałem mu twój Klucz, a on wsunął go do szczeliny kontrolnej, spojrzął na ekran i burknął: „Kontrola klasy w trybie zaostrowym. Do kabiny!” Teraz już wiedziałem, o co chodzi. Po prostu, na twoim Kluczu było zakodowane zastrzeżenie Wydziału Kontroli Klas bez żadnych konkretnych dyspozycji, poza sprawdzeniem, czy rzeczywiście masz czwórkę. Technik oddał mi twój Klucz i przestał się mną interesować, wracając do oglądania meczu. Poszedłem do kabiny testowej, założyłem kask i wsunąłem do testera mój własny Klucz, nie zablokowany wprawdzie, ale to nie ma żadnego znaczenia dla automatu testującego, którego zadaniem jest, po pierwsze, stwierdzenie zgodności linii papilarnych z ich obrazem na Kluczu, a po drugie przetestowanie delikwenta i ocena jego klasy umysłowej.

Ponieważ technik wcisnął na swoim pulpicie przycisk „zaostrowej kontroli”, tester dał mi elektrohipnozę i zadał test, który wykazał moją rzeczywistą czwórkę. Gdy wyszedłem z kabiny, na pulpicie operatora świeciła cyfra „4”, oznaczająca pozytywny wynik testu.

Podałem operatorowi znowu twój Klucz, on sprawdził tylko, czy jest na nim „czwórka”, wsunął go do szczeliny transmitera i posłał do Centralnego Rejestru informację, że weryfikacji dokonano i Klucz można odblokować.

— Diabło proste! — mruknął Sneer.

— Owszem. Tylko trzeba to wymyślić... mając samemu czwórkę! — Downer poklepał się dumnie po piersi. — Kto by się spodziewał po czwartaku!

— Na czym polegało niedopatrzenie operatora?

— Na tym — zaśmiał się downer — że oglądał mecz. A poza tym, rzecz w lenistwie i rutynie. Zauważ, jak to wygląda od jego strony: przychodzi facet i pokazuje Klucz z czwórką; operator sprawdza na końcówce Syskomu, że Klucz

jest zablokowany. W kolejności powinien upewnić się, czy Klucz należy do faceta, który go przyniósł. Ale po co, myśli operator, któremu spieszo do oglądania meczu, skoro i tak za chwilę automat testujący sprawdzi tożsamość klienta i nie przetestuje niewłaściwej osoby. Po teście, gdy facet oddaje Klucz, jest na nim „czwórka”, podobnie jak na pulpicie kontrolnym. Zatem wszystko gra: test się odbył, wykazał czwórkę, Klucz można odblokować. Technik odblokowuje Klucz, chociaż właściwie powinien najpierw sprawdzić, czy to ten sam Klucz, który był przed chwilą weryfikowany w testerze. Ale, po pierwsze, skoro już raz zdecydował się pominąć kontrolę tożsamości, to nie ma powodu, by teraz nagle nabrać podejrzeń. A po drugie, ogląda wciąż jednym okiem telewizję. Siedzi wygodnie w fotelu, mając w zasięgu ręki tylko terminal Syskomu. By sięgnąć do konsoli kontrolnej, musiałby dźwignąć tyłek z fotela i przejść trzy kroki. Trzymam sto do jednego, że tego nie zrobi! Odblokowuje Klucz i odda klientowi, klnąc w duchu, że go cholera przyniosła właśnie podczas transmisji meczu!

— A gdyby jednak sprawdził?

— Zdarza się to niekiedy. Wówczas uruchamiam wariant ratunkowy: „ach, strasznie przepraszam! Oczywiście, że to nie ten Klucz! Człowiek jest tak zdernerwowany, gdy idzie na test. Na śmierć zapomniałem; to jest Klucz, który znalazłem właśnie tutaj, przed budynkiem. Pewnie drugi taki, roztargniony jak ja, zgubił i teraz się martwi, więc miałem oddać i trzymam cały czas w garści, żeby nie zapomnieć. A mój Klucz, proszę, mam tutaj, w drugiej ręce. Oczywiście, to ten właśnie był przed chwilą w automacie testującym!” Podaję mój autentyczny Klucz, a technik, zły już okropnie, bo uciekło mu parę ciekawych akcji podbramkowych, teraz jednak sprawdza wszystko dokładnie. No, i rzeczywiście: klient nie łże! Testował swój Klucz, a tamten pewnie naprawdę znalazł. Więc odblokowuje mój Klucz, choć nie jest on wcale zablokowany (ale tego nie widać gołym okiem). Zbędne „odblokowanie” po prostu niczego nie zmienia na czynnym Kluczu. Aby sprawdzić, czy mój Klucz istotnie był zablokowany, operator musiałby znów przesiadać się do innego pulpitu, który normalnie powinien obsługiwać trzeci technik, aktualnie nieobecny, bo poszedł po piwo. A w ogóle, to po cholere przychodziłby klient odblokowywać niezablokowany Klucz? Poza tym, na początku, gdy operator sprawdzał Klucz przed testem, był on zablokowany (o tym rzekomo znalezionym operator zapomniał natychmiast, gdy odłożył go na bok, a zresztą „Niedźwiedzie” właśnie strzeliły bramkę).

Nie ma, poza tym, żadnego powodu, by fatygować się sprawdzaniem tego znalezionej Klucza. Gdybyś zgłosił się po godzinie i zapytał o zgubę, wydano by ci Klucz, nie sprawdzając niczego oprócz tożsamości linii papilarnych.

— Tylko że wówczas to ty byłeś mi winien dwieście, a nie ja tobie — westchnął Sneer. — No, dobra. A teraz powiedz, dlaczego cię zgarnęli.

— Dziwna sprawa. Kiedy już miałem twój Klucz z powrotem, bo wszystko poszło bez pudła, jak przewidywałem, wpadli policjanci i bez gadania zawieźli

mnie do Komendantury. Miałem w kieszeni oba Klucze, ale to żadna tragedia. Powiedziałem, że ten drugi znalazłem, a weryfikowałem własny. Sprawdzili w zapisie testera, wszystko się zgadzało. Potrzymali mnie trochę, popytali, ale wreszcie cóż mogli zrobić? Wypuścili mnie, nie znajdując winy!

— A mój Klucz? Nie zdziwili się, że jest odblokowany?

— Może się i zdziwili, ale to przecież nie moja sprawa! Czy sądzisz, że technik, który mnie obsługiwał, przyznałby się, że odblokował ten Klucz bez sprawdzenia tożsamości właściciela? Bądź spokojny! Zapałby się nawet tego, że miał go w ogóle w rękach!

Sneer kręcił głową z podziwu. Trudno było odmówić sprytu temu czwartakowi. Ale, z drugiej strony, wszystko to razem nie wyjaśniało jeszcze powodów, dla których policja tak łatwo przeszła do porządku dziennego nad sprawą Sneera. Blokada, aresztomat, afera z downerem — i nic, żadnych konsekwencji! To zbyt piękne, by mogło być zakończeniem serii kłopotów.

Jak to się dzieje, że w tak doskonale zorganizowanym świecie mogą swobodnie i bezkarnie działać takie pasożyty, jak Pron czy ten, jak mu tam, Aber? — rozmyślał w drodze do „Raju Majsterkowiczów”.

Wielki magazyn narzędzi i materiałów, oprócz działów handlowych, stawiał do dyspozycji klientów liczne warsztaty i pracownie, gdzie zapaleni majsterkowicze mogli za parę punktów uprawiać swe hobby. Były tu pracownie mechaniczne, elektroniczne, chemiczne, studia nagrań, fotolaboratoria. Wśród użytkowników przeważała młodzież, lecz spotykało się tutaj także sporo osób dorosłych. Było tajemnicą publiczną, że tu właśnie powstaje większość narzędzi, którymi posługują się ludzie uprawiający nielegalne zawody. Tu konstruowano przemysłne wytrychy do automatów, przeróżne urządzenia i aparaty do oszukańczych machinacji punktowych, kompozycje chemiczne — symulatory, którymi posługiwali się podejrzani osobnicy w celu znalezienia się w szpitalu miejskim lub klinice psychiatrycznej.

Sneer także korzystał dość często z kabin warsztatowych „Raju”. Ukryty przed niepowołanym okiem w zamknięciu wynajętej kabiny, realizował tu swoje pomysły: mikroskopijne urządzenia transmisyjne, owe barwne pigułki, tak pomocne przy liftingu, oryginalne, unikalne mikroukłady, montowane z superminiaturowych elementów krystalicznych. Pomysły i schematy kreślone na bibułkowych serwetkach w kawiarni podczas wielodniowych włóczęg Sneera po lokalach Argolandu, przeradzały się tutaj w gotowy, znakomicie funkcjonujący produkt jednorazowego użytku — za każdym razem inny, oparty na nowej idei, wyprzedzającej myśl techniczną konstruktorów starających się zabezpieczyć automaty testujące przed oszustwem.

Sneer był specjalistą od mikroelektroniki układowej. Studiował tę dziedzinę z prawdziwym zamiłowaniem, nie ograniczając się do wąskiej specjalizacji wymaganej na uczelni. Dzięki temu mógł teraz bez trudu rywalizować z profesjona-

listami z kilku innych, pokrewnych dziedzin, nadzorującymi różne funkcje Ogólnego Systemu Komputerowego, zwanego w skrócie Syskomem.

Szlachetna idea rozwijania technicznych umiejętności młodzieży, przyświecająca istnieniu instytucji „Raj Majsterkowiczów”, jak wiele szlachetnych idei, produkowała uboczne efekty społeczne, wymykające się kontroli władz aglomeracji.

Czy naprawdę? — zastanowił się Sneer, wchodząc do „Raju”. — Czy rzeczywiście władze nie zdają sobie sprawy z tego, co się tu dzieje? A może tolerują taki stan rzeczy w ściśle określonych celach? Przecież każdy, kto korzysta z urządzeń warsztatowych, płaci za to ze swojego Klucza. Bank rejestruje na jego koncie wydatki na materiały, na wynajęcie pracowni. Jeśli trzeba, nietrudno odtworzyć z zapisu bankowego, czym zajmuje się właściciel Klucza.

Sneer od dawna zdawał sobie z tego sprawę i nie był tak naiwny, by potrzebne mu materiały kupować w automatach. Mikroelementy elektroniczne nabywał od pracowników zajmujących się naprawami i konserwacją automatów i nawet nie wnikał specjalnie w pochodzenie tych drobiazgów.

Tym razem nie zamierzał niczego konstruować. Potrzebna mu była tylko dobra piła do metalu. Poszukał wolnej kabiny mechanicznej, zapłacił Kluczem i zamknął się starannie od środka. Z zestawu narzędzi wybrał odpowiednią piłę, poszukał kawałka blachy dla zabezpieczenia przegubu przed skaleczeniem i odchylił mankiet bluzy.

— O, do diabła! — wyrwało mu się, gdy spojrzął na przegub swej prawej ręki.

Zamiast stalowej obręczy, stanowiącej fragment policyjnego automatu, rękę otaczała miedziana bransoleta o gładkiej, wypolerowanej powierzchni, zaopatrzona w zwykłe, łatwo dające się otworzyć zapięcie.

Sneer odłożył piłę i przez chwilę przyglądał się bransoletce. Odpiął zamek i zdjął ją z przegubu. Była torusem złożonym z dwóch łukowatych części, spojenych zawiasem.

Kiedy? — Myślał intensywnie, starając się zrozumieć, jak to się stało. — Pokazywałem downerowi, wczoraj wieczorem... A potem... Tak! Alicja!

Tylko Alicja mogła zamienić bransolety, gdy spał w jej kabinie. Lecz w jaki sposób otworzyła ten trickowy, policyjny zamek? Czyżby pracowała dla policji? I dlaczego to zrobiła? Co oznacza ta miedziana obręcz?

Sneer obejrzał dokładnie bransoletę. Na wewnętrznej jej stronie, przylepiony kawałkiem przejrzystej taśmy, widniał skrawek papieru z sześciocyfrowym numerem. Obok, na gładkiej powierzchni metalu, był wygrawerowany napis: „Pamiętaj o mnie”.

W zamyśleniu zapiął bransoletę na przegubie. Więc jednak Alicja. O co właściwie chodziło tej dziewczynie, w tak dziwny sposób starającej się pozostać w jego pamięci?

Podświadomie czuł, że ma to jakiś związek z nocną rozmową. O czym rozmawiali? Po kolei przypominał sobie jej słowa.

Mam! — ucieszył się wreszcie. — Nagranie! Mówiła o jakiejś piosence, baladzie. Numer nagrania! Obiecała zanotować. . . Oryginalny sposób, ale trzeba to sprawdzić!

W drodze na drugie piętro, gdzie mieściły się studia nagrań dźwiękowych, kupił w automacie czysty krążek akustyczny — cienką tarczkę wielkości małego guzika, na której można było pomieścić zapis półgodzinnej audycji.

Włożył krążek do automatu i wybrał na klawiaturze numer. Po kilkunastu sekundach krążek wypadł do podstawionej dłoni. Sneer rozejrzał się za wolnym stanowiskiem odsłuchowym, lecz wszystkie były okupowane przez młodzież ze słuchawkami w uszach, podrygującą w rytmie modnych przebojów.

— Sneer! — usłyszał tuż obok znajomy głos.

Obejrzał się. Przy urządzeniu do kopiowania nagrań stał Matt i ktoś jeszcze, młody chłopak, którego Sneer widział po raz pierwszy.

— Cześć, Matt! Co porabiasz? Obiecałem do ciebie zadzwonić, ale wybacz, miałem trochę kłopotów.

— Nie szkodzi — uśmiechnął się Matt. — Jakoś sobie radzę.

— Bawisz się nagraniami?

— Niezupełnie — Matt zmieszał się jakby.

Jego towarzysz zgarnął do pudełka stertę krążków akustycznych i spojrział pytająco.

— Idź, spotkamy się wieczorem — powiedział Matt i sięgnął do pudełka, wydając jeden z krążków.

Chłopak zabrał pudełko z pozostałymi, a Matt ujął Sneera pod rękę i poprowadził do kąta sali, gdzie stało kilka stolików i szereg automatów z napojami.

— Dziś ja zapraszam na kufelek — powiedział, stawiając przed Sneerem plastikowe naczynie.

— Znalazłeś pracę?

— Mam do ciebie prośbę — bąknął Matt cicho, rozejrzawszy się czujnie dookoła. — Gdyby cię ktoś pytał o mnie, to nie widziałeś mnie tutaj.

— Jakaś trefna robótka? — domyślił się Sneer.

— Posłuchaj sobie w domu. — Matt wcisnął mu w dłoń krążek dźwiękowy.

— Co to jest?

— Parę pytań dla tych, którzy oduczuli się je zadawać. Przeciwwaga dla codziennej porcji papki informacyjnej, którą nas karmią.

— Bawisz się w konspirację, Matt? — raczej stwierdził, niż zapytał Sneer. — Dawniej to się nazywało „bibuła”.

— Niestety — westchnął Matt. — Od czasu, gdy wynaleziono samorozpadający się papier, nie można robić ulotek. Prawdziwy, trwały papier jest zupełnie niedostępny. Drukuje się na nim tylko podręczniki i dzieła uznane za klasykę.

— Nietrwały papier to znakomity wynalazek. Nie trzeba sprzątać z ulic starych opakowań, nie gromadzą się stare gazety.

— Właśnie. To bardzo wygodne dla administracji: po tygodniu nie ma żadnego śladu oficjalnych wypowiedzi władz i można bez rumieńca wstydu głosić coś wręcz przeciwnego. Zapis akustyczny wypiera inne sposoby notowania informacji, ale ludzie tak przywykli do informacyjnego szumu, że natychmiast wypuszczają prawym uchem to, co wpada w lewe. O wiele skuteczniej można im coś przekazać na piśmie. Ale wobec braku papieru musimy nagrywać te krążki.

— Z kim wojujesz, Matt? — uśmiechnął się Sneer pobłaźliwie.

— Jak to: „z kim?” Oczywiście z administracją, z tymi zerowcami z Rady, którzy robią z nas durniów, stwarzając dla nas ten obłądny cyrk.

— To tak, jakbyś wojował ze mną.

— Czyżbyś pracował dla Rady?

— Nie. Ale żyję dzięki temu, co nazywasz cyrkiem.

— Nie wiem, co robisz. Ale, jeśli żyjesz dzięki sytuacji, jaką stworzyli zerowcy z Rady Aglomeracji, to po prostu pasożytujesz na tych wszystkich, którym jest gorzej niż tobie w tym mieście.

— Jestem im potrzebny.

— Tak długo, dopóki istnieje ten wynaturzony system społeczny.

— Właśnie dlatego powiedziałem, że wojujesz ze mną — zaśmiał się Sneer.

— Chcesz zdewastować moje tereny łowieckie i rozpędzić zwierzynę.

— Jesteś paskudnym cynikiem.

— Moi klienci są odmiennego zdania. Wszyscy, co do jednego, okazują mi wdzięczność.

— Co robisz? Klucze, rękawiczki, downing?

— Liftuję, i to nieźle. Mogę ci załatwić lepszą klasę, jeśli zechcesz.

— Mówiłeś, że jesteś „po drugiej stronie”. Myślałem, że po tej samej, co ja.

— Więc może jestem po trzeciej stronie — Sneer wzruszył ramionami. — Nie mogę podcinać gałęzi, na której siedzę i z której zrywam zupełnie smaczne owoce.

— Niczego nie rozumiesz! — Matt zacisnął pięści i widać było, że traci cierpliwość. — Ten świat upadnie, zawali się! Siedząc na swojej gałęzi nie widzisz, że korzenie tego drzewa próchnieją w oczach. Mało kto rozumie sytuację, wszyscy oślepli, mają przed oczami tylko kolorowe punkty. Musimy jakoś przeciwstawić się tej piwno-telewizyjnej pseudokulturze, która się tu wytworzyła. Czy nie zastanowiłeś się, dlaczego oni poją nas piwem i karmią tanią masową rozrywką? Jedno i drugie zawiera ten sam podstawowy składnik: ogłupiacz! Popatrz na tych ludzi! Cóż widzą przed sobą? Życie wypełnione piwkiem i bezsensownymi programami rozrywkowymi! Uczą się, bo muszą. Majsterkują, bo się nudzą. Ale przez cały czas mają świadomość, że zarówno ich wiedza, jak nabyte zdolności manualne nie

zostaną nigdy wykorzystane w jakimkolwiek pożytecznym celu. Człowiek przestał być potrzebny.

— Owszem — wtrącił Sneer. — Jest nadal potrzebny. Jako konsument. Bez niego wszystko traci sens.

— Straciło już dawno. To wszystko, co widzisz dookoła, jest jednym wielkim cyrkiem, komedią reżyserowaną przez grupę zerowców dla całej nieświadomej reszty. To wszystko jest jednym wielkim bluffem!

— Przesadzasz!

— Ani trochę. Przekonasz się wkrótce. Przekonają się wszyscy, nawet najgłupszy szóstak w tym mieście pojmie, że jest obiektem bezsensownej manipulacji.

— Postuchaj, Matt! — zniecierpliwił się Sneer. — Nasza administracja jest tolerancyjna. Znosi różne rzeczy, czasem przymyka oko na spore kanty i niezbyt czyste interesy. Obawiam się jednak, że nie będzie wyrozumiała dla tych, co chcieliby wywołać jakieś ogólne zamieszanie lub powszechne niezadowolenie. Bo chyba, jak zrozumiałem, do tego zmierza wasza konspiracja.

— Mniejsza o to, Sneer. Zapomnijmy o tej rozmowie — westchnął Matt. — Czy znasz najnowszy dowcip o zerowcach?

— Nie słyszałem.

— Więc... mają ich przemianować na e l i p t y k ó w.

— Dlaczego?

— Bo się p ł a s z c z a.

— Przed kim?

— No, nie! — Matt pokręcił głową z niedowierzaniem. — Czy ty naprawdę nie chwytasz pointy?

Sneer naprawdę nie rozumiał ani dowcipu, ani sensu tych wszystkich aluzji.

Matt wdał się w jakąś głupią, szczeniacką aferę — myślał, idąc z powrotem w stronę hotelu. — Nic dziwnego, że go przeklasyfikowali. Powinienem wyciągnąć go z tej kabały. To w gruncie rzeczy niegłupi facet. Załatwię mu choćby trójkę i jakąś sensowną pracę.

Wiedział, że może liczyć na kilku dość wpływowych urzędników, którzy dzięki niemu zajmowali teraz niezłe pozycje w administracji Argolandu. Załatwienie pracy dla trojaka nie byłoby dla nich żadnym problemem.

Pod warunkiem, że ten kretyń przestanie spiskować przeciwko porządkowi w aglomeracji! — pomyślał z irytacją o koledze.

W gruncie rzeczy Sneer nie był wcale taki pewny, jak to jest naprawdę z tą argolandzką rzeczywistością. Chyba jednak Matt ma trochę racji: albo wolność, albo porządek. A może i jedno, i drugie jest nieprawdziwe?

Sneer doznał olśnienia w momencie, gdy idąc w kierunku hotelu stał się przypadkowym świadkiem zajścia pod pawilonem Banku.

Wśród szwendających się tam, jak zwykle, handlarzy i kameleonów, krążył niepozorny, mały człowieczek. Sneer dostrzegł, że podobnie jak inni miejscowi kombinatorzy, on też dyskretnie zaczepiał przechodniów. Zbliżył się także do Sneera. W półotwartej dłoni trzymał mały, plastikowy krążek do nagrań akustycznych.

— Prawda po cenie kosztów! — powiedział cicho, schrypniętym szeptem. — Płacisz tylko tyle, ile za czysty krążek.

— Dziękuję — mruknął Sneer i nie zatrzymując się poszedł dalej.

Nim uszedł kilkanaście kroków, usłyszał za sobą tupot nóg i odgłosy szamotaniny. Obejrzał się. Dwóch cywilów wlokło małego handlarza w kierunku zaparkowanego w bocznej ulicy samochodu. Cała reszta punkciarzy — jakby nigdy nic — kontynuowała swą działalność.

Już wiem! — ucieszył się Sneer, obserwując to wydarzenie. — Wiem, jak to jest z tym porządkiem w Argolandzie. Mamy tutaj po prostu doskonale kontrolowany bałagan, stwarzający pozory zarówno porządku, jak wolności.

Sformułowanie tego — paradoksalnego na pozór — algorytmu działania Argolandy okazało się nadspodziewanie owocne dla wyjaśnienia wielu zjawisk — tych, z którymi zetknął się w tym mieście, oraz tych, które miał poznać w najbliższej przyszłości.

To jedyne logiczne wyjaśnienie wielu pozornych absurdów, na które napotyka człowiek w codziennym życiu — kontynuował Sneer swoje rozważania, znalazłszy się w kabinie mieszkalnej. — Wprost trudno uwierzyć, by administracja dysponująca tak precyzyjnym systemem kontroli i sterowania ludnością, nie mogła poradzić sobie z tymi wszystkimi ujemnymi zjawiskami, z nielegalną działalnością różnych kombinatorów i kanciarzy.

Scena pod bankiem świadczyła o tym, że służba porządkowa tylko pozornie nie zauważa jednych, by natychmiast reagować na pojawienie się innych podejrzanych facetów. Wniosek stąd jest zupełnie oczywisty: niektórzy są władzom po prostu potrzebni, ich działalność jest wkalkulowana w funkcjonowanie systemu, być może nawet jest administracji na rękę, pomaga w czymś, stwarza jakieś specyficzne sytuacje społeczne czy gospodarcze.

Wiele spraw wygląda zupełnie inaczej, gdy spojrzeć na nie przez pryzmat tej zasady. Choćby taki lifting: może nie jest tak bardzo istotną rzeczą, czy wysoki urzędnik administracji albo dyrektor instytucji, ma klasę zerową, czy — powiedzmy — drugą. Jeśli jednak stawia się wymagania co do klasy — to wówczas kandydat na dane stanowisko musi za wszelką cenę zdobyć to zero. Gdyby nie pomoc liftera, wielu takich kandydatów nigdy by nie sprostało wymaganiom. A przecie są wśród nich — na przykład — synowie czy kuzyni wysoko postawionych osób, protegowani ważnych zerowców! Formalnie nie można dla nikogo robić wyjątków, poprzeczka jest ustawiona równie wysoko dla każdego. Podliftowany zerowiec — de facto dwojak — radzi sobie lepiej lub gorzej na swej posiadzie,

ale nikt mu nie może czynić formalnych zarzutów z powodu klasy. Z drugiej zaś strony, gdyby odpowiednie czynniki kontrolujące zechciały pogrzebać w zapisach bankowych, można by wreszcie wykazać, kto i kiedy korzystał z usług liftera. Wobec tego, liftowany dygnitarz jest potulny i niekontrowersyjny w swym służbowym środowisku, łatwo nim sterować, wywierać na niego pewne naciski, bo zrobi wszystko, by nie grzebano w jego przeszłości i nie badano kwalifikacji.

Prawdziwy zerowiec, mający swój intelekt w głowie, a nie tylko na Kluczu, ma w nosie te wszystkie naciski i układy personalne. On poradzi sobie sam, nikt mu nie wykaże niedostatków umysłowych, a weryfikacja nie grozi mu przeklasyfikowaniem. Taki pracownik — choć faktycznie zdolny i samodzielny w pracy — nie jest pożądanym elementem w służbowej hierarchii instytucji publicznych czy placówek naukowych.

Podobnie jak lifterzy, także inni fachowcy muszą spełniać jakąś — pozytywną z punktu widzenia władz — rolę w Argolandzie. Weźmy takiego kameleona: gdyby nie on, skąd wzięłyby niepracujący czwartak żółte punkty na honorarium dla liftera? I tak dalej, i tak dalej... Cała ta podskórna infrastruktura społeczna działa za cichym przyzwoleniem administracji — a więc na ten czy inny sposób — w interesie władzy. Kto wie, czy nie są również do czegoś potrzebni wyciskacze, wampiry, zdziercy? Może funkcjonowanie tego społeczeństwa wymaga, by ludziom, oprócz poczucia bezpieczeństwa — fizycznego i socjalnego — dostarczać także nieco poczucia zagrożenia? Pewna liczba bandziorów — liczba z góry zaplanowana i utrzymywana na określonym poziomie — może pełnić taką samą rolę jak szczupaki w stawie z karpami. Taki szczupak eliminuje słabe, chore sztuki hodowlane, a pozostałe zmusza do czujności, do ruchu, do ucieczki, by rozwijały swe mięśnie zamiast obrastać w tłuszcz.

Zupełnie zgrabna analogia z tym stawem hodowlanym! — zakonkludował Sneer, leżąc wygodnie z rękami pod głową i mając w zasięgu dłoni puszkę doskonałego, chłodnego piwa. — Cały Argoland jest takim stawem karmionych karp. Są w nim ryby większe i mniejsze, ważniejsze i mniej ważne. System klasyfikacji z jednej a owa nieformalna substruktura z drugiej strony, zmuszają wszystkich do ciągłego ruchu, byśmy się zanadto nie zapaśli na ciełe i umyśle. Mnie też przygoniono trochę, dla zasady. Widocznie zanadto rozleniwiłem się ostatnimi czasy i ktoś uznał, że powinienem się rozruszać.

Przypomniał sobie o krążkach z nagraniami, które miał w kieszeni kurtki, więc sięgnął po odtwarzacz kupiony w drodze do hotelu. Włożył słuchawkę do ucha, umieścił jeden z krążków w aparacie i włączył urządzenie.

„Do ciebie mówimy, obywatelu Argolandu, niezależnie od tego, jaką posiadasz klasę i ile punktów zawiera twój Klucz! — mówił głos z krążka. — Chcemy postawić kilka pytań, których sam nie stawiasz sobie z lenistwa umysłowego lub z wrodzonej niechęci do myślenia.

Chcemy zakłócić senny spokój twojego umysłu. Czy nie zauważyłeś dotychczas, że jesteś systematycznie ogłupiany? Czy nie czujesz, nie dostrzegasz, że z każdym dniem upodabniasz się coraz bardziej do automatów, które cię otaczają?

Dlaczego nie pytasz, komu zależy na tym, abyś był potulnym pionkiem, dającym się przestawiać na szachownicy życia? Dlaczego pozwalasz, by samowolne siły manipulowały twoim losem w imię celów, których nie dano ci poznać?

Czy nie zauważasz, że jesteś oszukiwany i zmuszany do oszustw, że bierzesz udział w tragicznej farsie, w niegodnej ludzkiej istoty parodii życia społecznego? Czy wystarcza ci to, że po prostu istniejesz, wegetujesz jak roślina, zdana na łaskę nieznanymi ogrodników?

Dlaczego pozwalasz więzić się w pętach wynaturzonego modelu społecznego, nie znajdującego uzasadnienia w całej szczytnej historii naszej cywilizacji — modelu nieodpowiedniego dla istot ludzkich, stworzonych do życia w wolności? Dlaczego zrujnowano dorobek wieków kultury i cywilizacji? Ludzie, którzy kierują naszym miastem, kontynentem, całym światem powinni odpowiedzieć na te pytania. Dlaczego milczą? Dlaczego zamykają usta pytającym, zamiast udzielić odpowiedzi?

Pytajcie wszyscy, głośnym chórem! Wasze połączone głosy nie dadzą się zagłuszyć ani zignorować! Pytajcie i nie pozwalajcie zbyć się wykrętnymi ogólnikami! Pytajcie i żądajcie odpowiedzi”.

— Uhm... — mruknął Sneer do siebie. — Jeśli już zaczną pytać, to raczej o przyczyny wzrostu ceny piwa.

Zmienił krążek w aparacie, lecz zamiast oczekiwanej ballady w wykonaniu Dony Bell, męski głos obwieścił:

„Jest nam bardzo przykro, lecz nagranie, którego żądasz, zostało zastrzeżone przez Wydział Masowej Rozrywki zarządzeniem z dnia trzeciego lipca bieżącego roku. Jego rozpowszechnianie wstrzymano ze względu na niski poziom artystyczny i brak walorów społeczno-wychowawczych. Prosimy wybrać inną pozycję z katalogu nagrań”.

— Do licha! — Sneer wyłączył aparat. — Tego jeszcze nie było. Zakazana piosenka?

W zestawieniu z treścią pierwszego nagrania fakt ten wyglądał intrygująco. Sneer zastanowił się chwilę, a potem sięgnął po telefon.

— Benny? Mam sprawę — powiedział. — Czy mógłbyś mi wyszperać nagranie numer 378245?

— To ty, Sneer? — rozległo się w słuchawce. — A co to za nagranie?

— Dony Bell.

— Posłuchaj, stary! — głos Benny'ego przybrał oficjalny ton. — Jestem porządną firmą. Szukam różnych dziwnych rzeczy i nie obchodzi mnie, po co są klientowi potrzebne. Ale takich spraw nie tykam. Dony Bell jest zastrzeżona. Oficjalnie nigdzie nie występuje, nie nagrywa, w telewizji nie odtwarzają nawet jej dawnych przebojów. To coś oznacza. Nie wiem, co. Nie znam się na polityce. Chodzą plotki, że nie chciała ujawnić autora tekstu jednej ze swych piosenek. Uparcie twierdzi, że go nie zna, że tekst został jej podrzucony.

To wszystko, co wiem. Aha, niektórzy mówią, że ona występuje w jakimś lokalu, kabarecie. Taka marna knajpa, gdzie zbierają się różne wyrzutki. No, rozumiesz? Wyrzuceni z masowej rozrywki, tacy tam... tego... artyści. Trzecia ulica w lewo za magazynem obuwia na Siedemnastej Poprzecznej, idąc od jeziora. Strasznie ten telefon trzeszczy, jakby ktoś tam coś naprawiał na linii.

— Dziękuję, Benny! — Sneer odłożył słuchawkę, pojąwszy aluzję diggera. Telefon mógł być podłączony do policyjnych urzędzeń rejestrujących, a Benny uznał widać rozmowę za niezbyt bezpieczną.

Na zdaniu Benny'ego można było polegać. Stary fachowiec od wynajdywania różnych potrzebnych przedmiotów i informacji nieraz już dopomógł Sneerowi w zdobyciu pewnych drobiazgów lub uzyskaniu poufnych adresów. Oficjalnie zajmował się pośrednictwem w handlu obiektami kolekcjonerskimi: starymi monetami z czasów obiegu pieniężnego, drobnymi antykami. Był z wykształcenia historykiem sztuki, klasę miał dość wysoką — Sneer nigdy nie pytał, jaką — lecz ze względu na brak odpowiedniej dla niego posady władze chętnie pozbyły się kłopotu wydając Benny'emu licencję na drobny handel starociami. Pod tym płaszczykiem Benny od lat uprawiał digging — jeden z najbardziej cenionych nielegalnych procederów.

Sneer doskonale zrozumiał odpowiedź diggera. Oznaczała ona po prostu, że przyjął zamówienie, lecz równocześnie sygnalizował, iż nie należy więcej o tym rozmawiać przez telefon. Ostatnie zdania mogły być informacją, gdzie można usłyszeć trefną balladę, lecz równie dobrze mogły stanowić tylko maskujący bełkot dla ewentualnych podsłuchiowaczy rozmowy.

Spojrzał na Klucz. Była dopiero szósta po południu. Wcześniej rozpoczęty dzień włókł się niemiłosiernie, a Sneer podświadomie jakoś unikał dziś pokazywania się w miejscach publicznych i najchętniej nie wychodziłby w ogóle z kabiny. Teraz jednak poczuł się nieco głodny i znudzony bezczynnością.

Trzeba ruszyć w miasto — pomyślał. — Muszę przełamać złą passę, zrobić coś, zarobić parę punktów. Życie musi toczyć się dalej!

Gdy zbliżył się do drzwi, ktoś w nie właśnie zapukał. Sneer cofnął się odruchowo. Pomny wczorajszego doświadczenia z aresztomatem, wahał się przez chwilę, a potem otworzył, cofając się szybko.

W progu stał mężczyzna ubrany w jasny garnitur z prawdziwej wełny, jaki można kupić tylko w najlepszych magazynach śródmieścia.

— Można? — spytał, uśmiechając się nieśmiało.

To nie policjant — pomyślał Sneer. — Oni nie chodzą pojedynczo i nie są tacy grzeczni.

— Bardzo proszę! — powiedział w stronę nieznanego.

Przyjrzał mu się dokładniej w świetle padającym z okna kabiny. Przybyły mógł być nieco starszy od Sneera, gdzieś koło pięćdziesiątki. Usiadł w fotelu nie rozglądając się po kabinie, co także zrobiło dobre wrażenie na gospodarzu.

— Jestem pracownikiem administracji — przedstawił się, pokazując Klucz, na którym Sneer zauważył symbol zerowej klasy — i chciałbym przede wszystkim przeprosić za pewne przykrości, jakie spotkały pana w ciągu ostatniej doby.

— To... chyba jakaś pomyłka? — zająknął się Sneer, siadając na skraju tapczanu naprzeciw przybysza.

— Pan Adi Cherryson, alias Sneer, nieprawdaż? — upewnił się przybysz i nie czekając na potwierdzenie, ciągnął dalej. — Aby uprościć naszą rozmowę, umówmy się, że ja będę mówił, pan zaś nie będzie niczego potwierdzał ani też niczemu zaprzeczał. Proszę przyjąć, że wiem o panu bardzo dużo, lecz nie mam żadnych wspólnych interesów z wydziałami, zajmującymi się sprawami klasyfikacji, dochodów, zatrudnienia, porządku publicznego i tych wszystkich organów administracyjnych, z którymi obywatel, a zwłaszcza obywatel pańskiej... hm... profesji, nie lubi mieć do czynienia. Otóż, przede wszystkim wyjaśnię, że zamierzamy zwrócić się do pana z pewną propozycją i prośbą zarazem, panie Sneer, jeśli pozwoli pan używać tego nieformalnego imienia, pod którym jest pan znany także u nas.

— To znaczy gdzie? — wtrącił Sneer czujnie.

— Powiedzmy ogólnie, że w Radzie Aglomeracji. Otóż, znając pewne pańskie walory, w szczególności zaś, pańską wysoką klasę...

— Jestem czwartakiem — powiedział Sneer chłodno.

— Proszę wysłuchać mnie do końca — uśmiechnął się cierpliwie urzędnik Rady. — Wiemy, że jest pan zerowcem, i to nie byle jakim. Znamy kilku zerowców, którzy tylko panu zawdzięczają swoją klasę i stanowisko. Mógłbym panu przedstawić ich listę, ale w końcu to nie ma nic do rzeczy. Co więcej, jest pan człowiekiem nie tylko wysoce inteligentnym, lecz także obdarzonym sprytem i pomysłowością. Trzeba być geniuszem w lifterskiej sztuce, by zrobić zerowca z takiego na przykład... hm... no, nie będę wymieniał nazwiska, bo to teraz dyrektor poważnej instytucji, ale mówiąc między nami, kompletny kretyn.

Jak pan zatem widzi, doceniamy w pełni pańskie kwalifikacje i walory. Odkryję nasze karty: jest nam potrzebny ktoś taki, jak pan. Ktoś posiadający formalnie czwartą klasę, nie zwracający na siebie uwagi, powiedziałbym nawet, proszę się nie gniewać, udający głupka. A równocześnie powinien to być ktoś błyskotliwy

i bystry, a przy tym fachowiec w dziedzinie mikroelektroniki. Niewielu mamy takich w Argolandzie, więc niech się pan nie dziwi, że Syskom wskazał właśnie na pańską kandydaturę. Dziś każdy, kto może, pcha się na wysokie pozycje, lecz o prawdziwego zerowca coraz trudniej. Nasze poufne badania wykazują, że wśród obywateli z formalnym zerem, zajmujących czołowe stanowiska w zarządzaniu aglomeracją, niepokojąco rośnie odsetek takich, co z trudem udają zerowców. To oczywiście skutki działalności pana i pańskich kolegów. Ale nie naszą jest sprawą regulacja tych nieprawidłowości. Dla nas nie jest pan w tej chwili lifterem, lecz człowiekiem, o którego nam chodzi. A zadanie, które chcemy panu powierzyć, jest niezwykle ważne z punktu widzenia interesów całej aglomeracji.

Nieznajomy przerwał na chwilę, wpatrując się w Sneera, który z kamienną twarzą odwzajemniał mu badawcze spojrzenie.

— Jednym słowem, proponujemy panu pracę na stanowisku odpowiednim dla czwartaka, z przepisowym uposażeniem w złotych punktach.

Ale, by zrekompensować straty, jakie poniesie pan w wyniku podjęcia się tej pracy, oferujemy ponadto dodatkowo przeciętną pańskich dotychczasowych przychodów z... hm... pańskiej dotychczasowej działalności.

— Czteryście złotych na miesiąc — mruknął Sneer, niby do siebie.

— Powiedzmy, pięćset — uśmiechnął się przybysz. — A jeśli będzie panu odpowiadała współpraca z nami, może pan osiągnąć jeszcze większe korzyści.

— A inne zajęcia? Czy musiałbym ich zaniechać?

— Skądże znowu! Interesuje nas tylko ten czas, za który płacimy. Poza tym, może pan robić, co się panu podoba. Postaramy się nawet, by nikt pana nie niepokoił, oczywiście pod warunkiem, że będzie pan przestrzegał pewnych pozorów i reguł gry.

— Cóż miałbym robić?

— Zostanie pan kimś w rodzaju portiera czy dozorca w pewnej placówce naukowej. Chcemy wiedzieć, co się tam dzieje. Musimy mieć u nich swojego człowieka.

— Nie zajmuję się donosicielstwem! — obruszył się Sneer.

— Pan mnie źle zrozumiał — urzędnik pokręcił głową i znów się uśmiechnął. Jego szczupłe, delikatne dłonie bawiły się złotą zapalniczką, którą wyjął z kieszeni. — Nie chodzi nam o donosy. Chcemy, aby ktoś rzetelnie i fachowo nadzorował działalność pewnej placówki naukowej. Rozumie pan, nie możemy posłać tam człowieka z formalnym zerem. Cała sprawa musi być załatwiona dyskretnie, z zachowaniem normalnej procedury. Wydział Zatrudnienia musi skierować tam „autentycznego” czwartaka. Zerowców wciąż nam brakuje, a co dopiero takich, jak pan, zakamuflowanych. A wśród tych... uczonych... zdarzają się różni. Czasem trudno stwierdzić, który prawdziwy, a który liftowany. Trzeba im patrzeć na ręce. Szczegółów dowie się pan oczywiście po wyrażeniu zgody, sprawa jest poufna. Nie możemy, rzecz jasna, wywierać na panu żadnych nacisków, ale proszę

w imieniu Rady o pomoc w tej sprawie. Obiecujemy naszą głęboką wdzięczność i oferujemy dalszą współpracę, z interesującymi perspektywami, jeśli spodobamy się sobie nawzajem.

— Czy kłopoty, które mnie spotkały wczoraj, były wstępem do naszej dzisiejszej rozmowy? — Sneer rzucił szybkie spojrzenie na twarz przybysza, lecz ten znowu się uśmiechnął.

— Zacząłem od przeprosin — przypomniał. — To był po części złośliwy przypadek, po części zaś, wynik nadgorliwości lub nieudolności niższego personelu administracyjnego. Musieliśmy oczywiście sprawdzić kilka rzeczy dotyczących pana osoby i nie dało się uniknąć korzystania z pomocy odpowiednich wydziałów Zarządu Aglomeracji. Wie pan, jaki element pracuje w niektórych urzędach. Im niższa klasa, tym ważniejszy chce się okazać taki funkcjonariusz. Stąd nieraz wynikają nie planowane efekty. Ale to się już na pewno nie powtórzy. Jest pan pod naszą specjalną ochroną i nie ukrywam, że zależy nam bardzo na pańskiej pomocy.

— Czy mogę się zastanowić?

— Oczywiście. Oto mój numer, proszę zatelefonować za dwa, trzy dni. Naszą rozmowę proszę jednakże traktować jako poufną.

— W porządku — Sneer schował podaną wizytówkę. — Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy kobieta, przedstawiająca się jako Alicja, jest waszą pracownicą lub ma jakiś związek z moją sprawą?

— Alicja? — Urzędnik Rady zastanawiał się przez chwilę. — Nie. Na pewno nie. Jakież kłopoty?

— Ech, chyba po prostu przypadek — uśmiechnął się Sneer. — W całym zamieszaniu ostatniej doby gotów byłem przypisywać znaczenie każdemu szczegółowi.

Odprowadził gościa do drzwi, a potem usiadł na chwilę, by się zastanowić.

Ładny mi przypadek! — pomyślał w związku z Alicją. — Jeśli ona nie jest od nich, to skąd, u licha, wiedziała o mającej nastąpić propozycji? Przecież ona wyróżyła mi to z ręki!

Sneer był zatwardziałym racjonalistą i w żadne wróżby nie wierzył.

Po wyjściu delegata Rady przez dłuższą chwilę zbierał myśli, rozbiegane w poszukiwaniu odpowiedzi na kilka pytań nasuwających się w czasie rozmowy. Propozycja była niezwykle obiecująca finansowo, lecz Sneer doskonale zdawał sobie sprawę, że nigdy i nigdzie na tym świecie, a zwłaszcza w Argolandzie, nikt nikomu nie płaci tak dobrze za błahostki. Jeśli więc oferta nie kryła w sobie jakiejś pułapki, jeśli nie była próbą zniszczenia Sneera przez odpowiednie czynniki powołane do tępienia takich jak on — to musiało chodzić o sprawę wielkiej doniosłości.

Oferta była kontynuacją niecodziennych wydarzeń toczących się ostatnio wokół Sneera, lecz czy była ich naturalną kontynuacją? A może wszystkie poprzed-

nie fakty należy interpretować jako psychologiczne przygotowanie go do tej wizyty nieznanego zerowca?

To było nawet dość prawdopodobne. Najpierw pokazano Sneerowi, jak nie- miło jest utracić, choćby na krótko, możliwość korzystania z Klucza. Potem — zademonstrowano mu, że przy dobrych chęciach ze strony władz, mogą one udaremnić wszelkie próby ratowania się znanymi powszechnie sposobami. Jednym słowem, dano mu do zrozumienia, że dotychczasowy brak kłopotów zawdzięcza tylko łaskawemu przymknięciu czyjegoś oka na jego działalność. A działalność ta — jak wynikało z rozmowy — była doskonale znana odpowiednim czynnikiem.

W końcu, oddając mu Klucz, wykazano, że władze mogą machnąć ręką na wszystkie dotychczasowe sprawy Sneera — oczywiście pod pewnymi warunkami. Te warunki właśnie zostały przedstawione przez nieznanego osobnika, podającego się za przedstawiciela Rady Nadzorczej Aglomeracji.

Sneer był mimo wszystko przekonany, iż żaden uczciwy organ sprawiedliwości nie znalazłby dostatecznych dowodów, by go legalnie ukarać. Lecz równocześnie wiedział doskonale, jak dalece może utrudnić, obrzydzić, a nawet uniemożliwić życie nieustanna szarpanina z policją. W jego zawodzie zbytne zainteresowanie władz byłoby katastrofą.

Propozycja, przedstawiona w formie prośby, mogła więc być w rzeczywistości zwykłym szantażem.

Czyżbym, u licha, był naprawdę tak genialnym zerowcem, że właśnie mnie musieli wyłuskać spośród wszystkich innych? — westchnął, wychodząc z kabiny. — Jeśli prawdziwego zerowca można dziś znaleźć jedynie pośród lifterów, to znaczy, że cały Argoland jest rzeczywiście jednym wielkim oszustwem i bluffem, jak twierdzi Matt. Tylko kto tu kogo oszukuje?

W zamyśleniu schodził po schodach z siedemnastego piętra. Lubił odbywać tę drogę pieszo, szczególnie wówczas, gdy chciał się nad czymś skupić i odizolować od otoczenia. Schody — w odróżnieniu od takich miejsc, jak kabina mieszkalna, klatka windy czy bar — miały tę cenną zaletę, że dawały możliwość wyboru dwóch kierunków ucieczki — w górę albo w dół. Sneer zdawał sobie sprawę ze smutnego faktu, że w Argolandzie nie sposób uciec przed czymś lub przed kimś tak w ogóle i naprawdę, bo wcześniej czy później, jak przysłowiowa koza do wozu, człowiek musi przyjść do jakiegoś automatu i ujawnić swoją aktualną lokalizację przez wetknięcie Klucza w jego szczelinę. Niemniej jednak, klatka schodowa była dla niego miejscem, gdzie człowiek znajduje się pomiędzy dwoma kolejnymi kontrolowanymi punktami w przestrzeni, a więc jakby nigdzie. Dawało to, przynajmniej teoretycznie, poczucie pewnej niezależności. Dziwił się ludziom, którzy wolą tłoczyć się w windzie nawet wtedy, gdy potrzebują zjechać o parę pięter w dół.

Kto tu kogo oszukuje, jeśli wszyscy zdają sobie sprawę, że są oszukiwani? — kontynuował swoje rozmyślenia, zeskakując ze schodów na jednej nodze po dwa

stopnie naraz. — Zerowcy z Rady wiedzą doskonale, że na ważnych stanowiskach pracują ludzie ewidentnie podliftowani, ale udają, że wierzą w ich kwalifikacje. Jeśli więc cały Argoland jest farsą, w której uczestniczą wszyscy jego obywatele, to któż u diabła jest widzem tego przedstawienia?

Nim znalazł się na parterze, był już bliski decyzji przyjęcia oferty. Uznał, że byłaby to znakomita okazja do przyjrzenia się kulisom tej farsy. Podjęcie się proponowanej roli mogłoby się okazać bardzo pouczające. Sneer nie przepuszczał nigdy okazji nauczenia się czegoś nowego o świecie i życiu. Taka wiedza procentowała zazwyczaj w dalszej działalności, a w tym przypadku same „studia” miały przynieść niebagatelne wynagrodzenie w postaci okrągłej kwoty złotych punktów.

Od czasu, gdy zaczął podświadomie rewidować swą fenomenologiczną teorię funkcjonowania świata, dostrzegł mnóstwo szczegółów, na które wcześniej nie zwracał uwagi. Od dawna wiedział dość dokładnie, jak funkcjonuje społeczeństwo, którego był składnikiem. Kolejne pytanie, narzucające mu się teraz z niepokojącą siłą, brzmiało: dlaczego? Dlaczego właśnie tak?

W ogólnym obrazie, w atmosferze tego miasta odnajdywał coś dziwnego — choć nienowego, a jakby od dawna znanego, lecz przyjmowanego bez zastrzeżeń jako normalny składnik rzeczywistości — co kazało spodziewać się zaskakującej odpowiedzi na to pytanie. Czuł instynktownie, że do pełnego obrazu świata brakuje jeszcze jakiegoś elementu, informacji, faktu, pozwalającego racjonalnie wyjaśnić sytuację, w której wszyscy przed wszystkimi udają, że wszystko jest w porządku. Taki paradoks nie tłumaczył się sam przez się, wymagał znalezienia jakiegoś klucza.

Może klucz ów leżał w zasięgu ręki, może znało go wielu spośród aktorów granej tu codziennie komedii, a może był on starannie ukryty? Sneer czuł coraz wyraźniej, że musi klucz ten odnaleźć, by uzupełnić swą wiedzę o otaczającej go rzeczywistości. Drażniły go niezrozumiane aluzje, niejasne pointy dowcipów, które obijały się o jego uszy. Był zły na siebie, że dotychczas, wykorzystując swój spryt wyłącznie dla ciągnięcia korzyści z obiektywnie istniejącej sytuacji, nie pokusił się o uzyskanie głębszej wiedzy o świecie.

Licho wie, czy nie jestem takim samym zadufanym durniem, jak liftowani przeze mnie pseudozerowcy, którzy, osiągnąwszy wysoki szczebel służbowy, zapominają, kim są naprawdę — pomyślał i postanowił sprawdzić się, potwierdzić swoje możliwości, stawiając przed sobą zadanie poznania prawdy.

Wejście pomiędzy zerowców związanych z Radą mogło być wielce, pożyteczne, a może nawet nieodzowne dla osiągnięcia tego celu.

Za oszklonymi drzwiami hotelowej sali restauracyjnej, gdzie zajrzał w poszukiwaniu Alicji, dostrzegł znajomą łysinę Prona, otoczonego gromadką kolorowych dziewcząt.

Skąd on bierze punkty na takie życie? — pomyślał Sneer ogarniając spojrze-

niem zastawiony stolik. — Siedzi tu od rana do nocy!

Pron dostrzegł go, zawołał i podnosząc się zapraszał szerokimi gestami. Widać było, że jest porządnie pijany, bo opadł z powrotem na krzesło, z trudem utrzymując równowagę. Sneer niechętnie zbliżył się do stolika.

— To mój serrrdeczny przyjaciel! — przedstawił go Pron dziewczętom, a wskazując z kolei na nie, powiedział żałośnie: — Pomóż mi, stary. Te dziewczyny zniszczą mnie doszczętnie!

— Wcale w to nie wątpię! — Sneer podniósł ze stolika pustą butelkę i przez chwilę ostentacyjnie studiował nalepkę. — Polegniesz finansowo. Zniszczą cię automaty kasowe.

— To mi akurat nie grozi — wybełkotał Pron, wywijając Kluczem. — To się nikomu nie uda, dopóki Klucz... Ech, Sneer! Żeby tak gdzieś był taki automat, żeby człowiek mógł... tego... no... ze dwadzieścia lat do tyłu... I jeszcze trochę zdrowia. Ale co tam! Czego się napijesz? Zamawiaj, na mój rachunek! „My, czwartacy, my, czwartacy! Nikt nie gooni nas do pracy!” — zaintonował fałszywie i spadł pod stolik przy akompaniamencie chóralnego śmiechu dziewczyn.

Sneer pochylił się nad nim i korzystając z tego, że Pron trzyma Klucz w zaciśniętych palcach, sprawdził stan jego rejestrów punktowych. Z trudem powstrzymał się od gwizdnięcia.

Dziesięć tysięcy! — pomyślał ze zdumieniem. — Skąd tyle złotych u takiego nieroba? Za samo posiadanie tej sumy powinni go byli zamknąć. Chyba że pracuje dla policji.

— Zaopiekujcie się moim... kolegą! — rzucił w stronę rozbawionych dziewczyn i wyszedł.

Stanowczo należy zmienić hotel. Za długo tu siedzę i dorobiłem się niepotrzebnych znajomości — stwierdził, maszerując ulicą i rozglądając się za jakimś zacisznym miejscem, gdzie można by coś zjeść.

Po chwili przypomniał sobie, że główną przyczyną jego pobytu w hotelu „Kosmos” jest teraz Alicja. Nie wiedzieć dlaczego, spodziewał się jej pojawienia czy choćby jakiejś wiadomości od niej.

Ściemniało się. Na ulicach zapłonęły latarnie i barwne reklamy. Przechodnie, wypełniający tłumnie ulice centrum, wybierali wśród setek możliwości jakiś atrakcyjny sposób spędzenia tego wieczoru. Reklamy zapraszały do sal widowiskowych, kin, kabaretów, lokali dansingowych.

Sneer nie miał dziś ochoty na gwarne towarzystwo rozochoconych ludzi. Chciał usiąść i spokojnie pomyśleć lub porozmawiać z kimś zaufanym. Wizyta zerowca z Rady splotała się w jego świadomości z osobą Alicji. Odrzuciwszy wiarę w jej wieszczę zdolności, musiał przyjąć, że znała zamiary Rady. Najprostszym wyjaśnieniem mógł być jej świadomy i planowany udział w łańcuchu zdarzeń, zaaranżowanych specjalnie dla Sneera. Jeśli jednak animatorzy tej sprawy znali dobrze cechy jego osobowości, nie mogli nie wiedzieć o jego sceptycznym

stosunku do wróżb i przepowiedni. Sneer nigdy, na przykład, nie korzystał z tak popularnych w Argolandzie automatów stawiających horoskopy. Trudno zatem przypuszczać, by podstawili Alicję jako osobę mającą przekonać go, że to, co ma się zdarzyć, jest nieuchronnym fatum, z góry zapisanym w księgach przeznaczenia.

Pozostawała zatem druga możliwość: Alicja wiedziała o czekającej Sneera propozycji, nie mając nic wspólnego z Radą. Informowała go o przyszłości, przedstawiając ją jako fakt dokonany, sugerując przy tym pomoc czy wsparcie w jakichś bliżej nie określonych trudnościach. Cóż mogło to oznaczać? W czyim imieniu zwracała się do niego w żartobliwej formie wróżby, która oto zaczynała się spełniać? Jeśli nie była związana z Radą, nie działała w jej imieniu — to może... działała przeciw niej?

Tajemnicze zniknięcie dziewczyny, dziwny prezent w postaci miedzianej bransolety, numer nagrania piosenki, która została wycofana z rozpowszechniania — wszystko razem pasowało do tej hipotezy. Czyżby Alicja spodziewała się pozyskać Sneera dla jakiejś sprawy, jeszcze nim znajdzie się wśród zerowców związanych z najwyższą władzą aglomeracji? Może był jej — lub jakiejś grupie, którą reprezentowała — potrzebny zaprzyjaźniony człowiek na tak wysokim szczeblu.

Albo, po prostu, wszystko polega na nic nie znaczącym zbiegu okoliczności — próbował zbagatelizować sprawę, bo w ten sposób stwarzał sobie iluzję, że Alicja jest zwyczajną dziewczyną, która obdarzyła go swymi względami z czystej sympatii, nie podszytej żadnymi ukrytymi celami.

Na dnie świadomości czało się jednak podejrzenie, że wokół jego osoby toczy się jakaś dziwna gra ukrytych sił, której nie był w stanie zrozumieć. Pomyślał, że — być może — zarówno bransoleta, jak owa nie znana mu piosenka Dony Bell, zawierać mogą kolejne elementy łamigłówki, którą należało rozwiązać.

Przez chwilę stał przed witryną wielkiego magazynu spożywczego, wpatrując się bezmyślnie w półki pełne barwnych opakowań, kosze owoców, szeregi puszek i butelek. Widok ten wywoływał z pamięci dalekie wspomnienie dawno minionego czasu, jakąś nieokreśloną, dławiącą w gardle tęsknotę. Sneer wszedł do sklepu, wybrał ze sterty plastikowych toreb największą, jaką znalazł, i idąc wzdłuż regałów, napełnił ją po brzegi. Zatrzymał się dłużej przed małym automatem, kuszącym barwnymi torebkami słodczy i paczuszkami gumy do żucia. Uśmiechnął się do swoich wspomnień, wybierając długo odpowiedni przycisk. Schował do kieszeni otrzymaną paczuszkę, położył torbę na pulpicie i wsunął Klucz do automatu kasowego.

Kwota wykazana przez kasę zdumiała go swą wysokością. Prawie cała należność opiewała na żółte. Stołując się w restauracjach, nie miał pojęcia, że ceny podstawowych artykułów spożywczych wzrosły tak znacznie od czasów, gdy na polecenie matki robił domowe zakupy.

Zapłacił, zabrał torbę i koleją podziemną pojechał w kierunku Dzielnicy Północnej.

Znał tu każdy zaułek, choć ostatnio nieczęsto odwiedzał ten rejon miasta. Stały tu stare domy, pamiętające czasy sprzed Wielkiej Reformy. Trwały dzielnie pośród nowej zabudowy, choć stan ich był już najwyraźniej beznadziejny. Nietypowe, budowane wedle dawnej technologii, nie dawały się remontować przy użyciu nowoczesnych maszyn i materiałów, pozostawiono je więc własnemu losowi i opiece mieszkańców — przeważnie ludzi starszych, emerytów, którzy nie chcieli przenosić się do nowych dzielnic, trwając uparcie w swych wałących się siedzibach.

Sneer wszedł do jednego z tych domów. Klatka schodowa wstydliwie kryła w mroku swe odrapane ściany. Szedł po omacku, trafiając instynktownie na stopnie schodów, licząc je podświadomie i omijając odruchowo szczyrby w ich krawędziach. Na podeście drugiego piętra zatrzymał się przed pomalowanymi na brązowo, drewnianymi drzwiami. Dotknął ich powierzchnię, ujął w dłoń wypolerowaną mosiężną gałkę. Wahał się przez kilkanaście sekund, nim nacisnął dzwonek.

Ciężkie kroki za drzwiami zbliżały się powoli. Niski, cichy głos spytał: „Kto tam?”, a potem drzwi otworzyły się szeroko.

— Oo! To ty! — twarz starego człowieka o białych, gęstych włosach rozjaśniła się uśmiechem.

Sneer przekroczył próg i znalazł się w ramionach starca.

— Chodź, synku! Mama leży, czuje się niezbyt dobrze, ale ucieszy się bardzo. Często mówimy o tobie. Dawno nie zaglądałeś!

— Praca, kłopoty — uśmiechnął się Sneer. — Wiesz, jak to jest, kiedy człowiek ma czwartą klasę.

— Ech, ty, ty! — ojciec pogroził mu palcem. — Powinieneś nareszcie przestać się bawić! Stać cię na inny tryb życia.

Weszli do niedużej kabiny, gdzie na łóżku leżała matka Sneera. Zmieniła się od czasu, gdy widział ją ostatni raz. Już wtedy chorowała, lecz teraz musiało być z nią gorzej.

— Zrobiłem zakupy, mamó! A za resztę punktów kupiłem sobie gumę do żucia! — powiedział, naśladowując głos dziecka. — Witaj, mamó! Nic się nie zmienia, odkąd cię pamiętam!

— Ach, ty łgarzu! Chodź tu, pokaż się! — uśmiechnęła się wyciągając do niego rękę. — Za to ty się starzejesz.

— Ale nie poważnieję, mamó! — powiedział, schylając się nad nią.

Objęła go i ucałowała, a on, siedząc na skraju łóżka, poczuł się dziwnie daleki od wszystkiego, co zaprzętało jego myśli, nim przekroczył próg rodzinnego domu.

— Wciąż nie pracujesz? — spytała, trzymając jego dłoń.

— Jak to! Pracuję! Jestem artystą! — roześmiał się.

— Jesteś leniem bez ambicji. Zawsze byłeś zdolnym chłopcem, ale lenistwa nie udało się z ciebie wyplenić.

— Mamo! Ja naprawdę jestem artystą. Czy nie uważasz, że to prawdziwa sztuka: zrobić geniusza z osła? Zresztą, chyba wkrótce zacznę robić coś innego. Mam interesującą propozycję. Będę mógł zarobić tyle, że i dla mnie wystarczy, i wam będę mógł załatwić inne mieszkanie.

— Nam nie potrzeba niczego więcej — powiedział ojciec. — Mamy wszystko, co niezbędne.

— Ale mamie potrzebny jest dobry lekarz. Przyślę tutaj jednego znajomego. A poza tym chciałem z tobą porozmawiać, tato.

— Porozmawiajcie sobie w kuchni. Pewnie nie jadłeś kolacji, weź sobie coś — powiedziała matka.

Przeszli do małej kuchenki. Ojciec przyrządził herbatę, kroił chleb. Sneer miał uczucie, jakby czas cofnął się o trzydzieści lat. Był znów; małym chłopcem, nie rozumiejącym wielu rzeczy, potykającym się o dziwne, coraz to nowe, zaskakujące problemy, które wyrastały przed nim w tym skomplikowanym świecie.

Jeszcze kilka dni temu był przekonany, że już zna ten świat we wszystkich jego przejawach. Dziś czuł się znowu jak ten dziesięcioletni, mały Adi, wpytujący ojca o różnicę między żółtym a czerwonym punktem.

— Tato — powiedział, patrząc w szare oczy ojca, który mieszał herbatę staroświecką srebrną łyżeczką i uśmiechał się do niego spoza okularów. — Czy ty pamiętasz, jak wszystko wyglądało przed. . .

— Przed czym?

— No, zanim zaczęli wprowadzać powszechną automatyzację. To nastąpiło jakoś tak. . . nagle. Ucząc się historii w szkole, zawsze odnosiłem wrażenie, że strasznie dużo doniosłych zdarzeń nagromadziło się w dość małym przedziale czasu. Bo przecież — porozumienia międzynarodowe, odkrycie metody anihilacji materii, unifikacja poziomu ekonomicznego, klasyfikacja, urbanizacja, automatyzacja — wszystko to nastąpiło prawie równocześnie.

— Na tym właśnie opierał się kompleksowy program Wielkiej Reformy — uśmiechnął się ojciec. — Założenia były opracowane bardzo precyzyjnie.

— Kto je opracował?

— No, uczeni, oczywiście. Z całego świata.

— Właśnie! Jak to się stało, że wielkie mocarstwa, które przedtem były wobec siebie tak nieufne, które gromadziły niesamowity potencjał militarny dla obrony przed sobą nawzajem, nagle przystąpiły do zgodnej, przykładowej współpracy? Jakim cudem politycy i dyplomaci, zwykle nieustępliwi wobec przeciwnej strony, pogodzili się tak łatwo?

— Zwyciężył rozsądek.

— Nie, tato. To niemożliwe. Owszem, w naszym Argolandzie i pewnie także w innych aglomeracjach bywa, że zakuty dwojak nagle mądrzeje i staje się jedy-

nakiem. Ale za tym zawsze stoi lifter! Nie wierzę, by przywódcy polityczni nagle, wszyscy naraz, zmądrzeli!

— Nie wszyscy, nie wszyscy, synku! Tylko niewielu! Ci, którzy nie chcieli zmądrzeć, zniknęli z areny politycznej.

— O tym nie uczono mnie na lekcjach historii.

— Ale tak było. Prawdę mówiąc, w utworzonej wówczas Radzie Nadzorczej Świata zasiadło bardzo niewielu dawnych przywódców z poszczególnych krajów. Pojawili się nowi ludzie, inaczej myślący. Było nawet sporo tarć i konfliktów, ale w końcu... zwyciężył rozsądek, ludzie zmądrzeli.

— Nie potrafię jakoś wyobrazić sobie takiej metamorfozy. Politycy zmieniają czasem poglądy, ale bodźcem do tego rzadko bywa racjonalny argument czy wzgląd na interes ludzkości. Najczęściej bodźcem takim bywa po prostu strach o własną pozycję lub o własną skórę... Czegóż mogli bać się ci, którzy wówczas zmądrzeli tak nagle? Kto i czym ich postraszył, by zmusić do zgodnej współpracy w skłóconym świecie?

Ojciec uśmiechnął się znad szklanki. Patrzył przez chwilę w oczy Sneera, a potem powiedział z dziwną, ironiczną nutką w głosie:

— Nie trudź się takimi dociekaniem. To było dawno, synku. Jeśli współczesność chce coś ukryć przed ludźmi, historia po dziesiątkach lat nie ma szans dogrzebania się prawdy. Zamiast niej znajduje się tylko artefakty, misternie utkane legendy modyfikujące prawdę, spreparowane na użytek ówczesnego społeczeństwa i tak głęboko zaszczepione w świadomości pokoleń, że stają się prawdą zastępczą, której obalenie po latach nie leży w niczyim interesie. Przeciwnie, mogłoby to wstrząsnąć podstawami od lat budowanej rzeczywistości.

— Więc jednak sądzisz, że historia nie dostarcza nam pełnej wiedzy o zdarzeniach poprzedzających Wielką Reformę?

— Urodziłem się przed Reformą, lecz od samego początku, jak sięgam pamięcią, nikt nie był pewien, co się właściwie stało, co było przyczyną nagłego zwrotu w światowej polityce i ekonomice. Oficjalnie, jak zresztą wiesz, wyjaśniano to odkryciem metody uzyskiwania taniej energii w nieograniczonych praktycznie ilościach. Lecz już wówczas krążyły różne plotki i domysły. Mówiono o jakiejś mafii, o grupie uczonych-terrorystów szantażujących przywódców politycznych i zmuszających ich do zgody pod groźbą totalnej zagłady. Ale do dziś nikt tego nie potwierdził oficjalnie. Faktem jest, że niektórzy znani politycy zniknęli wówczas nagle z firmamentu. Później też się to zdarzało, szczególnie tym, którzy krytykowali przyjęte kierunki i rozwiązania. Mnie także nie wszystko się podobało. Co więcej, teraz widzę, że ludzie myślący wówczas podobnie jak ja, mieli sporo racji. Lecz cóż mogli zrobić? Ja sam, będąc przez całe życie tylko trojakiem, pracowałem uczciwie na powierzonym mi skromnym odcinku, ufając, że myślą za nas bardziej do tego predysponowani zerowcy. Krytyka reform była źle widziana. Znikali bez śladu nie tylko znani politycy. Ich los podzieliło wielu zwykłych

obywateli, zbyt śmiało wytykających błędy lub podających w wątpliwość skutki poczynionych przedsięwzięć społecznych czy technicznych. W najlepszym razie spadali nagle do szóstej klasy, tracąc wszelkie życiowe perspektywy. Teraz rzadko słyszy się o takich faktach. Zresztą, większość ludzi, zwłaszcza młode pokolenia urodzone po Reformie, zaakceptowały taki model świata, jaki zastały, plasując się w nim na lepszych czy gorszych pozycjach. Wszyscy zainteresowani są raczej urządzeniem się w nim w miarę wygodnie na swych kilkadziesiąt lat życia, niż drażnieniem go w poszukiwaniu jakiejś abstrakcyjnej prawdy. Prawie nikt nie myśli o możliwości ulepszenia tego świata.

— Właśnie! Czyżby ten świat był najlepszym z możliwych? — wtrącił Sneer.

— Jest przede wszystkim homogeniczny, jednorodny pod względem warunków życia. A ponieważ jest przy tym jedynym możliwym światem, nie sposób ocenić, czy jest dobry czy zły. Jest, jaki jest. Brak skali porównawczej.

— Myślisz, że bardziej opłaca się spożytkować swe życie na zdobywanie punktów, niż na próby ulepszenia świata?

— Trudno powiedzieć, co opłaca się lepiej. Ale z mojego doświadczenia wiem, że bezpieczniej jest akceptować tę rzeczywistość. A na pewno nie jest bezpiecznie, nawet teraz, po latach, grzebać w tamtych, starych historiach sprzed Reformy.

— Uważasz, że to nie jest bezpieczne?

— Tak, synu. To co mówiłeś o czynniku strachu, może obowiązywać nadal. Zerowcy, którzy kierują światem, z sobie wiadomych względów nie lubią tych, którzy chcieliby wnikać we wszystkie mechanizmy i uwarunkowania ich władzy.

* * *

W dole rozpościerał się ocean światła — mrowiący się barwami, żyjący niepokojnym, pulsującym nieustannie życiem. Bliższe plamy światła, uporządkowane w prostokąty, dające się podzielić wzrokiem na pojedyncze punkty, oraz te dalekie, złane w mgliste, świecące obłoki — ciągnęły się aż do horyzontu, pokrywając cały widoczny obszar łądu. Przecinały je sznury jaskrawych koralików, kreślące szerokie pętle na tle regularnych prostokątów śródmiejskiej zabudowy i prostujące się w promieniste, proste linie, by wybiec w różne strony, poprzez zanurzone we mgle odległe obszary suburbiów.

Nocny widok na aglomerację Argolandu, oglądany z wysokości stu dwudziestu sześciu pięt, niezmiennie wywierał na Sneerze równie silne wrażenie, jak wówczas, gdy rodzice pokazali mu po raz pierwszy ten kawał świata, w którym miał przeżyć całe życie. To ograniczenie przestrzeni życia — podobnie zresz-

ta, jak ograniczenie czasu jego trwania — przyjął wówczas jako rzecz naturalną. Myśl o wykroczeniu poza obszar aglomeracji była dla niego wtedy — a także jeszcze długo potem — wybrykiem fantazji o takim samym stopniu realności, jak idea „eliksiru życia”, zapewniającego przekroczenie przypisanych człowiekowi granic trwania w czasie.

Dopiero później, gdy dziecięce poczucie czasu, wedle którego kilkadziesiąt lat wydaje się nieskończonością, ustąpiło wrażeniu, iż czas galopuje coraz prędzej — Sneer zaczął zastanawiać się nad proporcjami wymiarów tego „czaso-przestrzennego pudełka”, w którym zamknięty jest każdy obywatel aglomeracji. Kilkadziesiąt lat życia w obszarze o promieniu czterdziestu kilometrów wydawało się jakimś smutnym nieporozumieniem. Wiedział oczywiście wszystko — a przynajmniej tak mu się zdawało — o przyczynach i celach, dla których stłoczono kilkadziesiąt milionów ludzi na obszarze pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych. Zresztą sytuacja, w której na każdego mieszkańca przypada sto metrów powierzchni — to jeszcze zupełnie niezłe warunki, jeśli weźmie się pod uwagę, że jest to cena płacona za oddalenie od tych milionów ludzi widma głodu. Tereny, otaczające aglomeracje podobne do Argolandu, są zbyt cenne, by zajmowane były pod rozproszoną zabudowę mieszkalną.

Sneer nieraz odczuwał, że obszar, w którym przyszło mu istnieć, robi wrażenie klatki, i to klatki nieco przepełnionej. Skoro jednakże od lat kilkadziesiąt trwająca sytuacja zapewniała znośne warunki bytu wszystkim obywatelom, trudno byłoby kwestionować takie rozwiązanie, nie mając w zanadrzu ewidentnie lepszego.

Stojąc teraz przed kryształową szybą galerii widokowej na szczycie „Baszty Argolandu”, Sneer raz jeszcze pomyślał o aglomeracji jak o wielkiej klatce pełnej zwierząt, karmionych i chronionych przed nie sprzyjającymi okolicznościami, lecz, niestety, pozbawionych szerszego wybiegu.

Skojarzenie z klatką miało jeszcze jeden aspekt, który teraz, w świetle ostatnich doświadczeń Sneera, ujawniał się z całą ostrością.

Czy zwierzę w klatce jest w stanie zgłębić intencje tych, którzy go w niej zamknęli? Czy karmią nas jedynie z dobroci, czy też może służyć im mamy do jakichś bliżej nie znanych celów? A może... — Sneer poczuł na grzbiecie nie miły dreszcz. — Może jesteśmy tylko doświadczalnymi zwierzętami? Może Argoland jest czymś w rodzaju eksperymentalnej hodowli? Albo może rezerwatu stworzonego dla jakiegoś niezwyklego, wynaturzonego szczepu ludzkości, odizolowanego od reszty normalnego świata? Może to jakaś boczna, zdegenerowana gałąź ludzkości, której stworzono tu enklawę, niszę ekologiczną, humanitarnie pozwalając tym niby-ludziom wegetować w przeświadczeniu, że są tacy sami, jak wszyscy inni na całym świecie?

To były oczywiście nonsensy, fantastyczne pomysły rodem z science fiction, z horrorów wyświetlanych w kinach Argolandu, na które chadzał w młodości.

Oczywiście, że to nie mogło być prawdą! Przecież Argoland, w gruncie rzeczy, nie jest zamknięty i odizolowany od świata! Mając dostatecznie dużo żółtych punktów, można — przy pewnej dozie cierpliwości i wytrwałości — uzyskać zezwolenie na wyjazd do innej aglomeracji, kupić bilet lotniczy i polecieć. Jeśli prawie nikt tego nie robi, to tylko dlatego i właśnie dlatego, że wszędzie jest tak samo! A więc, idiotyczne spekulacje o enklawie i izolacji, o szczególnej sytuacji Argolandu, są bzdurą wylęglą w mózgu Sneera wskutek nagromadzenia niezrozumiałych zdarzeń i nasłuchania się informacji, plotek, domysłów.

Jeśli jednakże prawdą jest, jak powiedział człowiek z Rady — zastanawiał się Sneer, wpatrzony w kłębiące się u jego stóp nocne życie aglomeracji — że trzeba kontrolować nawet uczonych, że coraz trudniej o zerowca... czyż nie oznacza to przypadkiem, że podobny cyrk, że farsa tego samego rodzaju odgrywana jest wszędzie, we wszystkich aglomeracjach tego globu? Wynikałoby stąd także, że oni, ci zerowcy z Rad różnego szczebla, są poza tą grą, na zewnątrz tych klatek, gdzie pod ich baczny okiem dzień po dniu tworzy się fikcyjną rzeczywistość i pozoruje normalność wszystkiego, co się tam dzieje.

Jedynym sposobem logicznego wyjaśnienia podobnej sytuacji byłoby założenie, że cała ludzkość z jakiejś przyczyny uległa nagłej lub stopniowej degeneracji umysłowej, a jedynie ci, którzy pozostali jako tako normalni, starają się teraz utrzymać porządek, sterując biednymi, przygłupimi bliźnimi za pomocą wymyślonej kombinacji automatyki i pozorów, pozwalających nie dopuścić strasznej prawdy do powszechnej świadomości.

To też była jedna z apokaliptycznych wizji „odkrytych” już dawno przez autorów scenariuszy filmowej fantastyki. Umysł Sneera wzdragał się przed przyjęciem tak tragicznego wyjaśnienia losów ludzkości, aczkolwiek miało ono wszelkie pozory prawdopodobieństwa. Ileż bowiem niezbadanych czynników związanych z nowymi technologiami — agrochemią, farmakologią, działaniem promieniowań i dziesiątkami innych dziedzin działalności człowieka na Ziemi — mogło podstępnie, w nieprzewidziany sposób wpłynąć na rozwój — nie tylko fizyczny, lecz i umysłowy — następujących po sobie pokoleń.

Idiota, z natury rzeczy, nie jest w stanie ocenić stopnia swojego własnego zidiocenia, nawet przez porównanie z innymi, normalnymi ludźmi. A cóż dopiero, kiedy wszyscy nagle zaczynają idiociec! — pomyślał Sneer z niepokojem. — Jeśli to właśnie stało się z ludzkością przez ostatnie dziesiątki lat, powinienem pocieszyć się chociaż tym, że należę do elity. Przecież zaproponowano mi współpracę z ludźmi, którzy, jak należy sądzić, czują się wśród tego wszystkiego najmądrzejsi. Przy czym cieszyć się powinienem z zachowaniem pewnego umiaru. Jak wśród ślepców królem jest jednooki, tak wśród idiotów mędrce może być debil.

Roześmiał się z tego konceptu, a po trosze również ze swych hipotez, lecz był już teraz pewien, że nie może zignorować oferty Rady. To był jedyny sposób popatrzenia z zewnątrz na tę „klatkę”, na Argoland i jego mieszkańców. To byłaby

okazja spojrzenia na całość spraw aglomeracji, ogarnięcia wzrokiem dziejących się w niej procesów — tak, jak widzi się jej rozległość i strukturę urbanistyczną ze sto dwudziestego szóstego piętra Baszty.

Sneer obszedł galerię widokową, ogarniając wzrokiem mrowie światła na południe, zachód i północ od centrum. Wschodnią część galerii pozostawił, jak zwykle, na koniec, bo było to zupełnie szczególne, osobne przeżycie po obejrzeniu nocnej panoramy aglomeracji. Spojrzawszy na wschód, doznawało się niezwykle, oszałamiającego wrażenia: porażony jeszcze orgią światła, ściągany ku ziemi niepokojącym, fascynującym mrowieniem się świetlistego molocha rozplaszczonego na trzech czwartych obszaru dostępnego oczom, wzrok natrafił nagle na nieskończoną, czarną, milczącą pustkę, odciętą od realnego świata — jak ostrą, srebrzystą klingą — oświetloną jasno linią bulwaru. Oczy same biegły ku górze w poszukiwaniu jakiegoś oparcia w tej czarnej, milczącej otchłani. Czuło się prawie, jak stopy tracą kontakt z twardym betonem posadzki, a ciało lewituje w przestrzeni, nie ściągane ku ziemi żadnym śladem jej istnienia.

Dopiero po chwili wzrok przywykał do ciemności, a gwiazdy występowały z czarnego tła jak małe, srebrne ostrza, skierowane w patrzącego. Dołem — też czarna, lecz bez tych srebrzystych punkcików, szerokim pasem rozciągała się spokojna toń jeziora Tibigan. Tylko tam, na ciemnym niebie nad jeziorem, można było tak wyraźnie zobaczyć gwiazdy. Nad miastem głużyła je luna światła, nad jeziorem królowały niepodzielnie, przedłużając w nieskończoność ten świat, z trzech pozostałych stron płaski i kończący się kręgiem horyzontu.

Świat liczy sobie czterdzieści kilometrów w każdą stronę, z wyjątkiem tej jednej — pomyślał Sneer, patrząc w niebo nad Tibigan.

Przypomniała mu się rozmowa z Alicją i piosenka, o której wspominała — właśnie o gwiazdach nad Tibigan. Bezwiednie końcami palców lewej dłoni dotknął miedzianej bransolety.

Gdzie jesteś, Alicjo? — westchnęło w nim coś, poza jego wolą.

Do „Baszty” zaniósł go same nogi, znalazł się tu siłą długoletniego nawyku. Teraz, około północy, w restauracji na sto dwudziestym piątym można było spotkać całą elitę argolandzkiego „podziemia zawodowego” — najznakomitszych lifterów, kluczników, paserów i innych „żółtych ptaków”, którzy mogli pozwolić sobie na codzienne przesiadywanie do późnych godzin nocnych w tym drogim lokalu, dostępnym dla posiadaczy żółtych punktów. Gdyby policja zechciała naprawdę oczyścić miasto z grubego kalibru kanciarzy, wystarczyłoby zarzucić sieć w tym i paru podobnych nocnych lokalach. Połów byłby pewny i obfity. Być może, w sieć zaplątałby się jakiś uczciwie pracujący obywatel, lecz można by go było bez trudu odróżnić po klasie. Pozostali, należący do klas rezerwowych, nie wstawali przed siódmą rano, by udać się do zajęć, w większości polegających na markowaniu pożytecznej pracy.

Nielegalni fachowcy nie udawali, że pracują. Oni pracowali naprawdę — od

południa do północy, przez cały czas myśląc i działając, ryzykując i czujnie omijając pułapki. Tylko bowiem oni — przez zawistnych współobywateli zwani pasożytami — byli w istocie jedynym bezspornie niezbędnym składnikiem społeczeństwa Argolandu, jego florą bakteryjną, ułatwiającą przebieg procesów społeczno-ekonomicznych, smarem umożliwiającym funkcjonowanie tego wymyślnego, sztucznego systemu, który bez nich zgrzytałby o wiele głośniejszy i zaciąłby się katastrofalnie.

Właśnie ta ich zbawienna rola — nie przewidywana przy projektowaniu modelu społecznego, lecz stanowiąca jego wtórny wytwór — sprawiała, że władze przemykały oko na działalność podziemia zawodowego. Po prostu uzupełniali braki i tuszowali błędy modelu, który miał być w założeniach bezbłędny. Oczyszczenie Argolandu z fachowców w rodzaju Sneera obnażyłoby wszystkie te błędy, a tego na pewno nikt nie pragnął.

Każdy obywatel Argolandu intuicyjnie odróżniał fachowców od pospolitych przestępców. Wampir, wyciskacz, hiena czy zdzierca zyskiwali jednoznaczne potępienie. Natomiast takiego na przykład kameleona akceptował bez moralnego sprzeciwu każdy, najbardziej nawet praworządny obywatel, zwłaszcza wówczas, gdy był zmuszony zdobyć trochę złotych punktów w zamian za swoje uczciwie uzyskane zielone. Podobnie akceptowano liftera, choć nikt z klientów raczej nie przyznawał się do korzystania z jego usług.

Do podobnych konkluzji Sneer dochodził już wielokrotnie, lecz dopiero teraz wszystko to zaczynało mu się układać w spójną całość.

Stojąc w wejściu do sali restauracyjnej, dokąd zszedł z galerii widokowej, patrzył z pewną wyższością na całą tę menażerię, wśród której odnajdywał twarze kolegów z branży, stałych bywalców, w towarzystwie zawsze kręcących się tutaj młodych dziewczyn nieokreślonej klasy i dość jednoznacznej profesji.

Jak mogłem przez tyle lat zadowalać się tak nędzną egzystencją! — mówił do siebie z pozycji człowieka, który osiągnął wyższy stopień świadomości niż ta cała zgraja, sprzedająca swoje umysły podobnie, jak kręcące się tu dziewczyny sprzedają swe wdzięki.

Propozycja otrzymana od Rady Aglomeracji nobilitowała go w jego własnych oczach. Uwierzył jeszcze bardziej w swoje możliwości, w wartość swego umysłu i poczuł coś w rodzaju szacunku dla samego siebie. Wprawdzie w swych rozważaniach nie ustalił ostatecznie, czy rolę Rady należy ocenić pozytywnie czy negatywnie, lecz o tym można było przekonać się dopiero po dopuszczeniu go do konfidencji przez tę najwyższą władzę aglomeracji.

Wśród zmieszanych odgłosów rozmów wybijał się czyjś znajomy głos, po krzykujący w końcu sali. Sneer spojrzał w tamtą stronę.

— Cholera! — zaklął pod nosem. — Znowu ten Pron.

Mały lifciarz kroczył przez środek sali, rozprawiając z dwoma mężczyznami, którzy szli po jego obu stronach. Był lekko podpity, lecz dobrze trzymał się na

nogach.

Ma zdrowie ten facet — pomyślał Sneer. — Od samego rana urzęduje po knajpach. Skąd u niego tyle złotych? Musiał zrobić jakiś nieczysty interes.

Próbował zniknąć z pola widzenia Prona, lecz bystre, wyłupiaste oczka wysłedziły go od razu.

Tamten pożegnał kolegów i przypiął się do Sneera, który — by się nie dać naciągnąć na dłuższe nocne eskapady — oświadczył, że właśnie wraca do hotelu.

— To znakomicie! — ucieszył się Pron. — Pójdziemy razem, jeśli nie masz nic przeciw temu.

Sneer nie zdołał wymyślić na poczekaniu żadnej obiekcji, zjechali więc na dół i ruszyli ulicą w stronę hotelu.

— Nie widziałeś tej dziewczyny? — zagadnął Sneer.

— Nie, ale pewnie pokaże się znowu w „Kosmosie”. To jedna z tamtejszych.

Sneer milczał przez następne kilka minut. Skręcili właśnie w jedną z wąskich, bocznych uliczek, skracając sobie drogę do hotelu. Ulice były wyludnione, czasem tylko spotykało się jakiegoś spóźnionego przechodnia. Aż trudno uwierzyć, że w śródmieściu tak ludnej aglomeracji prawie nikt nie chodzi po ulicach po północy.

Z tyłu zadudniły czyjeś, ciężkie kroki. Sneer obejrzał się. Doganiało ich dwóch wysokich, barczystych mężczyzn. Poza tym ulica była pusta.

Kroki zbliżały się. Sneer dostrzegł długie cienie po dwóch stronach chodnika, jakby nadchodzący chcieli wyprzedzić ich z dwóch stron. Niejasne poczucie zagrożenia przyszło o moment za późno. Poczul, że ciężka łapa obejmuje go od tyłu, grube przedramię unieruchomiło jego brodę.

— Spokój — powiedział napastnik. — Nie o ciebie chodzi, ale jak się ruszysz, skręcę kark!

Sneer znieruchomiał. Kątem oka widział, jak drugi drab, unieruchomiwszy jedną ręką szamocącego się Prona, drugą zakrywa mu usta, wlokąc go równocześnie w stronę pobliskiej bramy starej kamienicy. Sneer wiedział, że nie poradzi sobie z napastnikiem, trzymającym go w żelaznym uścisku silnego ramienia. Nie był wprawiony w walce wręcz, preferował raczej intelektualne niż bokserskie pojedynki, lecz — właśnie dlatego — starał się zawsze utrzymać swe nogi w stanie zapewniającym możliwość błyskawicznej ucieczki.

Gdyby się wyrwać — pomyślał, obserwując układ palców trzymającej go ręki.

Prawą dłoń miał wolną. Przeciwnik ufał sile swego przedramienia i precyzji chwytu, którym unieruchomił lewą rękę Sneera.

Drugiemu napastnikowi udało się bez większego trudu zawlec wierzgającego Prona w czeluść ciemnej bramy. Sneer czuł, że musi coś zrobić nie tyle ze specjalnej sympatii dla Prona, co z poczucia sprawiedliwości. Zawsze uważał, że użycie brutalnej siły wobec człowieka, którego jedyną bronią jest głowa na

karku, stanowi świństwo, które powinno być karane co najmniej śmiercią, w miarę możliwości poprzedzoną torturami. Ilekroć ktokolwiek, wykorzystując fizyczną przewagę, pozwolił sobie użyć wobec niego siły, Sneer — nie dysponując innymi środkami — w wyobraźni dokonywał na winnym wymyślnej egzekucji. To pozwalało mu łatwiej przełknąć gorzkość bezsilności wobec przemocy i przejść do porządku dziennego nad upokorzeniem. Wielokrotnie obiecywał sobie, że zamiast elektronicznych pigułek, wymyśli kiedyś cudowną, bezszmerową i niezawodną broń, która posłuży mu do ukarania wszystkich, którzy kiedykolwiek ośmielili się go tknąć. Niekiedy jednakże nie wytrzymywał napięcia i reagował irracjonalnie, bez samokontroli, szczególnie w przypadkach rażącego draństwa.

Poczuł, że chwyt napastnika osłabł jakby, napięty dotąd mięsień gniotący szyję nieco zmiękł.

Jeśli zdołam dobiec do Trzeciej Alei... — pomyślał. — Tam często stoi wóz policyjny.

Gwałtownym wyrzutem prawej ręki chwycił mały palec trzymającego go draba i szarpnął ku górze. Skutek był zdumiewający. Napastnik ryknął rozdzierająco, odskoczył do tyłu i potykając się usiadł na chodniku. Sneer odbiegł trzy kroki, obejrzał się i stanął jak wryty.

Na chodniku siedział zwalisty drab, trzymając lewą dłonią przegub prawej i wpatrujący się w jej rozczapierzone palce. Trwało to zaledwie kilka sekund. Mężczyzna na chodniku wznosił oczy ku niebu i padł na wznak, jakby stracił przytomność. Sneer zbliżył się ostrożnie. Prawa dłoń leżącego spoczywała na betonie chodnika, wokół niej tworzyła się w oczach ciemna plama krwi. Sneer pochylił się i dostrzegł, że w dłoni tej brakuje małego palca.

Teraz dopiero poczuł, że w zaciśniętej pięści trzyma coś miękkiego. Powoli rozwarł dłoń, a potem ze wstrętem odrzucił jej zawartość. Był to mały palec napastnika.

Nie rozumiejąc, co się stało, lecz pełen poczucia własnej siły, Sneer pobiegł w kierunku bramy, w której zniknął drugi napastnik. Zderzył się z nim w ciemnym przejściu. Widać, wywabiony krzykiem, porzucił ofiarę i biegł sprawdzić, co się stało. Sneer w ostatniej chwili uskoczył w bok, próbując wymierzyć na oślep cios w głowę biegnącego.

Czuł, że dłoń ledwo trąciła szczękę, lecz mimo to biegnący zachwiał się i uklęknął. Sneer ponowił cios. Usłyszał trzask jakby gruchotanych kości, przeciwnik runął na ziemię i legł bez ruchu.

Pobiegł w głąb bramy prowadzącej na małe podwórko między domami. Pod ścianą, zwinięty w kłębek, jęczał Pron. Musiał otrzymać cios w żołądek. Sneer pochylił się nad nim.

— Wstawaj, szybko! — powiedział, podnosząc go i tłukąc otwartą dłonią po policzkach.

Pron otworzył oczy, lecz dopiero po dłuższej chwili mógł stanąć na nogach.

Sneer przerzucił przez ramię jego rękę i powlókł go do bramy wychodzącej na drugą ulicę.

— Co... z nimi? — wyjęczał Pron, trzymając się wolną ręką za brzuch. — Ale mi przyłożył. Chyba złamał mi żebro.

— Dostał za swoje. Chyba rozwaliłem mu czerep.

— A ten drugi?

— Urwałem mu palec.

Pron spojrział na twarz Sneera. Jego oczy były jeszcze bardziej wylupiaście, niż zwykle.

— Żartujesz?

— Właśnie, że nie — powiedział Sneer w zamyśleniu. — Sam nie wiem, jak to zrobiłem. Szczegóły poda jutrzejsza prasa! — dodał i roześmiał się niespodziewanie dla samego siebie.

Nie mogło być żadnych wątpliwości. Prawa dłoń Sneera przejawiała niewiarygodne cechy. Łatwość, z jaką spłaszczył w dwóch palcach metalową rurkę przy swym tapczanie, upewniła go o tym. Później przeprowadził jeszcze kilka eksperymentów na drobnych przedmiotach, lecz nie chcąc dewastować wyposażenia kabiny, poprzestał na tym.

Siła jego dłoni wiązała się z bransoletą. Gdy przełożył ją na lewy przegub, jego lewa dłoń nabrała podobnych właściwości, a prawa utraciła je całkowicie.

Zauważył, że efekt nie ograniczał się do dłoni, lecz obejmował wszystkie mięśnie ramienia i przedramienia. Co więcej, nie ujawniało się to, gdy operował ręką normalnie, z umiarkowaną siłą, dopiero znaczne napięcie mięśni i zamiar dużego wysiłku wyzwalały niezwykłą siłę.

Czym więc była bransoletka? Na oko zwykły kawałek metalu. Sneer próbował wyobrazić sobie mechanizm jej działania, lecz nie potrafił, i to napełniało go dziwnym lękiem. Nigdy nie słyszał o czymś podobnym.

Kim więc była dziewczyna, która podarowała mu ten dziwny upominek? Dlaczego wyposażyła go w instrument, dający niewiarygodną siłę jego ręce? Czyżby chciała dać mu próbkę możliwości tych, w których imieniu działa? Bo to, że Alicja musi reprezentować jakąś ukrytą organizację czy grupę, nie ulegało wątpliwości. Ale skąd owa grupa mogłaby wziąć przedmiot, który nie jest znany ludzkiej technice?

To właśnie było przerażające. Sneer czuł się wciągnięty w tryby jakiejś maszyny, wzięty pomiędzy dwa potężne walce, które lada chwila mogłyby go zmiażdżyć.

Jak rozumieć to wszystko? To tak, jakby ktoś wręczył mu broń do ręki. Przeciw komu? Dlaczego — zamiast uzbrajać jego dłoń — nie wspomogli jego umysłu, by mógł zrozumieć, o co tu właściwie chodzi, kto i czego spodziewa się po nim?

Czyżby to miało znaczyć: „Czynimy silną twoją dłoń, a rozumu, który posiadasz, wystarczy ci, abyś zrobił z tego właściwy użytek”?

Czy może: „Będziesz musiał sam się bronić — więc uzupełniamy braki twoich fizycznych możliwości”.

Ostatnią myślą Sneera było fantastyczne przypuszczenie, że jasnowidząca Alicja spełniła jego ukryte głęboko marzenie o niezawodnej broni, umożliwiającej natychmiastowe karanie łobuzów, którzy wykorzystując swą przewagę fizyczną, znęcają się bezkarnie nad słabszymi od siebie.

Z tą myślą i z obrazem Alicji przed oczyma, zasnął w swej kabinie na siedemnastym piętrze hotelu „Kosmos”.

* * *

Notatka w porannej gazecie zupełnie uspokoiła Sneera: obaj nocni napastnicy byli notowani w policji. Wyjaśnienia złożone w szpitalu, gdzie umieścił ich nocny patrol, były mętne i sprzeczne, co kierowało śledztwo na zupełnie bezpieczne dla Sneera tory. Policja poczytywała zajście za wynik porachunków świata przestępczego, a jedynym nie dającym się wyjaśnić szczegółem był urwany palec jednego z poszkodowanych. Drugi napastnik, dostarczony do szpitala w stanie ciężkim, miał zmiażdżoną kość skroniową i pękniętą żuchwę. Ekspert policyjny orzekł, że ciosy zostały zadane pięścią, a ich skutki świadczą o niezwyklej sile. Winnego szukano więc wśród osiłków posługujących się karate i podobnymi technikami walki, co stawiało zarówno Sneera, jak Prona poza kręgiem podejrzeń.

Jeśli mieli jakieś pretensje do Prona lub ktoś ich na niego nasłał, to tym bardziej nie wspomną ani o niedoszłej ofierze, ani o zlecniodawcach — pomyślał Sneer, przeglądając gazetę przy porannej kawie w barze hotelu. Czytał tylko tytuły artykułów, które nie zapowiadały niczego rewelacyjnego. Były zwykłą, codzienną porcją informacyjnego kitu, mającą zaspokoić żądzę wiedzy przeciętnego argolandczyka i na cały dzień pozostawić go w przeświadczeniu, że został poinformowany absolutnie o wszystkich ważnych sprawach, jakie wydarzyły się w świecie i aglomeracji. Do tych niby-ważnych informacji dorzucano zwykle garść ciekawostek zupełnie drobnego kalibru, jakby dając tym do zrozumienia, że nic już więcej nie ma do zakomunikowania i trzeba czymś zapełnić pozostałe w numerze puste szpalty.

Przeciętny szóstak bez zastrzeżeń przyjmował do wiadomości obraz świata kreślony przez poranny dziennik „Zorza Argolandu”; piątek miewał niekiedy pewne wątpliwości co do tego, czy gazetowe wieści wyczerpują całokształt wydarzeń; natomiast czwartak czytał tylko tytuły, nie tracąc czasu na zagłębianie się

w treść notatek, by następnie skoncentrować się na dziale ogłoszeń, które niosły najwięcej informacji o tym, czym żyje aktualnie aglomeracja.

Jak przystało na tytułarnego czwartaka, Sneer także nie zaniedbywał lektury drobnych ogłoszeń. Można z nich było wydobyć wiele użytecznych i pouczających treści.

W rubryce „Kupno”, na przykład, pojawiły się ostatnio dziesiątki anonsów o identycznym brzmieniu: „Kanarki kupię”. Nie oznaczało to bynajmniej szczególnego zainteresowania hodowlą ptactwa śpiewającego. Każdy wiedział doskonale, że słowo „Kanarki” używane jest tutaj w znaczeniu powszechnie znanym jako żargonowe określenie żółtych punktów. Handel punktami nie był oficjalnie dozwolony, lecz wolno było regulować nimi prywatne zobowiązania czy wręcz dokonywać ich darowizny. Toteż przeprowadzenie transakcji było rzeczą zupełnie prostą, ale przy korzystaniu z łamów gazety należało posłużyć się kryptonimem, znanym zresztą także odpowiednim władzom.

Wszyscy oszukują wszystkich i wszyscy wiedzą, że są oszukiwani — pomyślał Sneer, lecz równocześnie stwierdził, że ta konkluzja budzi w nim coraz mniej zdziwienia. Teraz już zrozumiał, że ta cicha umowa społeczna stanowi jeden z filarów trwania systemu, w którym żyje.

Rubryka „Nauka” przynosiła oferty o następującej treści: „Aby lepszą klasę uzyskać, dzwoń. . .” lub: „Inteligencję podnoszę metodą — przyspieszoną — rutynowany specjalista, telefon. . .” Tak ogłaszali się średniej klasy lifterzy, nastawieni na tanią masówkę „pięć na cztery”.

W rubryce „Praca” przeważały ogłoszenia typu: „Dam zarobić szóstakowi, byli bokserzy mile widziani” albo coś w tym rodzaju. Chodziło oczywiście o doraźne skucie komuś mordy lub porachowanie kości. Nierzadko zleceniodawcą bywał szanowany i dobrze płaćący zerowiec.

Najwięcej niespodzianek niosła zwykle rubryka „Usługi różne”. Dziś także nie zawiodła ona oczekiwań Sneera, który, jak zawsze, zostawił ją sobie „na deser”. Oprócz typowych ogłoszeń w rodzaju: „Co trzeba, zrobię za punkty” i „Dłoń pomocną podam, niedrogo”, Sneer znalazł tu tajemniczą ofertę o treści: „Daltonista. Telefon. . . , wieczorem”.

Zastanawiał się właśnie, co może oznaczać ten anons, gdy do jego stolika zbliżył się Pron. Wyglądał kiepsko, ale robił dobrą minę. W ręce trzymał gazetę.

— Czytałeś? — spytał, sadowiąc się naprzeciw Sneera ze szklanką piwa.

— Uhm. Zdaje się, że poszli w maliny. Możemy spać spokojnie.

— Ty tak. Dla mnie dopiero się zaczęło.

— W co ty się wpakowałeś, Karl?

— Chcą mnie wykończyć. — Twarz Prona zdradzała wewnętrzne napięcie, jego oczy biegały niespokojnie po wnętrzu baru. — Myślałem, że grają ze mną uczciwie, robiłem, co kazali. A teraz, zamiast płacić, chcą pozbyć się świadka.

— Jakaś duża sprawa?

— Dla nich cholernie duża.

— Dla ciebie chyba też. Dziesięć tysięcy, to nie w kij dmuchał.

— A... ty skąd wiesz? — spłoszył się Pron.

— Punkty głupich nie lubią. Pamiętaj o tym i trzymaj Klucz przy tyłku, zamiast wywijać nim przed oczyma całego Argolandu.

Pron opuścił wzrok.

— Masz rację. W każdym razie dziękuję ci za pomoc. Nie miałem pojęcia, że masz taką ciężką łapę.

— Bo używam jej z umiarem, co i tobie radzę w odniesieniu do Klucza i punktów. Dwa razy już wdepnąłem niechcący w twoje zasrane sprawy i więcej nie mam zamiaru nadstawiać się za ciebie. Zresztą, będę teraz zajęty.

— Dostałeś robotę?

— W pełnym oficjalnym sensie tego słowa.

— Jak to? Ty?

— Wyobraź sobie! — Sneer bawił się zdumieniem Prona. — Płacą dobrze, czemu nie spróbować?

— Jako zerowiec?

— Nie. Jako czwartak.

— Nie rozumiem.

— Gdybyż tylko tego — mruknął Sneer.

— Więc wyjaśnij.

— Nie zwieramy sobie naszych sekretów — zauważył Sneer cierpko, a Pron poczerwieniał.

— No, rozumiesz. Nie mogę ci teraz niczego wyjaśnić — bąknął. — Sam widziałeś. Boję się.

— Mniejsza o to. A co do tej dziewczyny, to sprawa nadal aktualna. Za parę dni podam ci mój nowy numer telefonu. — Sneer spojrział na gazetę. — Aha... Nie wiesz, kto to jest „daltonista”?

— Taki facet, co nie rozróżnia kolorów.

— Tyle to i ja wiem. Ale tutaj, zobacz.

Pron przeczytał wskazany anons.

— Ach, to... — uśmiechnął się. — Nie słyszałeś? To zupełnie nowy wynalazek. Generator pola elektromagnetycznego, który, przystawiony do automatu rozliczeniowego albo kasowego, powoduje zakłócenie jego funkcjonowania. Właściciel takiego urządzenia za odpowiednią opłatą udaje się z klientem po zakupy. Podczas płacenia przystawia swój generator w odpowiednim miejscu do obudowy automatu kasowego, który głupieje na chwilę i staje się „daltonistą”: pobiera z Klucza czerwone punkty, chociaż należność opiewa na zielone. Rzecz jest nie do wykrycia, bo po wyłączeniu generatora automat wraca do normalnego stanu, a na konto klienta w Banku trafia informacja o obciążeniu rejestru czerwonych punktów.

— Dobrze! — powiedział Sneer z uznaniem.

— Dla mnie bez znaczenia. Nie używam czerwonych! — skrzywił się Pron.

— Boś głupi! — Sneer pokiwał głową z politowaniem. — Kiedy ta metoda rozpowszechni się, cena zielonych spadnie na łeb!

— Jak to?

— Pomyśl! Jeśli za czerwone można kupić to samo, co za zielone, to różnica wartości spadnie do wysokości prowizji, jaką pobiera właściciel daltonizatora. Na twoim miejscu, poleciałbym zaraz pod bank i sprzedał wszystkie zielone po cztery czerwone, o ile już nie spadły niżej.

— Wiesz — powiedział Pron z podziwem — ty masz zerowy łeb! Nie wpadłem na to!

— A z nas dwóch, to nie ja przecież jestem ekonomistą! — mruknął Sneer z przekąsem.

— Filip szuka cię od wczoraj. — Pron zrećcznie zmienił temat. — Jest ci jeszcze winien punkty. Przyjdzie tu koło jedenastej.

— Jakież tam parę kropek. Zapomniałem w tym zamieszaniu.

— Ładne mi parę kropek. Stówa żółtych — powiedział Pron melancholijnie.

— Ty, Karl, nigdy nie zrobisz wielkiego majątku! — Sneer pokręcił głową z politowaniem. — Jeśli chcesz mieć dużo punktów, musisz je lekceważyć. A ty szanujesz każdy punkt, choćbyś miał ich nie wiem ile.

— Więc, według ciebie, dziesięć tysięcy to jeszcze nie tak dużo?

— Miewałem więcej. Nim się obejrzyysz, będą warte połowę. Punkty trzeba wydawać!

— Fakt. Jeszcze dwa lata temu za żółte kupowało się tylko delikatesy i luksusowe towary, a dziś już na samych zielonych nie przeżyjesz.

— Nasza wina! Coraz więcej durniów z zawiżoną klasą, co udają, że pracują i biorą żółte. A od tej ich „pracy” nie przybywa towarów w sklepie.

Pron zmarszczył czoło i zamyślił się głęboko.

— Kiedy dojdziemy do celu — powiedział po chwili patrząc w okno — kiedy osiągniemy ten nasz ideał powszechnego szczęścia, wówczas wszyscy, niezależnie od klasy, dostawać będziemy tyle żółtych, ile teraz ma dobrze zarabiający zerowiec. Lecz wówczas wystarczy nam tego dokładnie na to, co dziś ma szóstak za swoje czerwone.

— Rzekłeś! — roześmiał się Sneer. — Coś jeszcze ci jednak zostało w głowie z tej ekonomii.

— To ja pieprzę takie szczęście — mruknął Pron.

O jedenastej Sneer spotkał się z Filipem. Chłopak był wyraźnie uszczęśliwiony, zachwycony swą drugą klasą i pełen nadziei na przyszłe sukcesy. Na razie korzystał jeszcze z urlopu, okraszonego miłą perspektywą zaskoczenia przełożonego w pracy, który także był dwojakiem.

Niewiele ci to pomoże — myślał Sneer, inkasując resztę należności z Klucza Filipa. — Mimo wszystko, trapią cię wyrzuty sumienia z powodu tego liftu. Jesteś zbyt uczciwy, by coś osiągnąć w naszym świecie.

Około południa wybrał się do przychodni lekarskiej. O tej porze lekarze przyjmowali głównie niepracujących, więc duża liczba oczekujących pacjentów nie przeraziła Sneera. Stał cierpliwie w kolejce do gabinetu znajomego lekarza. Po kilkunastu minutach był już przy drzwiach, a za nim zebrało się kilka następnych osób.

Poprzedni pacjent wyszedł, Sneer wkroczył do gabinetu. Nim zdążył zamknąć za sobą drzwi, usłyszał:

— Która klasa? Co dolega?

— Czwarta, jak zwykle — powiedział Sneer wesoło. — Jak się masz, Dan!

— Ach, to ty! — lekarz podniósł głowę znad biurka. — Jak się masz, stary oszuście!

— Nieźle, wydrwipunkcie. Mam sprawę za parę złotych.

— O co chodzi? — lekarz sięgnął po bloczek. — Zaświadczenie? Świadcetwo zgonu? Bo chyba nie chodzi o zwolnienie z pracy?

— Nic z tych rzeczy. Chciałbym, żebyś zajął się moją matką. Ma poważne kłopoty z żołądkiem.

— Kto dziś nie ma kłopotów z przewodem pokarmowym! — westchnął lekarz. — Wszystko przez te stupidatory.

— Przez co?

— To świństwo, które dodają do żarcia i piwa, sprzedawanych za czerwone. Daje niespodziewane efekty uboczne.

— Co to za domieszki? Nie słyszałem.

— Ogłupiacze. Nie mówi się o tym, ale to już przestało być tajemnicą. Będą musieli popracować nad czymś nowym. Szóstacy zaczynają protestować. Więc chodzi o twoją matkę?

— Tak. Mieszka w północnej dzielnicy, ale pokryję wszystkie twoje koszty, gdybyś zechciał zaopiekować się nią.

— Dobrze. Porozmawiamy za chwilę, tylko skończę z tym motłochem. To długo nie potrwa. Usiądź sobie tam, za parawanem, i zaczekaj.

Sneer wszedł za parawan, a lekarz zawołał następnego pacjenta. Spieszył się, by nie dać długo czekać koledze, a wyglądało to mniej więcej tak:

— Która klasa? Co dolega?

— Szósta. Mam ostre bóle głowy i...

— Pije pan?

— Nie.

— Pali.

— Tak.

— Dużo?

— Dwadzieścia dziennie.

— Za dużo. Jak pan przestanie palić, proszę się zgłosić. Pięć punktów. Następny.

— Klasa? Co dolega?

— Piąta. Bolą mnie stawy skokowe.

— Pije pan?

— Tak.

— Pali?

— Trochę.

— Musi pan przestać pić i palić. Pięć punktów. Następny.

— Klasa? Co dolega?

— Szósta. Boli mnie żołądek.

— Pije pan?

— Niewiele.

— Pali?

— Trochę.

— Bierze pan proszki nasenne?

— Czasami.

— Nie pić, nie palić, nie brać proszków, pięć punktów, następny. W ciągu kilku minut za drzwiami nie było już nikogo.

— To był wariant superekspresowy — usprawiedliwił się lekarz. — Zwykle rozmawiam z nimi trochę dłużej.

— Nie badasz ich? — zdziwił się Sneer. — Widzę tu pełny komplet najlepszej aparatury diagnostycznej!

— Szkoda czasu. Jak słyszałeś, każdy z nich pije albo pali. Czy sądzisz, że łatwo przestać pić i palić? Muszą wierzyć, że sami są winni swoim dolegliwościom. Nie mam czasu zajmować się zbyt długo pacjentem, płacącym według oficjalnego cennika pięć czerwonych za poradę. Moje uposażenie nie zależy od tego, ilu ich przyjmę. Klasy pracujące poczuwają się do dodatkowych honorariów w złotych, a ci, tutaj, choćby chcieli, nie mają z czego.

— Ciekaw jestem, co byś zrobił, gdyby się okazało, że któryś z nich nie pali ani nie pije? — zaśmiał się Sneer.

— O, to drobnostka. Kazałbym mu wyleczyć albo wyrwać kilka zębów. To najprostszy sposób na pozbycie się pacjenta na dłużej. Oni boją się dentysty jak ognia. Zresztą słusznie. Pewnie nie korzystałeś z pomocy stomatologicznej za czerwone punkty? Oni tam dopiero mają metody pozbywania się pacjenta! Więc, kiedy wysyłam kogoś do dentysty, to wiem, że nie wróci do mnie, dopóki mu zęby same nie wypadną ze starości.

— A co wtedy?

— Mówię mu, że nie ma rady na jego dolegliwości. Starość, rzecz normalna, wszystko w człowieku się kończy.

Lekarz był wyraźnie ożywiony i w dobrym nastroju, który stał się jeszcze lepszy z chwilą, gdy Sneer wymienił kwotę zaliczki na poczet jego usług.

— Powiedz mi, Dan — spytał Sneer, nim pożegnał lekarza — czy możliwe jest takie działanie na ludzkie mięśnie, by zwielokrotniły swą siłę?

— Myślisz o treningu czy o środkach farmakologicznych?

— Nie. Chodzi mi o bodźce fizyczne, stymulację bioelektryczną czy coś w tym rodzaju.

— Wiem, że na przykład w hipnozie człowiek może przejawiać pewne cechy fizyczne, nie ujawniające się w normalnym stanie organizmu. Stymulacja. Bo ja wiem? Może, w pewnym stopniu. Wymagałoby to chyba dość skomplikowanej aparatury, włączonej w system nerwowy. Wiesz, organizm ludzki kryje w sobie tyle nieznanych możliwości. Kiedyś zajmowano się takimi badaniami, ale ostatnio jakoś nie słyszy się o nowych osiągnięciach w tej dziedzinie.

Po wyjściu od lekarza Sneer udał się na Dwunastą Przecznicę, gdzie miał swój antykwariat digger Benny. W sklepiku było kilka osób. Benny wyglądał na zdenerwowanego i Sneerowi wydało się, że daje dyskretne znaki. Zaczął więc przeglądać półki z drobiazgami, spod oka obserwując pozostałych klientów. Dwoje z nich — starsza kobieta i siwy mężczyzna, wyglądający co najmniej na dwojaków — interesowało się grafiką, rozwieszoną na jednej ze ścian. Trzeci, młody człowiek o tępowym wyrazie twarzy, skrupulatnie przeglądał stare książki stojące na regale w głębi sklepu. Ze sposobu, w jaki jego ciężkie dłonie trzymały i otwierały tom po tomie, można było wnioskować, że nieczęsto miewał w rękę tak niezwykle przedmiot jak książka.

To w jego właśnie stronę biegly niespokojne spojrzenia właściciela antykwariatu, szczupłego, ruchliwego staruszka o bladoniebieskich, świdrujących oczach, kręcącego się niespokojnie wokół stołu pełnego starych czasopism, ceramiki, antycznych zegarków i mnóstwa innych staroci.

Sneer powoli zbliżył się do stołu, Benny rzucił mu krótkie, wymowne spojrzenie, a potem, obserwując wciąż mężczyznę przy regale, odchylił nieco ku górze plik starych tygodników, ukazując ukryte tam papiery. Sneer zbliżył się powoli, a Benny podszedł do półek z książkami, zapewne dla odwrócenia uwagi stojącego przy nich klienta.

Wertując tygodniki, Sneer wygarnął spod nich kilka cienkich broszurek, powolnym ruchem wsunął je za bluzę i leniwie skierował się ku wyjściu. Manipulacje te nie uszły widocznie uwagi faceta szperającego w książkach.

— Panie! — usłyszał Sneer za sobą, gdy kładł dłoń na gałce drzwi. — Chwilczkę!

Zatrzymał się i odwrócił twarzą do tamtego, stojącego teraz na środku sklepu. Benny, tuż za jego ramieniem, miał dość przerażoną minę i bezradnie opuszczone ręce. Pozostali klienci, rzuciwszy bystre spojrzenia za siebie, powrócili do oglądania obrazków na ścianie udając, że niczego nie zauważają.

— Proszę mi to pokazać! — zażądał młody człowiek, robiąc dwa kroki w stronę Sneera.

— Co?

— Papiery, które pan schował.

Wyciągnięta ręka ledwo zdążyła chwycić klapę bluzy Sneera, który objął ją dłonią w nadgarstku i ścisnął. Nie puszczał, dopóki nie usłyszał chrzęstu pękającej kości promieniowej. Zobaczył przed sobą twarz wykrzywioną bólem. Rozwarł dłoń, ręka przeciwnika opadła bezwładnie, a Sneer odwrócił się ku drzwiom i niezbyt szybko oddalił się w stronę zejścia do kolei podziemnej. Po chwili dogonił go skrzekliwy głos Benny'ego, wykrzykujący coś na temat łobuzów atakujących spokojnych klientów. Sneer uśmiechnął się do siebie, przyspieszył kroku i zniknął w podziemnym przejściu.

W hotelu obejrzał broszury. Było to kilka egzemplarzy tego samego tekstu, zatytułowanego „Brakujący rozdział”, odbitego prymitywną metodą na trwałym papierze. Jedną schował do kieszeni, a pozostałe ukrył w tapczanie. Wiedział, że trzeba odłożyć na później kolejną wizytę u Benny'ego. Złamanie ręki funkcjonariuszowi administracji, którym niewątpliwie był młody „bibliofil”, musiało pociągnąć za sobą śledztwo i inwigilację właściciela antykwariatu, i tak już podejrzanego o przechowywanie nielegalnych druków.

Wyjrzał przez okno. Było wczesne popołudnie. Argoland zaczynał wylegać na ulice, tłumy kolorowych mrówek dreptały po chodnikach, zapełniały się sklepy i lokale rozrywkowe.

Z wysokości siedemnastego piętra patrzył na ten beztroski i szczęśliwy świat popołudniowo-wieczornego miasta, przypominający jakiś festyn czy lunapark, gdzie wszyscy, pod koniec każdego dnia, zapominają o codziennych kłopotach i bawią się jak dzieci.

Czuł się właśnie jak dziecko, które ktoś wywleka za rękę ze świata barwnych karuzeli, wspaniałych zabaw, niezwykłych atrakcji. Miał wrażenie, że wkrótce opuści ten świat na zawsze, bo jeśli nawet wróci tu kiedykolwiek, nie będzie już w stanie całkowicie poddać się jego umowności.

A jednak — myślał, wpatrzony w gęstniejące potoki przechodniów — mimo całej umowności, ten właśnie świat jest najprawdziwszy, realny; w nim przecież żyją miliony składające się na ludzkość. Jeśli nawet istnieją inne miejsca, ekskluzywne enklawy rozumu, to czymże są wobec tych tłocznych lunaparków, gdzie toczy się prawdziwe życie całej prawie ludzkości?

Człowiek dorosły, wracający do krainy dzieciństwa, nie potrafi już bawić się beztrosko zabawkami, które niegdyś były tak wspaniałe. Nie umie już nie dostrzegać, że piękne ongiś pałace zbudowane są z kiepsko pomalowanej dykty, a ze starej lalki sypią się trociny.

Sneer zdawał sobie z tego sprawę i było mu smutno, gdy sięgał do kieszeni po wizytówkę i kładł palce na klawiaturze telefonu.

Dlaczego się zgadzam? Co mnie do tego zmusza? — zastanawiał się, i w tej samej chwili wzrok jego padł na miedzianą bransoletę.

W jego podświadomości błysnęła na ułamek sekundy nieuchwytna sekwencja skojarzeń, której nie umiałby świadomie, krok po kroku odtworzyć, lecz po chwili znał już odpowiedź:

Ona tego chciała. Spodziewa się tego po mnie. Tego, i czegoś jeszcze, niewiadomego, czego dowiem się we właściwym czasie.

Szybkimi ruchami palców wybrał numer wydrukowany na wizytówce.

* * *

Dyżur, rozpoczynający się o trzeciej po południu, był stosunkowo najmniej nieprzyjemny. Oczywiście, rola portiera w Instytucie Kluczowym nie była niczym zabawnym. Sneer odczuwał to coraz dotkliwiej. Teraz, po kilku tygodniach pracy, zaczynało go to nużyć.

Na popołudniowej zmianie można było wytrzymać. Dumni z siebie naukowcy, patrzący z lekceważeniem i źle ukrywaną pogardą na przygłupiego w ich mniemaniu czwartaka, opuszczali gmach o trzeciej. Można było spokojnie zabrać się do wypełniania zwykłych obowiązków.

Sneer wiedział z praktyki, że nie wolno dopuszczać do powstawania zaległości, bo później trzeba by mozolnie przekopywać złoża nagromadzonych bzdur, produkowanych nieustannie przez tych nadętych, pewnych siebie półgłówków.

Instrukcje, jakie otrzymał przed objęciem stanowiska, zdumiały Sneera niezmiernie. Oswojony już z myślą o fikcyjności działań większości pracujących w Argolandzie, wciąż jeszcze tkwił w przekonaniu o autentycznie doniosłej roli uczonych, zwłaszcza zerowej klasy, na których — jak mniemał — opiera się cała cywilizacja współczesnego świata.

Ze swego lifterskiego doświadczenia wiedział, że wielu z nich nie dorasta intelektualnie do posiadanej klasy, lecz sądził, iż przynajmniej ci najwyżej postawieni w naukowej hierarchii — to ludzie autentycznie mądrzy i pożyteczni.

Wystarczyło kilka tygodni obserwacji, prowadzonej jak gdyby z ukrycia — bo z pozycji czwartaka, na którego nie zwracano uwagi — by przekonanie to ustąpiło miejsca pewności czegoś wręcz przeciwnego: zdolności, wiedza i wyniki pracy zdawały się być w odwrotnej proporcji do wysokości piastowanych funkcji. Tak więc, cały bez wyjątków Argoland, od góry do dołu, wyglądał na jakąś purnonsensową komedię, opartą na dziwnych regułach umowności: wszyscy udają wiarę w doniosłość własnej roli społecznej, skrzętnie przy tym ukrywając przed otoczeniem fakt niedorastania do tej roli. Równocześnie zaś wszyscy zdają sobie sprawę

z udawania innych.

Przed kim więc, u licha, grana jest ta komedia? — dumał Sneer, tkwiąc godzinami za swym stolikiem portiera podczas nudnych dziennych dyżurów. — Przecież ci „prawdziwi” zerowcy, którzy mnie tu posadzili, najlepiej orientują się w ogólnej sytuacji. Nie oni więc są widzami tego przedstawienia.

Na polecenie swych mocodawców, podczas popołudniowych dyżurów Sneer krążył po pustym gmachu, zaopatrzony w uniwersalny Klucz, otwierający wszystkie drzwi i przeglądał materiały stanowiące wyniki prac naukowych Instytutu. Bez większego trudu mógł zauważyć ich żalosną nieporadność, wtórność, fikcyjność nawet. „Naukowe” opracowania były rozdęte wodnistym wielosłowiem, pseudonaukowym bełkotem, fabrykowanym jakby w nadziei, że nikt kompetentny nie zajrzy nigdy do opastych tomów dokumentacji, zalegających regały. Podobnie było z pracami eksperymentalnymi. Fałszowanie i naciąganie wyników stało się normalną praktyką, a wszystko razem było na ogół pozbawione wartości naukowej i poznawczego znaczenia.

Węzłowym problemem, wokół którego obracały się wszystkie prace badawcze, było zagadnienie Klucza — tego precyzyjnego urządzenia, które miał każdy obywatel Argolandu i innych aglomeracji na całym świecie. Klucz jest przyrządem niezmiernie skomplikowanym. W gruncie rzeczy jest to miniaturowy komputer, współpracujący z wszelkiego typu automatami, mającymi zastosowanie we wszystkich dziedzinach życia współczesnego człowieka. Jest jego portfelem, paszportem i certyfikatem osobistym, zastępuje wszystkie dawne zaświadczenia, dokumenty, czek i inne papierki. Jest pośrednim elementem, włączającym każdego człowieka w Centralny System Komputerowy, regulujący życie społeczne. Współpraca tych tak odmiennych w swej naturze układów wymaga pewnej standaryzacji jednego z nich. Klucz jest jak gdyby „transformatorem”, dopasowującym naturalny — a więc niedoskonały i zindywidualizowany — wytwór ewolucji biologicznej, jakim jest ludzka istota, do precyzyjnego tworu cybernetyki.

Ta doniosła rola Klucza w życiu nowoczesnego społeczeństwa wymaga — tak wydawało się dotąd Sneerowi — nieustannego doskonalenia tego urządzenia, w celu rozszerzenia jego możliwości, zapobiegania nadużyciom, wzbogacania jego funkcji. Rozpoczynając pracę w Instytucie Kluczowym, Sneer był przekonany, że tymi właśnie zagadnieniami zajmują się uczeni pracownicy tej placówki. Sądził, że udoskonalają oni mikroukłady, konstruują wymyślne czujniki i blokady, wymyślają nowe zastosowania dla Klucza.

Ku swemu zdumieniu, bardzo prędko przekonał się, że nawet najwyżej postawieni w instytutowej hierarchii zerowcy, firmujący swymi nazwiskami większość naukowych prac Instytutu, mają zaledwie znikome pojęcie o całości zagadnienia. Sprawiali wrażenie, że nie znają nawet ideowego schematu połączeń poszczególnych elementów Klucza!

Praca uczonych polegała właśnie na rozszyfrowywaniu poszczególnych ele-

mentów składających się na Klucz, na badaniu i wykrywaniu zasad jego działania, na wynajdywaniu tkwiących w nim, a nie wykorzystanych jeszcze możliwości!

To było zdumiewające. Klucz był obiektem badań, tak jak ongiś była nim dla biologów struktura komórki, a potem cząsteczki białka; jak dla neurologów — budowa i działanie ludzkiego mózgu. Klucz był — jak gdyby — tworem danym obiektywnie, skonstruowanym przez kogoś innego, bliżej nie określonego, kto w dodatku zapomniał dostarczyć odpowiedniej kompletnej dokumentacji swego wyrobu.

Badania prowadzone w Instytucie przypominały przy tym badawczą działalność dziecka, które przy użyciu młotka i obcęgow zgłębia tajniki zegara kwarcowego. Wyniki tych badań były adekwatne do metod i możliwości badaczy.

Gdy po paru dniach pracy Sneer podzielił się swymi spostrzeżeniami z Barnem, funkcjonariuszem Rady Nadzorczej, który zwerbował go do tej roboty, ów uśmiechnął się z zadowoleniem i powiedział:

— Trafieś w sedno sprawy, Sneer. Oni powinni badać Klucz z całym przekonaniem, że to, co robią, jest niezmiernie ważne i doniosłe. Przekonanie takie winni podzielać również inni uczeni, zatrudnieni w innych dziedzinach i zajmujący się innymi, lecz równie pozornymi problemami. Ogół zaś powinien świącie wierzyć, że od wyników prac uczonych zależy cała gospodarka aglomeracji i osobisty dobrobyt każdego obywatela. Twoja rola polega na tym, by, po pierwsze, nasi uczeni ani na chwilę nie zwątpili we własną genialność oraz w sens i doniosłość tego, co robią; po drugie, by przypadkiem nie udało im się zbadać wszystkiego do końca, bo wówczas mogliby sprawiać nam kłopoty i zmusiliby nas do wymyślania im nowych zabaw.

Osobiście wątpię, by udało im się choćby we fragmentach rozpracować Klucz, jeśli nie będziesz im zbyt wydatnie pomagał. W razie czego, musisz im także trochę przeszkadzać, mylić tropy, kierować na fałszywe tory. Słowem, będziesz w naszym imieniu nieoficjalnie sterował ich działalnością. Dobieraliśmy ich starannie. Nie powinno być wśród nich rzeczywistych zerowców, więc chyba nie sprawią ci kłopotów. Ale musisz na nich wciąż uważać!

— Jaki to ma sens? — dopytywał się wówczas Sneer, nie pojmując celu takich mistyfikacji. — Czyżby chodziło o stworzenie pozorów, w które wierzą sami uczestnicy pozoracji? Czy może o to, by zajęci nonsensowną, niepotrzebną nikomu działalnością, nie mieli czasu na zajmowanie się prawdziwymi, rzeczywistymi problemami?

— Po cóż mam ci wyjaśniać nasze motywy, skoro sam je stopniowo odkryjesz swoją zerową mózgownicą! — roześmiał się Barn.

Tak więc, Sneer trzymać musiał się instrukcji: w dzień udawał niezbyt rozgarniętego czwartaka, podsłuchując rozmowy, których — teoretycznie — nie powinien rozumieć. Gdy natomiast miał popołudniowy lub nocny dyżur i pozostawał sam w gmachu, obchodził laboratoria i pracownie uczonych i kontrolował wy-

niki ich pracy. Na szczęście, nie miał z tym zbyt wiele roboty, bo w szufladach większości biurek znajdował tylko arkusze papieru pobazgrane bezsensownymi zawijasami — owoc całodniowej symulowanej działalności naukowej.

Jeśli tak wygląda działalność uczonych, to można sobie wyobrazić, jak wygląda praca na niższych szczeblach, gdzie przeważają dwojacy i trojacy — konkludował ze zgrozą, lecz natychmiast nasuwały się pocieszające wnioski. — Ale jeśli jest to zjawiskiem powszechnym, i mimo wszystko cały mechanizm społeczno-gospodarczy jakoś działa, należy sądzić, iż praca wszystkich zatrudnionych obywateli Argolandu jest psu na budę potrzebna, stanowiąc tylko kamuflaż. Ale... dla kogo? Czemu ma służyć ta komedia? Przed kim jest odgrywana? Czy wszyscy udają przed wszystkimi, że wszystko tu dzieje się na serio, że jest niezbędne i konieczne? Dla kogo ci prawdziwi zerowcy, ta bliżej nie określona grupa, zwana Radą Nadzorczą, utrzymuje w ruchu tę fikcję, to społeczne „perpetuum mobile” absurdu?

Sneer przypomniał sobie reklamowy pokaz sprawności sexomatów. Tak, już wtedy nasunęło mu się podejrzenie, że automatyzacja wszystkich dziedzin życia czyni zbędną obecność człowieka na tym globie. Czyżby chodziło o to, by za wszelką cenę utrzymać w społeczeństwie przekonanie, że tak nie jest? Przecież, jeśli się dobrze zastanowić, to — biorąc pod uwagę tę pozorność i umowność czynności osób „pracujących” — można by wyeliminować potrzebę pracy dalszych kilkunastu procent ludności, pozostawiając na stanowiskach tylko tych, którzy są niezbędni do nadzorowania automatów! W gruncie rzeczy stanowiłoby to osiągnięcie celu, jakim jest społeczeństwo dobrobytu, zajęte tylko konsumowaniem dóbr, już nawet bez konieczności stwarzania pozorów jakiegokolwiek produktywności.

A jednak Rada Nadzorcza — z jakichś jej tylko znanych powodów — odwleka ten moment. Wygląda na to, że nawet usiłuje utrzymać istniejący stan rzeczy! Toleruje dobrze znane i łatwe do zlikwidowania, ujemne zjawiska społeczne, przestępczość nawet, by nie trzeba było ograniczać liczebności aparatu administracyjno-porządkowego! Utrzymuje instytuty, które niczego nie odkrywają, urzędy, które niczemu nie służą.

Zakładając, że w Radzie zasiadają ludzie rzeczywiście mądrzy, którzy wiedzą, co robią, należy wyciągnąć stąd wniosek, iż taki stan jest z jakichś względów optymalny. Ta cała społeczna fikcja musi czemuś służyć, jeśli popierają ją Rady wszystkich aglomeracji. Niemożliwe, by tym światem kierowali sami obłąkańcy! — rozumował Sneer, krążąc po pustych korytarzach instytutu. — A ci, którzy chcą ogółowi uświadomić umowność i sztuczność obecnej sytuacji, działają przeciw zamiarom Rady, przeciw temu optymalnemu stanowi rzeczy i dlatego nie są tolerowani. Widocznie odkłamanie sytuacji, jakiego domagają się w swych proklamacjach, spowodowałoby jakieś poważne kłopoty.

Sneer przypomniał sobie o nagraniu, o które prosił Benny’ego parę tygodni

temu. Zajęty nowymi obowiązkami, nie zgłosił się dotychczas do sklepika diggera. Poszukiwania Alicji też — jak dotąd — pozostały bez rezultatu. Mając dość żółtych — bo jego mocodawcy rzetelnie wywiązywali się z finansowych obietnic — Sneer zawiesił działalność w swym zawodzie, rzadziej teraz obracał się wśród kolegów po fachu. Kilka godzin dziennej pracy w instytucie — mimo iż nie była ona zbyt wyczerpująca — rozbijały mu kompletnie dzień, zmuszając do modyfikacji trybu życia i obyczajów.

Dzisiejszy dzień pracy — rozpoczęty o trzeciej po południu, gdy pracownicy opuszczali właśnie instytut — Sneer zaczął od normalnej kontroli stanu prac poszczególnych zespołów. Jego podopieczni nie wysilali się specjalnie. Środek lata nie nastrojał ich widocznie do wytężonej, twórczej pracy. Myśleli raczej o urlopach, o wypoczynku nad jeziorem niż o zgłębianiu tajników mikroobwodów Klucza. Nie było więc nawet niczego, co mógłby skorygować ani też zamącić.

Kończąc obchód pracowni i gabinetów, zajrzał, jak zwykle, do sekretariatu dyrektora. Od dawna już zamierzał dobrać się do kasy pancерnej stojącej w dyrektorskim gabinecie, gdzie — wedle informacji szefa personalnego, który wprowadzał Sneera w jego obowiązki — znajdować się miały najdonioślejsze, tajne dokumenty i opracowania naukowe. Sejf powierzono szczególnej uwadze portiera. Był on zabezpieczony dodatkowymi, specjalnymi czujnikami alarmowymi, połączonymi z instalacją blokującą wejścia z gmachu, na wypadek włamania.

Cóż takiego mogą trzymać w tym sejfie? — zastanawiał się Sneer. — Sądząc po treści prac, które tu powstają, nie byłoby dziury w niebie, gdyby ktoś nagle opróżnił to pudło.

Z racji swej roli „tajnego zerowca”, wprowadzonego tutaj przez Radę Nadzorczą, Sneer czuł się upoważniony także do przetrząśnięcia sejfu. Specjalny Klucz, dostarczony przez Barna, umożliwiał otwarcie każdego zamka w gmachu instytutu.

Jednak dobranie się do sejfu wymagało wyłączenia sygnalizacji alarmowej, której centrala znajdowała się na parterze gmachu. Ilekroć Sneer znalazł się w sekretariacie na drugim piętrze, odkładał przejrzenie zawartości sejfu na później, bo nie chciało mu się schodzić na dół w celu wyłączenia alarmu.

Dziś jednakże postanowił przejrzeć wreszcie ten sejf, traktując to jako zwykłą formalność. Zadał sobie trud zejścia na parter, a potem otworzył stalowe drzwi kasy i wydobył na biurko grubą czerwoną teczkę z odręcznymi notatkami.

Papiery były na tyle interesujące, że Sneer poświęcił dwie godziny na ich przeglądanie.

— A to dranie! — powiedział do siebie na głos, doszedłszy do ostatniego arkusza. — Tego bym się po nich nie spodziewał!

Z papierów wynikało, że naukowcy, produkujący na co dzień sterty bezużytecznej bzdury, potrafią poza tym wymyślać zupełnie niegłupie rzeczy. Wprawdzie trudno byłoby nazwać to osiągnięciami naukowymi, lecz z praktycznego

punktu widzenia to, co zrobili, dawało im niebagatelne prywatne korzyści!

— A spryciarze! — mrucał Sneer z pewną dozą podziwu, przeglądając raz jeszcze rękopis i zawarte w nim schematy.

Jego lifterska dusza nie mogła nie oddać sprawiedliwości kolegom oszustom. Jako fachowiec zarówno w elektronice, jak w oszukaństwie, potrafił sprawiedliwie ocenić finezyjny kant, artystycznie przeprowadzone oszustwo.

Bardzo ładna robota! — zachwycał się z coraz większym podziwem, w miarę zgłębiania tajemnicy znalezionej w sejfie. — Więc jednak paru spośród nich to prawdziwi zerowcy! Może nie genialni, ale z głową na karku. Nie znając schematu Klucza, rozgryźli niełatwy problem! A do tego jeszcze przez cały czas udając głębszych niż są naprawdę! Uspili czujność Rady, bo gdyby знаła ich prawdziwe możliwości, nie pozwoliłaby im działać w tej dziedzinie!

Sneer zajrzał raz jeszcze do wnętrza sejfu i wy dobył z niego Klucz. Obejrzał go i zanotował numer ewidencyjny. Potem sięgnął do telefonu i wywołał Biuro Ewidencji. Podał numer i czekał ze słuchawką przy uchu.

— Kto? — wykrzyknął nagle i podskoczył na krześle. — Proszę powtórzyć?

Odłożył słuchawkę i stał przez chwilę bez ruchu, krztusząc się wewnętrznym śmiechem. Raz jeszcze podniósł słuchawkę, wybrał numer centrali hotelu „Kosmos” i numer pokoju.

— Hej, ty, stary oszuście! — powiedział ze śmiechem. — Jak to „kto mówi”? Sneer. Posłuchaj, to bardzo ważne, dla ciebie przede wszystkim: Czekaj na mnie w hotelu. Ani kroku z kabiny, rozumiesz?

Rozłączył się, odczekał kilka minut i zadzwonił do Barna z Rady.

— Mam coś ciekawego. Ci chłopcy, tutaj, zrobili piękną rzecz: uniwersalny wytrych do krainy szczęścia. Ale widocznie, żeby osiągnąć szczęście, trzeba mieć trochę szczęścia. Oni, niestety, mieli pecha. Przyślesz kogoś, czy mam streścić sprawę przez telefon? Tak, tak... Lepiej, jeśli ktoś przyjedzie. Sprawa nie może czekać do jutra, trzeba ich od razu wszystkich... Tak, mam tu wykaz numerów Kluczy całej szajki. Przygotowali jeden próbny egzemplarz. Mieli go wypróbować, ale tu nie ma informacji, komu go przekazali. Dobrze. Czekam.

Sneer rozejrzał się po pokoju, sięgnął po popielniczkę, a potem wydarł ostatnią kartę z teczki i spalił. Przez chwilę obracał w dłoni Klucz Prona, wreszcie schował go do kieszeni i powoli zszedł po schodach na dół.

— No, popatrz tylko! — Młodszy z przybyłych zerowców przerzucił arkusze z czerwonej teczki. — Zawsze mówiłem, że ktoś to kiedyś wykombinuje!

— To bardzo cenna zdobycz, kolego! — Starszy uśmiechnął się do Sneera. — Nasi uczeni okazali się mądrzejsi, niż myśleliśmy. Zrobili Wieczny Klucz. Proszę o niczym nie mówić zmiennikowi. Na pańskim dyżurze nic się nie wydarzyło. Drzwi sejfu zostawiamy przymknięte; niech myślą, że któryś zapomniał je zatrzasnąć.

— Nie każecie ich aresztować? — zdumiał się Sneer.

— Aresztować? My nie możemy nikogo aresztować, kolego. Musiałaby to zrobić policja. A przecież wśród tej grupy jest paru zerowców! Policjanci zaś to przeważnie trojacy.

— To przecież przestępcy! Udawali liftowanych zerowców, by nikt nie podejrzewał ich o zdolności, które posiadali.

— Ale to zerowcy, de nomine i de facto! — powiedział młodszy z naciskiem. — Nie możemy publicznie podważać autorytetu zerowców, a do tego jeszcze uczonych z poważnego instytutu. Jak by to wyglądało w oczach obywateli innych klas? Oni muszą wierzyć nie tylko w intelekt, lecz także w nieskazitelną uczciwość zerowców. To podstawowy warunek zaufania do nas, wiary w nasze predyspozycje do kierowania aglomeracją.

— Więc ujdzie im to bezkarnie? Pozostaną tutaj?

— Na razie tak. — Starszy zerowiec skinął głową, chowając papiery do teczki. — Pozostaną tu, i to będzie dla nich karą.

Widząc zdumioną minę nic nie rozumiejącego Sneera, obaj zerowcy wymienili porozumiewawcze spojżenia, a starszy wyjaśnił:

— Jest pan nowym pracownikiem. Później zrozumie pan dokładniej, o co tutaj chodzi. Na razie możemy powiedzieć tylko tyle, że cała grupa pozostanie na swoich stanowiskach, natomiast pana stąd wycofamy. Kiedy odkryją brak dokumentów, poczują się zagrożeni i zdemaskowani, ale nie będą wiedzieli, kto aktualnie posiada ich tajemnicę. Będą najpierw podejrzewali, że zdrajca jest wśród nich. Będą nieufni względem siebie. Będą czekali, dręczyli się oczekiwaniem na skutki utraty tych papierów. Będą ostrożni, lojalni wobec władz, palcem nie kiwną przeciwko nam, będą do przesady skrupulatnie respektowali nasze zalecenia. Słowem, będziemy mieli ich całkowicie w rękach. Rozumie pan teraz?

— A... jeśli pomyślą, że ten, kto ukradł dokumenty, nie poznał się na ich znaczeniu?

— Posiejemy w ich umysłach niepewność, wydamy policji dyspozycje w sprawie zatrzymania tych najmniej znaczących płotek, których nazwiska znamy. Każemy zacząć aresztowania po kolei, od d o ł u, od ostatnich pośredników i agentów, działających na zlecenie głównych szefów szajki. Będą drzeć z niepewności nie wiedząc, jak wysoko sięgnie policja.

— Ale zerowców nie każecie aresztować?

— Już wyjaśniałem, że mogłoby to zaszkodzić reputacji naszej klasy.

— Więc główni aferzyści zostaną na swoich stanowiskach?

— Nie na długo. Dyrektora pošlemy wkrótce na emeryturę. On zresztą zawinił tylko tym, że przymknął oko na aferę w zamian za obietnicę otrzymania Wiecznego Klucza. Pozostałych stopniowo przeniesiemy na inne, wyższe stanowiska.

— Wyższe?

— Tak. Po to, by mieć ich na oku i lepiej wykorzystać ich rzeczywiste możliwości. Na pewnych stanowiskach trzeba pracować, nie ma czasu na zajmowanie

się kombinowaniem. Nie muszę chyba tego wyjaśniać, był pan przecież lifterem. U nas, w obszarze continuum, jest podobnie.

— Przepraszam. . . — wtrącił Sneer. — Co to jest „obszar continuum”?

— Za długo musiałbym wyjaśniać. — Starszy zerowiec wziął teczkę pod pachę i ruszył ku wyjściu. — Proszę zgłosić się normalnie do pracy, pojutrze, o dziewiątej rano. Przyślemy łącznika Rady. Reszty dowie się pan po tamtej stronie.

— Po tamtej stronie czego?

— Po tamtej stronie zera — uśmiechnął się uprzejmie zerowiec, skinął na towarzysza i obaj ruszyli ku wyjściu. Sneer poszedł za nimi, by ich wypuścić z gmachu. W głowie miał lekki zamęt. Czuł, że znów wyjęto mu kilka cegiełek z mozolnie budowanego modelu tej skomplikowanej rzeczywistości, w którą był uwikłany wraz z całym otaczającym go światem.

O dziewiątej Sneer mógł opuścić instytut, pozostawiając na służbie nocnego zmiennika. Wziął z postoju samochód i w ciągu kilku minut był już w „Kosmosie”. Pron czekał w swoim pokoju. Widać było, że trzęsie się ze strachu.

— Dawaj ten Klucz! — powiedział Sneer bez wstępów, wyciągając rękę w jego kierunku.

Pron cofnął się o krok, patrząc na niego wybałuszonymi oczyma z takim zaskoczeniem, że Sneer roześmiał się głośno.

— Daj! — powtórzył. — Znam sprawę. Jeśli mi go oddasz, masz szansę uratować skórę i te dziesięć tysięcy.

Pron podał mu Wieczny Klucz, a Sneer wydobył z kieszeni jego oryginalny.

— Masz, cwaniaku! — powiedział sarkastycznie. — Nic mi się za to nie należy, chociaż wydobyłem cię z ciężkich tarapatów. Masz swoje punkty i martw się dalej sam. Musisz zniknąć na pewien czas. A najlepiej zrobisz, jeśli zatelefonujesz jutro do faceta, od którego dostałeś to cudo, i powiesz mu, że to policja oddała ci twój własny Klucz, zabierając tamten. Nie ręczę, czy to wystarczy, by się od ciebie odczepili. Będą chcieli odzyskać swoje punkty. Ale, być może, wkrótce ich zamkną. Przynajmniej tych, z którymi miałeś bezpośrednio do czynienia.

— A ja? Co zrobią ze mną?

— Pojęcia nie mam. Wydaje mi się, że mogliby dotrzeć do ciebie tylko na podstawie zeznań członków tamtej szajki. Ale jedynym dowodem mógłby być przelew, który ci dali.

— To były punkty z Klucza jakiejś dziwki — mruknął Pron. Może. . . lepiej będzie znaleźć ją i oddać. . . Albo. . . pół na pół. . .

— To już twoja sprawa. Być może jej nie zidentyfikują. Na liście uczestników afery nie było ani ciebie, ani tej kobiety.

— Skąd ty wiesz o tym wszystkim?

— Nieważne. Na przyszłość uważaj.

— Niech mnie szlag trafi, jeśli dam się jeszcze w coś uwikłać! — zaklął się Pron. — Niech diabli wezmą te tysiące! Czort mnie podkusił wlaźć w nie swoje

branże. Od jutra zajmuję się tylko uczciwym liftingiem!

— Masz rację. Tym bardziej że ja znikam stąd na dobre i nikt cię już nie będzie wyciągał z bagna.

— A... ta dziewczyna? Gdyby się pokazała?

— Powiedz jej ode mnie, że wróżby się spełniły. I jeszcze, że dziękuję za praktyczny upominek.

— Nic więcej?

— Spytaj, czy chciałaby coś dla mnie przekazać. Jeśli to będzie możliwe, spróbuję skontaktować się z tobą za jakiś czas. Na razie i tak musisz się dobrze schować. — Sneer wstał z krzesła.

Pron uścisnął jego wyciągniętą rękę.

— Dziękuję ci jeszcze raz! — powiedział wylewnie.

Sneer uśmiechnął się w milczeniu. W gruncie rzeczy, ten łysawy, wyłupiasty czwartak — czy może nawet trojak — był sympatyczniejszy niż się na początku wydawało. Poczuł, że tam, „po drugiej stronie zera” — cokolwiek miałyby to oznaczać — będzie mu brakowało pechowca Karla Prona, tak jak całego tego świata, z którego przeciwnościami borykał się mały lifciarz.

* * *

Telefon u Benny'ego nie odpowiadał. Sneer wybrał jeszcze raz numer antywariatu, odczekał minutę i odłożył słuchawkę. Przez chwilę zastanawiał się, zwiżając w dłoniach plik broszur.

Trzeba tam zajrzeć — zdecydował, wsuwając papiery do kieszeni.

Zbiegł po schodach i rozejrzał się za wolnym samochodem. Postój był pusty, więc ruszył w kierunku najbliższej stacji kolei podziemnej.

Od czasu, gdy zaczął pracować, zamieszkał w jednym ze starych budynków w zeszlowiecznej części śródmieścia. — Nie było to wygodne, ale jako uczciwy czwartak musiał zachowywać pozory. Tego wymagali pracodawcy, obiecując zresztą, że to długo nie potrwa. Sneer bez żalu opuszczał teraz ciasną kabinę w przeludnionym domu. Ostatnią noc postanowił spędzić, jak dawniej, w hotelu „Kosmos”. Nie próbował ustalać, czy ciągnie go tam bardziej przyzwyczajenie do wygód, czy też nadzieja spotkania Alicji. Prawdopodobnie oba motywy odgrywały tu rolę, bo standard mieszkaniowy czwartaka dał mu się już dobrze we znaki, a wspomnienie Alicji nie osłabło, mimo iż od jedyne go z nią spotkania upływał szósty tydzień.

Przy stacji metra dostrzegł na postoju wolny samochód, więc przyspieszył kroku i dopadł go przed mężczyzną, nadchodzącym z drugiej strony ulicy. Za-

trzasnął drzwiczki, wsunął Klucz do stacyjki i chuchnął w probierz trzeźwości. Silnik zaszumił cicho, Sneer ruszył ostro i pomknął pustą uliczką, śmignąwszy przed nosem niedoszłego pasażera.

Sklepik Benny'ego był zamknięty. Tabliczka wywieszona w oknie informowała, że właściciel korzysta z urlopu, lecz brakowało informacji o terminie otwarcia.

Sneer domyślał się, co to może oznaczać. Na wszelki wypadek nie próbował nawet zaglądać do mieszkania diggera.

Spojrzał na Klucz. Dochodziła druga po południu.

Do licha! — pomyślał. — Mam wciąż uczucie, jakbym żegnał się z tym miastem.

Od rana było mu dziwnie smutno. Miał dziś wolny dzień po wczorajszej popołudniowej służbie, uwieńczony odkryciem w instytutowym sejfie. Jutro rano powinien zjawić się w pracy, lecz zgodnie z zapowiedzią zerowców z Rady, miał to być ostatni dzień jego „kariery” na etacie portiera Instytutu Kluczowego.

Bezwiednie skręcił na podjazd przed hotelem „Kosmos”. Wysiadł i zatrzasnął drzwiczki samochodu, który potoczył się powoli w stronę postoju.

W hotelowej knajpie siedział w najlepsze Pron w towarzystwie dwóch dziewczyn. Sneer podszedł do stolika.

— Jeszcze tu jesteś! — powiedział z dezaprobatą.

Pron wstał chwiejnie i biorąc Sneera pod ramię odprowadził go o kilka kroków od stolika.

— Przyszedł mi do głowy lepszy pomysł! — powiedział szeptem. — Widzisz tych dwóch chłopców koło automatu z piwem?

Sneer obejrzał się dyskretnie. Obaj „chłopcy” mieli po dwa metry wzrostu i twarze skrajnych szóstaków.

— To lepsze, niż ukrywanie się — wyjaśnił Pron. — Gdzież zresztą mógłbym się schować? Teraz, kiedy mam normalny Klucz, mogę płacić im złotymi.

— Ile cię to kosztuje?

— Po złotym dziennie plus żarcie.

— Drogo — zauważył Sneer, obrzucając krytycznym spojrzeniem obu goryli.

— Mam nadzieję, że niedługo będę mógł ich zwolnić.

— Zawołaj tu któregoś z twoich obrońców. — Sneer uśmiechnął się chytrze.

Pron zrobił gest w stronę osiłków. Podeszli obaj.

— Spróbujemy, czy jesteście warci trzydziestu punktów na miesiąc! — Sneer oparł łokieć o blat pobliskiego stolika.

Położył ich obu „na rękę”. Wszyscy trzej włącznie z Pronem mieli zupełnie baranie miny.

— Musicie jeszcze poćwiczyć, chłopcy! — rzucił Sneer lekceważąco.

— Jak ty to robisz, Sneer? — Pron nie mógł wyjść z podziwu, a goryle, zawstydzeni porażką, usunęli się w kąć sali.

Sneer pozostawił to pytanie bez odpowiedzi. Spytał o Alicję, ale Pron nie widział jej ani razu w ciągu ostatnich tygodni. Za to w automacie recepcyjnym dowiedział się, że w skrytce czeka na niego jakiś list. Wsunął Klucz do szczeliny kontrolnej, i po chwili trzymał w dłoniach kopertę. Nie było na niej nazwiska nadawcy.

Na małym kawałku trwałego papieru znalazł kilka skreślonych pospiesznie słów.

To co zabrałeś, dobrze schowaj. Oddasz mi później. Na odwrocie jest to, o co proszę.

B.

Na drugiej stronie kartki widniał napisany na maszynie tekst piosenki. Sneer schował papier do koperty i wsunął do kieszeni, bo od strony restauracji zbliżał się Pron.

— Mam prośbę — powiedział Sneer, wydobywając plik broszur. — Schowaj to do swojej skrytki. Zgłoszę się po to kiedyś.

— Trefne?

— Raczej tak.

— W porządku! — Pron wsunął broszury za pazuchę. — Na jak długo znikasz tym razem?

— Pojęcia nie mam. Ale będę tu jeszcze do jutra. A gdyby ta dziewczyna...

— Pamiętam, co mam powtórzyć — uśmiechnął się Pron. — Powodzenia, stary!

* * *

Sneer szedł brzegiem plaży, rozglądając się po jeziorze. Wiało mocno, żagle jachtów śmigały po zatoce, jakaś damska załoga z piskiem taplała się tuż przy brzegu, usiłując postawić przewróconą łódź.

Przed chwilą, idąc tutaj, Sneer dostrzegł w ulicznym tłumie dziewczynę, która z daleka wydała mu się Alicją. Pogonił za nią, klucząc wśród przechodniów, by po chwili przekonać się, że to pomyłka.

Teraz nie mógł pozbyć się myśli o niej. Czuł, że zostaje za nim to miasto i ta dziewczyna. Miał wrażenie, że zamyka się pewien rozdział w jego życiu, że coś zmienia się radykalnie, odcinając mu możliwość powrotu do leniwej, beztroskiej egzystencji człowieka wykorzystującego nieznaczną jedynie część swych

możliwości. Przeczynał, że teraz zacznie się jakieś „życie naprawdę” — w odróżnieniu od tego umownego przedstawienia, w którym dotąd uczestniczył jako jeden ze statystów. Czuł to, lecz wiedział również, że nie może się już cofnąć.

Podniecająca tajemnica, której rąbka ledwie uchylił, kusiła go samym swym istnieniem, pociągała go tak samo, jak owa nie poznana do końca niebieskooka dziewczyna, co przemknęła przez jego życie w jedną z krótkich letnich nocy.

— Proszę pana! — usłyszał nagle za plecami nieśmiały głos.

Odwrócił się. Jasnowłosy chłopak zatrzymał się w odległości dwóch kroków. Sneer poznał Filipa.

— Jak się masz! — wyciągnął dłoń w jego stronę.

— Pron powiedział, że tutaj najprędzej pana znajde. Chciałbym zapytać... — jąkał się Filip.

— Usiądźmy! — Sneer zbliżył się do betonowej balustrady oddzielającej plażę od nabrzeża basenu jachtowego. — Jak ci się powodzi z dwójką?

— Otóż właśnie! — Filip zrobił żalostną minę. — Chciałbym spytać, ile kosztuje zrobienie pierwszej klasy?

— Ho, ho! — zaśmiał się Sneer. — Już? Co się stało?

— Bo... widzi pan... Kiedy przyszedłem do pracy z moją dwójką, to wprawdzie dali mi piętnaście złotych podwyżki, ale... mój szef, który też miał dwójkę, w ciągu tygodnia podliftował się na jedynekę... Więc właściwie... wszystko zostało po staremu. Te piętnaście punktów więcej to też nie tak dużo. Ostatnio ceny poszły w górę, za wszystko trzeba płacić złotymi, a zielone spadły katastrofalnie.

— No, ale za to pewnie dziewczyny bardziej cię lubią? — uśmiechnął się Sneer. — Dwojak, to już jest ktoś!

— Ee, tam! — Filip zaczerwienił się po końce uszu. — Jak ktoś nie umie gadać z dziewczynami, to nawet zero nie wystarczy. Pan, to potrafi! Karl mi opowiadał.

— Nie wierz mu. To porządny chłop, ale straszny łgarz! Więc chcesz kupić sobie jedynekę. Myślisz, że ci to pomoże, że będziesz zadowolony?

— Nie wiem. Trzeba chyba próbować?

— To kosztuje pięćset złotych.

— Dużo. Ale może uda mi się zaoszczędzić. Za półtora roku, za dwa lata.

— Pron znajdzie ci dobrego liftera.

— A pan?

— Ja nie działam już w tej branży. Przynajmniej w najbliższym czasie. Ale jest paru innych. Życzę powodzenia.

Patrzył za odchodzącym Filipem. Korciło go, by zawołać za nim:

„Daj temu spokój, to bzdura, oszustwo, farsa! To nic nie warte, szkoda punktów! Nie wspinaj się, nie rozbudź w sobie pragnień i ambicji, których nigdy nie zaspokoisz. Żyj, po prostu żyj, bo nie obejrzyś się nawet, a skończy się życie, i nie zdążyś go posmakować!”

Milczał jednak, bo wiedział, że nic by to nie pomogło. On sam też przecież pchał się gdzieś tam, w górę, na tonący w chmurach szczyt piramidy, w nieznaną dziedzinę tajemnych sił, które dla niewiadomych celów pociągały za niewidzialne sznurki, animujące te bezwolne rzesze ludzkich marionetek, takich jak Filip właśnie i jemu podobni, podejmujących bezsensowną grę, której celu sami nie pojmują, znając tylko reguły kolejnych posunięć.

Tragifarsa — podsumował, rozglądając się za wolną łodzią. — W dodatku grana w teatrze marionetek!

Wsunął Klucz w automat cumowniczy i zeskoczył do małej motorówki. Na brzeżem zbliżały się jakieś dwie długonogie amatorki bezpłatnej przejażdżki, jedna pomachała nawet dłonią w kierunku Sneera.

Nie daj Boże, znajome — pomyślał i pełnym gazem ruszył wzdłuż falochronu w kierunku otwartej tafli jeziora. Dopiero gdy Argoland przeistoczył się w wąską, szarą smugę na horyzoncie, wyłączył silnik i sięgnął po kopertę. Raz i drugi odczytał cztery zwrotki tekstu piosenki.

*Kiedy dokoła gęsty mrok,
gdy gnębi cię koszmarny sen,
ponad wodami Tibigan
na gwiazdne niebo podnieś wzrok.*

*Z otchłani setek świetlnych lat
Tysiące gwiazd na niebie lśni,
Co mówią, że już bliskie dni,
gdy zbudzi się ten senny świat!*

*Nieświadom, co mu niesie czas,
w kosmicznych pętach drzemie lud,
lecz jak niewola przyszła wprzód,
tak i nadzieja zstąpi z gwiazd.*

*Więc nie trać wiary w gwiazdny cud,
w dalekich gwiazd pomocną dłoń,
póki jeziora czysta toń,
odbija wszechświat w lustrze wód.*

Wzruszył ramionami i schował kartkę do kieszeni.

— Alegorie, przerośnię — mruknął do siebie.

Zamiast spodziewanych wyjaśnień czy wskazówek znajdował jakieś mgliste, mistyczne brednie. O cóż mogło chodzić Alicji, która tak usilnie kierowała jego uwagę na tę piosenkę? Czyżby nie tekst, lecz melodia zawierać miała jakieś szczególne znaczenia? To jeszcze mniej prawdopodobne.

Sięgnął do drugiej kieszeni i opróżnił ją dokładnie. Był tam Wieczny Klucz, który zabrał Pronowi, paczka papierosów, zapalniczka i jeden egzemplarz broszury od Benny'ego. Sneer przeczytał kilka początkowych zdań i doszedł do wniosku, że musi to być opowiadanie fantastyczno — naukowe.

Dlaczego jednak wydane było w formie powielanej broszury? Stary digger uznał je widocznie za niebezpieczny materiał, skoro najwyraźniej chciał ukryć je przed wścibskim okiem władzy.

Sneer zapalił papierosa, obejrzał Wieczny Klucz i wyrzucił go za burtę. Potem ułożył się wygodnie na dnie łodzi i sięgnął po broszurę.

Brakujący rozdział — przeczytał tytuł, a potem, wsparty na łokciu, czytał dalej:

„Redaktor porannego wydania „Washington Post” skrzywił się na widok fotografii, które fotoreporter rozłożył na jego biurku.

— W ostatnim tygodniu mieliśmy chyba ze cztery zdjęcia UFO — powiedział, patrząc z niechęcią na reportera. — Czy nie mógłbyś skierować wreszcie swojego obiektywu nieco niżej? Na Ziemi też dzieją się ostatnio różne interesujące rzeczy!

— Zgoda, szefie! — bronił się fotograf. — To prawda, że dużo się o tym pisze ostatnio, ale tym razem, proszę popatrzeć! Przecież to jest wspaniałe zdjęcie! Latający spodek nad Białym Domem!

— Uhm... Dwa dni temu było zdjęcie UFO nad Pentagonem, a we czwartek nad Kapitołem — zauważył redaktor sceptycznie. — Przyznaj się, Bili, jak ty to robisz?

— To są najuczciwsze zdjęcia, bez żadnych tricków! — obruszył się reporter. — Jeśli pan nie chce, sprzedam gdzie indziej. Redaktor z wyobraźnią zrobiłby z tego świetny materiał! Mam nawet tytuł: „UFO — czy komunistyczna penetracja?”

— Nie jesteś w kursie, Bili. Mówiłem już, że powinieneś zmienić kierunek patrzenia. Od paru dni zarysowuje się wyraźny postęp w rokowaniach w sprawie militarne go odprężenia. No, dobrze... Dam to zdjęcie z Białym Domem na drugiej stronie.

Na biurku zadzwonił telefon. Redaktor podniósł słuchawkę i przez chwilę słuchał, a twarz jego zmieniała się z każdą sekundą.

— Znakomite! Dawać mi to zaraz! — wykrzyknął z entuzjazmem i odłożył słuchawkę. — Masz pecha, Bili. Twoje zdjęcie nie pójdzie w porannym wydaniu. Mamy kupę sensacji na pierwsze dwie strony. Możesz się pocieszyć, że oprócz ciebie muszę wyrzucić z numeru co najmniej jednego senatora i trzech kongresmanów.

— Co się stało?

— Wszystko naraz! Sensacyjne oświadczenie Departamentu Stanu! Poważne decyzje rozbrojeniowe, parafowanie paktu o nieagresji między najważniejszymi ugrupowaniami wojskowymi, realna perspektywa integracji światowej gospodarki! Niebywała sprawa! Po tytuł bezowocnych na pozór, wlokących się w nieskończoność konferencjach! Podobno prezydent rozmawiał osobiście z Moskwą, Pekinem, Paryżem i zanosi się na jakieś przełomowe, wspólne oświadczenie mocarstw nuklearnych. A do tego jeszcze Reuter podał sensacyjne doniesienie o odkryciu metody uzyskiwania energii praktycznie z każdego dostępnego surowca! Przepraszam cię, Bili! Będę strasznie zajęty, muszę przemakietować cały numer!

Fotoreporter zgarnął swoje zdjęcia i wyszedł trzaskając drzwiami.

— Nie ma mowy! — Redaktor odpowiedzialny stanowczo pokręcił głową. — Zabieraj to, Kola! Nigdy nie dawaliśmy żadnych tego rodzaju sensacji, władze krzywią się na podobne bzdury. Latające spodki nad Kremllem! To by dopiero były telefony! Z Komitetu, z Ministerstwa.

— Można by to opatrzyć stosownym komentarzem, na przykład: „Czyżby nowa próba imperialistycznej akcji szpiegowskiej?”

— Oj, Kola, Kola! Na szkolenia nie chodzisz?! Nie wiesz, że ostatnio ograniczamy tego rodzaju epitety? Toczą się ważne rozmowy na najwyższym szczeblu, nie można zakłócać atmosfery.

— To może... zatytułować inaczej? „Goście z kosmosu czy dowcip fotoreportera?”, na przykład.

— Nie zawracaj głowy. I tak nie mam miejsca w numerze. Przecież nie wyrzucę tej notatki o sukcesach sowchozu „Nowe Życie”. Ani doniesienia o zamieszkach na tle rasowym w...

Do gabinetu redaktora wpadła sekretarka, powiewając taśmą papieru z dalekopisu.

— Towarzyszu redaktorze! TASS podał to przed chwilą!

Redaktor przebiegł wzrokiem po tekście depeš.

— Zmiataj, Kola, ze swoim UFO! Tu, na Ziemi, dzieją się takie rzeczy, że nie tylko dla ciebie, ale nawet dla towarzyszy z Politbiu-

ra i akademika Kołoczkińca miejsca nie będzie w jutrzejszym numerze! — powiedział z entuzjazmem w głosie, niedwuznacznym gestem wskazując drzwi fotoreporterowi.

Tego dnia gazety całego świata doniosły na pierwszych stronach o podpisaniu porozumień międzynarodowych, dających podstawy do wielu dalszych posunięć integracyjnych i niezwykle szybkich przemian w polityce i gospodarce światowej. Opinia publiczna, zaskoczona tak nagłym i pomyślnym zwrotem w stosunkach międzynarodowych, zwróciła oczy na te doniosłe sprawy, żywo interesujące każdego człowieka na Ziemi.

W ogólnej euforii i w gęstym potoku informacji zabrakło miejsca na doniesienia o zaobserwowanych licznie nad stolicami wielu krajów nie zidentyfikowanych obiektach latających. Zresztą, w owym czasie sensacje tego rodzaju przejadły się już czytelnikom gazet i widzom telewizji”.

Sneera obudziły ostre promienie słońca, świecącego prosto w twarz. Przesłonił oczy i podniósł się z dna łodzi. Wiało silnie od północy, motorówka dryfowała po sporej fali. Na wodzie biała kilka arkuszy namokłego papieru.

Chyba usnąłem czytając — pomyślał. — Nie była to widać specjalnie frapująca lektura.

Popatrzył na pływające kartki. Broszura była źle zszyta i wiatr rozniósł ją po wodzie. Usiadł za sterem i uruchomiwszy silnik, skierował łódź w stronę brzegu.

* * *

Dzień w instytucie przebiegł normalnie. Gdyby Sneer nie wiedział, co się stało, to nawet nieco zaaferowane miny kilku spośród ważniejszych person, przemyskających korytarzami gmachu, uszłyby jego uwagi.

Nikt nie pytał go o przebieg ostatniego dyżuru, nie było żadnych odwiedzin policji. Najwyraźniej ci, którzy orientowali się w powadze swej sytuacji, starali się za wszelką cenę zachować spokój i pozory, że nic się nie stało.

Kilka minut przed trzecią do stolika portiera podszedł młody człowiek i powiedział, że czeka na Sneera w samochodzie na parkingu za gmachem instytutu. Sneer bez trudu zauważył długi, smukły wóz połyskujący czerwienią wypolerowanego lakieru. Takie pojazdy widywało się rzadko, przemyskające estakadą po-

nad ulicami śródmieścia, zamkniętą dla publicznego ruchu i zarezerwowaną w zasadzie dla automatycznych wozów ciężarowych zaopatrujących aglomerację.

Mówiło się, że tymi ogromnymi samochodami jeżdżą tylko bardzo ważni zerowcy z najwyższego szczebla władz, ale tak naprawdę, to nikt dobrze nie wiedział, komu służą. W każdym razie, samochód był wyraźnie większy i okazałszy od małych, miejskich pojazdów, którymi jeździło się za zielone punkty po obszarze dzielnic centralnych, a za żółte można było wyjechać nawet poza rejon zwartej zabudowy, do suburbiów, zabudowanych indywidualnymi willami i domkami, gdzie zamieszkiwali obywatele zamożniejszych klas pracujących, z reguły jedynacy i zerowcy. Dla szóstaka czy piątego wycieczka w tamte rejony byłaby zbędną stratą cennych żółtych punktów, które z większym pożytkiem można było wydać wewnątrz miasta. O zamieszkaniu w tych drogich dzielnicach żaden z nich nie mógł marzyć. Nawet, gdy się ma dostatecznie dużo żółtych, uzyskanych w wyniku różnych nielegalnych operacji, nie wolno wychylać się ponad standard swej klasy, by nie zwrócić na siebie zbyt bacznej uwagi inspektorów policji i kontroli dochodów.

W ten sposób brak żółtych oraz pewne względy bezpieczeństwa osobistego stanowiły skuteczną zaporę przeciwko napływowi niepracujących klas na tereny podmiejskie.

Sneer bywał czasem w tych rejonach, kiedyś nawet zastanawiał się nad wynajęciem lub kupnem własnego domu w jednym z tych przestronnych, zielonych osiedli. Jednakże charakter pracy i konieczność działania w różnych obszarach centrum miasta zmuszały go do częstej zmiany miejsca pobytu.

Gdybym odnalazł Alicję — przemknęło mu przez myśl, gdy przypomniał sobie o swym dawnym pomysle kupienia domku.

Wspomnienie dziewczyny, wywołane myślą o własnym domu, przekonało go, że nie powinien pozwolić sobie na kontynuowanie podobnych myśli, by nie popaść w melancholię nie spełnionych marzeń.

— Proszę — powiedział mężczyzna, który po niego przyjechał, otwierając drzwiczki wozu. — Musimy się spieszyć.

— Dokąd pojedziemy? — Sneer ociągał się z wsiadaniem.

— Za miasto, na południe. Zresztą, zobaczysz sam — uśmiechnął się tamten, obchodząc samochód i sadowiac się na miejscu kierowcy. — Będzie to raczej przyjemna niespodzianka.

Sneer zajął miejsce obok niego, wóz wymanewrował z parkingu na ulicę, potem wślizgnął się stromym podjazdem na estakadę. Bariera, zagradzająca przejazd zwykłym, miejskim samochodom, uniosła się samoczynnie i po chwili czerwona limuzyna sunęła lewą stroną, wyprzedzając wlokące się ciężarówki, automatycznie prowadzone przez prawy pas autostrady.

Sneer nigdy jeszcze nie jechał z taką prędkością. Wynajmowane samochody poruszały się znacznie wolniej. Widział je teraz z wyżyn estakady — małe, nie-

poradne żuczki, gramolące się ulicami o dawno nie naprawianej nawierzchni.

Czerwona limuzyna w ciągu dziesięciu minut wyniosła ich poza zwartą zabudowę centralnych dzielnic Argolandu. Przez następne kilkanaście minut mknęli autostradą, obwiedzioną z obu stron wysokimi siatkowymi ogrodzeniami. Obok autostrady biegły drogi dojazdowe, od czasu do czasu krzyżowały się z nią poprzeczne wiadukty. Cały teren pokryty był luźną zabudową, szeregi domów różnej wielkości, otoczonych zielenią krzewów i trawników. Przed wieloma domami stały mniejsze lub większe, kolorowe samochody. Sneer znał te obszary z poprzednich wycieczek, lecz dojeżdżał tu zawsze ogólnie dostępnymi drogami lokalnymi lub płatną szosą szybkiego ruchu.

— Tutaj nic prawie nie zmieniło się od stu lat — odezwał się kierowca. — Takie same domy, ogródki... Tylko samochody są teraz napędzane silnikami innego typu i nie ma problemów z paliwem.

Autostrada wybiegła poza obszar niskiej zabudowy, zniknęły siatki po jej obu stronach. W tej okolicy Sneer nie był nigdy. Samochody miejskie mogły dojeżdżać tylko do pewnej granicy, gdzie kończyły się dzielnice podmiejskie. Dalej przestawały po prostu działać silniki. Sneer przypomniał sobie, jak pewnego razu zapędził się zbyt daleko wylotową drogą i musiał pchać samochód z powrotem, kilkadziesiąt metrów, aż do strefy działania silników.

Przez następny kwadrans jechali wśród zielonych pól, po których kursowały wielkie automatyczne maszyny do zbioru warzyw. Sneer zdziwił się, że samochód wyjeżdża poza obszar aglomeracji. Wiedział, że do innych miast podróżuje się wyłącznie drogą powietrzną, co zresztą słono kosztuje. Dokąd zatem wiózł go ten małomówny młody człowiek, który przedstawił się jako łącznik Rady Nadzorczej i doręczył mu wezwanie do szefa wydziału „S”?

Samochód zwolnił i zjechał na prawą stronę autostrady, a potem skręcił w boczną drogę, wiodącą w kierunku grupy białych budynków, wyrastających wśród pola kukurydzy i otoczonych gęstym żywopłotem. Droga prowadziła do bramy wjazdowej, którą kierowca otworzył swoim Kluczem.

Zatrzymali się przed jednym z niskich budynków w głębi ogrodzonego terenu. Tuż za nim rozpościerała się sporych rozmiarów betonowa płyta lądowiska śmigłowców. Kilka maszyn różnej wielkości stało przed dużym blaszanym hangarem, wokół nich krzątało się parę osób w lotniczych kombinezonach.

— To tutaj — kierowca wskazał Sneerowi wejście do budynku. — Jeśli masz przy sobie coś oprócz Klucza, musisz to złożyć w skrytce, zanim przejdiesz bramkę kontrolną. Nie masz chyba żadnych sztucznych organów?

— Tylko dwa plastikowe zęby w górnej szczęce. Czy mam je wykręcić? — Sneer uśmiechnął się kpiąco. — Bomb ostatnio nie połykałem.

— Tu nie ma żartów, Sneer! — łącznik pogroził palcem, ale też się uśmiechnął. — Tu urzęduje mózg Argolandu!

— Dlaczego aż tak daleko?

— Bo tu powietrze zdrowsze — mruknął łącznik, znacząco mrużąc oczy i sprawdził godzinę na Kluczu. — Idź już, żeby szef nie czekał. Pokój numer sześć.

W gabinecie panował przyjemny chłód. Pomiędzy drewnianymi żeberkami okiennych żaluzji wpadały do wnętrza smugi słonecznego światła, rysując jasne kreski na grubym dywanie zaścielającym środek pomieszczenia. Reszta pokoju tonęła w półmroku i dopiero po chwili, gdy oczy przywykły do skąpego oświetlenia, Sneer mógł dostrzec ciężkie, drewniane biurko w głębi i siwą głowę siedzącego za nim człowieka.

— Dzień dobry — powiedział w stronę siedzącego. — Zostałem tutaj wezwany.

— Witaj w continuum, Sneer! — głos zza biurka był łagodny i przyjazny. — Pozwolisz, że będę cię nazywał tym imieniem?

— Wszyscy mnie tak nazywają.

— W porządku. Nazywam się Vito Rascalli. Kieruję tu Wydziałem Specjalnym.

Wyszedł zza biurka i zbliżył się z wyciągniętą dłonią do Sneera, stojącego wciąż na środku dywanu.

— Zawsze cieszę się bardzo, gdy mogę powitać kogoś po t e j stronie — powiedział, wskazując Sneerowi fotel w kącie obok biurka i siadając naprzeciwko na drugim.

Sneer nie rozumiał prawie niczego z jego słów, lecz wyczekiwał w nadziei, że wreszcie coś się wyjaśni. Rozglądał się przy tym ukradkiem po pokoju.

Ściany były obstawione regałami pełnymi starych ksiąg. Na biurku stały dwa staroświeckie aparaty telefoniczne i zupełnie nie pasujący do tego wnętrza komputerowy display z zielonkawo świecącym ekranem. Sneer rozpoznał na tym ekranie obrysowany grubą linią kontur Argolandu.

— Jak ci się podobała ta fictive science? — zagadnął Rascalli po dłuższej chwili milczenia, jakby odczekawszy, by Sneer skończył lustrację pomieszczenia. Sneer nie zrozumiał pytania.

— Ma pan na myśli science fiction? — spytał niepewnie. Czyżby chodziło mu... o tę broszurę? — pomyślał ze zdumieniem. — Skąd wie?

— Nie! — roześmiał się Rascalli. — Chodzi mi o instytut i uprawiane tam nauki fikcyjne.

— Byłem zaskoczony. Niektórych spraw do tej pory nie umiem sobie wyjaśnić.

— Postaram się, abyś wiedział wszystko, co trzeba. Sprawdziliśmy cię. Ta praca, oprócz innych celów, była pewnego rodzaju próbą, testem. Wiemy teraz, że jesteś zerowcem o wysokim wskaźniku zerowości.

— Nie rozumiem? — bąknął Sneer, patrząc na rozmówcę, który uśmiechał się spod gęstych, siwych brwi. — Zerowiec, to chyba po prostu zerowiec. O jakim

wskaźniku pan mówi?

— Słusznie. Masz prawo nie rozumieć. Nawet dla najinteligentniejszego zerowca wszystko to jest cholernie skomplikowane. Ogarnąć to i zrozumieć do końca jest trudno nawet starym wyjadaczom po tej stronie, a co dopiero siedzącym tam. Zacznę chyba od pewnych... subtelnosci nomenklatury. Widzisz, z zerowością jest trochę tak, jak z gęstym lasem: kiedy patrzysz z dużej odległości, nie rozróżniasz poszczególnych drzew, widząc tylko ciemną ścianę, jakąś jednolitą masę. Im jesteś bliżej, tym wyraźniej rozpada się ona na pojedyncze drzewa. A dopiero z bardzo małej odległości dostrzegasz, że jedne z nich są bliżej, inne dalej, że jedne są większe, inne mniejsze. Tak też jest z zerowcami. Dla szóstaka są jednolitą masą, gdzieś tam, na dalekim horyzoncie. Im bliżej zaś człowiek jest klasy zerowej, tym dokładniej zdaje sobie sprawę, że zerowiec, zerowcowi nierówny. A kiedy już znajdziesz się wśród zerowców, poznasz, jak bardzo różnią się między sobą.

Tylko naiwny trzeciak czy dwojak wzdychać może z zazdrością: „ach, gdyby tak być zerowcem!” myśląc, że przynależność do tej klasy rozwiązałaby wszystkie problemy i zapewniłaby mu łatwe życie bez zmartwień. A w rzeczywistości dopiero tu, po tej stronie zera, zaczynają się prawdziwe, istotne różnice. Aby je jednakże dostrzec, trzeba znaleźć się pośród prawdziwych zerowców. Jesteś właśnie wśród nich, ale nie ciesz się przedwcześnie. To naprawdę bardzo trudna i odpowiedzialna rola. Na razie spełniłeś nasze wymagania. Ostatnio bardzo trudno o prawdziwego, nie podliftowanego zerowca! System oświatowy nie sprzyja rozwijaniu inteligencji u młodzieży, a system ekonomiczny nie dostarcza odpowiednich motywacji. Słowem, prawdziwego zerowca, cóż za paradoks, znamienny jednak dla naszych czasów, najłatwiej znaleźć wśród lifterów, a nie na stanowiskach wymagających klasy zerowej, bo tam plasują się różni karierowicze, kombinatory i pseudonaukowcy. Wiesz już trochę na temat naszej polityki społecznej, orientujesz się zatem, jakie są nasze cele. Chodzi głównie o utrzymanie równowagi w społeczeństwie Argolandu. W innych aglomeracjach, oczywiście, jest tak samo. Nie możemy zburzyć tej bajkowej budowli, którą stworzyliśmy dla ludzi z tamtej strony zera! Nie możemy powiedzieć wprost takiemu liftowanemu zerowcowi, że jest durniem. Mniejsza o niego i jego ambicje, ale byłby to wyłom, szczyberba w ogólnospołecznych poglądach na sens i prawidłowość naszych poczynań. Do tego nie możemy dopuścić. Nie jest już chyba dla ciebie tajemnicą, że w naszym świecie liczą się tylko zerowcy, ci autentyczni. Oni jedynie są niezbędni dla funkcjonowania świata w takiej jego postaci, jaka ukształtowała się w ciągu ostatnich dziesięcioleci.

— Więc na dobrą sprawę, wszyscy pozostali obywatele mogliby przestać istnieć, bo są niepotrzebni?

— Tu właśnie dochodzimy do zabawnego lub, jeśli wolisz, tragicznego dylematu. Bo gdyby oni wszyscy, bierni w gruncie rzeczy konsumenci, przestali

istnieć, wówczas nie byłoby potrzebne już zupełnie nic: ani uprawy rolne, ani produkcja czegokolwiek, ani cała automatyka i organizacja, ani wreszcie my, zerowcy, pozbawieni obiektów do kierowania. Oni, biedni, nie douczeni szóstacy, sfrustrowani trojacy i dumni z siebie fałszywi pseudozerowcy, stanowią jedyną rację naszego istnienia, jedyny cel naszych działań. Znasz dość dobrze reguły działania społeczeństwa Argolandu. Ale to, co o nim wiesz, jest jedynie pierwszym stopniem wtajemniczenia. Jesteś tutaj po to, by zyskać drugi stopień świadomości. Wiemy, że umysł twój jest w stanie przyjąć i zrozumieć pewną prawdę, znaną tylko nielicznym, nie wszystkim nawet wśród prawdziwych zerowców. Ale nim wyjawię ci tę ważną tajemnicę naszego świata, musisz uświadomić sobie własną w nim pozycję. Wkraczasz na ścieżkę, z której nie ma powrotu, musisz sobie zdawać z tego sprawę! A teraz parę informacji, żebyś wiedział, w jakim świecie żyjemy naprawdę. Z pewnością dziwiłeś się, jeszcze jako dziecko, dlaczego szóstak to ktoś o najniższym stopniu inteligencji, a zerowiec o najwyższym. Zdawać by się mogło, że logika nakazuje przyjąć odwrotną nomenklaturę. Jest w tym zupełna racja. Jednakże takie postawienie sprawy służy określonym celom. Po pierwsze, szóstacy nie są nazywani „najniższą” klasą, bo cyfra oznaczająca ich klasę jest właśnie najwyższa. W ten sposób zapobiegliśmy utarci się określeń: „klasy wyższe” i „klasy niższe”, co ma pewne znaczenie dla samopoczucia tych mniej inteligentnych. Po drugie zaś, tak naprawdę, na nasz, zerowców, użytek klasyfikacja przedstawia się inaczej, niż widzą to pozostali obywatele. Wyjaśnię ci to poglądowo. Przypomnij sobie model atomu, ten najprostszy, tak zwany „planetarny”. Elektrony są w nim rozmieszczone na ściśle określonych „poziomach”, bliższych lub dalszych od centralnego jądra. Pozycja elektronu, związanego z danym atomem, jest skwantowana. Oznacza to, że elektron taki nie może zająć położenia pośredniego między poziomami. Może należeć do pierwszej, drugiej lub dalszej warstwy, czyli „powłoki”. Im bliżej jądra znajduje się dana powłoka, tym trudniej jest wyrwać z niej elektron, by znalazł się poza atomem. Społeczność ludzka w aglomeracjach jest w podobny sposób „skwantowana”. Powłok, czyli klas, mamy siedem. Ich liczba wynika tylko z przyjętych założeń, mogłoby ich być więcej lub mniej, ale siódemka to taka ładna cyfra. Każdy obywatel, którego walory umysłowe nie przekraczają poziomu przyjętego umownie za granicę klasy szóstej, jest szóstakiem i tak dalej. Każdy obywatel należy do jednej z klas, jest przypisany do określonej „powłoki” tego układu, przy czym najbliższa „dna” jest powłoka „minus szósta” licząc od zerowej w dół. Szóstacy są więc „gorsi od poziomu minus sześć”, a tak zwani zerowcy, ci, których umieszczamy na różnych ważnych stanowiskach w aglomeracji, mają intelekt zawarty w przedziale „od minus jeden do zera”. Aby nie powodować zbędnych kompleksów wśród tych wszystkich „ujemnych” obywateli, opuszczamy znak minus w oficjalnej nomenklaturze klas! Tak więc, wyjaśnia się ów pozorny paradoks: po tamtej, ujemnej stronie zera, mamy siedem ujemnych klas, odzwierciedlających raczej niedostatki

umysłowe, niż intelektualne walory obywateli, w porównaniu z poziomem określonym „inteligencją wzorcową”, czyli „zerowym”. Zatem owo „zero”, to limes inferior, dolna granica poziomów intelektualnych, niezbędnych jednostce ludzkiej do aktywnego uczestniczenia w jakiegokolwiek pożytecznej działalności w naszym tak skomplikowanym świecie. Poniżej tego poziomu, niestety, a może... na szczęście, musimy umieścić wszystkich prawie obywateli miasta. Powyżej „zera” zaś rozciąga się, podobnie jak w modelu atomu, continuum, czyli nieskończenie gęsty obszar stanów nieskwantowanego, „dodatniego” intelektu. Tutaj zaliczyć możemy jedynie nielicznych, których umysł przejawia pewien nadmiar inteligencji ponad minimum. Mam nadzieję, że teraz będziesz lepiej rozumiał pewne sprawy i pojęcia. Widzisz, że mamy dwie kategorie zerowców: tych po „tamtej” stronie, których nazwać by można zerowcami „podzerowymi”, oraz tych „nadzerowych”. O pierwszych można by z grubsza powiedzieć, że są niegłupi; dopiero o tych drugich możemy mówić, że są mądrzy, choć w różnym stopniu, bo ich mądrość może przybierać dowolne stany, od umownego zera do nieskończoności, której odpowiada poziom intelektu absolutnego, geniusza genialności. Umysł taki oczywiście nie istnieje, podobnie jak nie istnieje liczba nieskończenie wielka. Można jednak zbliżać się do tego ideału, osiągając coraz to wyższy wskaźnik zerowości. Pewnie spotkałeś się z zagadkowym, żartobliwym na pozór określeniem: „kwadratowy zerowiec”. Jest to rzeczywiście pewien kalambur słowny, lecz nie pozbawiony sensu. W środowisku nadzerowców, którzy są ludźmi z dużym poczuciem humoru, określa się w ten sposób człowieka o wskaźniku zerowości bliskim liczbie cztery. Czymże bowiem jest, z punktu widzenia geometrii, symbol zera? Jest to kółko, a kółko powinno być okrągłe. Prawdziwe, doskonałe kółko, oczywiście. A niedoskonałe, przybliżone? Jak można je przedstawić? Oczywiście, przez jakiś wielokąt foremny wpisany lub opisany na prawdziwym kole. Im więcej boków ma taka kanciasta karykatura kółka, tym bardziej zbliża się ona do ideału. Stąd też — zerowiec „trójkątny” jest mniej mądry od „sześciokątnego”, a „dwudziestoczekątny” — dużo lepszy od tamtych obu. Przyznasz, że to dość dowcipne... Stąd też o zerowcach z niskim wskaźnikiem mówi się czasem pogardliwie, że ich zero to kółko graniaste. Opisany system klasyfikacji wprowadziliśmy dla wygody, nie oznacza on jednakże kwantyzacji intelektu nadzerowców. W razie potrzeby wskaźnik, na co dzień wyrażany wielkością całkowitą, można określić z dokładnością do dowolnej liczby miejsc po przecinku.

— Czy... ma to aż takie znaczenie? — Sneer był oszołomiony tymi wszystkimi informacjami.

— Kolosalne! Sam się przekonasz, działając wśród nas. Bo nie muszę chyba wyjaśniać, że uznaliśmy cię za nadzerowca. Od wskaźnika zerowości zależy pozycja w hierarchii służbowej, liczba głosów, jaką każdy z nas dysponuje przy głosowaniach w Radzie, a także, cóż, też jesteśmy ludźmi, liczba żółtych otrzymywanych co miesiąc. Czasem trzecie miejsce po przecinku decyduje o twojej

karierze!

— Na ile zatem określono mój wskaźnik?

— Dokładnie jeszcze nie wiemy. To nie takie proste, jak te naiwne testy-łamigłówki do odróżniania piąta od czwartaka. Tamto jest fikcją, zabawą, zajęciem dla beczynnych podzerowców. Tu zaś chodzi o losy świata, o dobór kadry kierowniczej. Trzeba uwzględnić mnóstwo cech. Człowiek jest istotą wieloparametrową i nie tylko zdolności, lecz także cechy psychiczne i charakter określają jego wskaźnik. Będziesz jeszcze poddany szczegółowym badaniom.

Sneer siedział w milczeniu, przetrawiając w myślach to, co usłyszał. W ciągu kilku tygodni już po raz drugi przewracano do góry nogami cały obraz świata, jaki zdołał sobie ustawić w swej świadomości. Jakże naiwny był sądząc, że rozumie ten świat, beztrząsanie przemierzając wesołe ulice śródmieścia Argolandu. Jak bardzo chciałby teraz wrócić do tej błogiej nieświadomości nominalnego czwartaka, który był pewien swej doskonałości wyrażającej się „faktycznym” zerem. „Tamto” zero, widoczne z „tamtej” strony jako złocisty krąg na szczycie firmamentu, z obecnego punktu widzenia było zerem w dosłownym sensie tego symbolu.

— Chyba zmęczyłem cię tym wykładem — powiedział Rascalli, patrząc wyrozumiale na Sneera. — Idź zjeść obiad. Bufet jest na lewo od wyjścia. Odpocznij trochę, a potem zgłoś się do Sekcji Personalnej, budynek numer dwa. Później pomówimy o innych, jeszcze ważniejszych sprawach.

Teren, na którym stały zabudowania Rady, był w rzeczywistości rozleglejszy, niż się Sneerowi wydawało na pierwszy rzut oka. Mógł się o tym przekonać, gdy w poszukiwaniu stołówki zapędził się zbyt daleko jedną z alejek. Minawszy mały, zaciszny park pełen kwitnących krzewów i nieznanych, egzotycznych roślin, wyszedł na grupę pięknie położonych domków i większych willi, znacznie okazałszych nawet od tych najbogatszych, jakie można było zobaczyć w podmiejskich dzielnicach Argolandu. Nad wszystkim unosił się — uchwytny nieomal zmysłami — błogi spokój. W ogródkach, wokół kolorowych basenów, bawiły się dzieci i wypoczywało wiele osób dorosłych.

Przez kontrast z zatłoczonymi plażami Argolandu, z jego ciasną — nawet na przedmieściach — zabudową, ten komfort i obfitość wolnej, otwartej przestrzeni sprawiały wrażenie jakiejś ogromnej niesprawiedliwości, nadużycia nieomal.

Sneer zdawał sobie sprawę z tego, że urbanizacja, z wszystkimi jej ujemnymi skutkami, stała się w pewnym momencie dziejów świata jedynym wyjściem z impasu. Wielokrotnie wbijano mu do głowy tę oczywistość: tereny pozamiejskie żywią wszystkich mieszkańców aglomeracji, każdy akr ziemi jest zbyt cenny, by zajmować go dla prywatnego użytku małych grup ludzi.

Tu najwyraźniej złamano tę zasadę. Nadzerowcy wyłączyli siebie samych z ogólnych praw i reguł obowiązujących całą podzerową hołotę intelektualną. Być może, traktowali to jako godziwą rekompensatę za trudy ponoszone w trosce o funkcjonowanie aglomeracji, byłby to jednakże ich jednostronny punkt widze-

nia, którego akceptacji przez pozostałych obywateli z pewnością nie udałoby się uzyskać.

To dlatego zapewne ośrodek kierowania aglomeracją umieszczono tak daleko od miasta i od oczu jego mieszkańców. Ochronie tej małej tajemnicy nadzerowych dygnitarzy służyło całkowite i szczelne zamknięcie miast, osiągnięte przez utrudnienie ich opuszczenia. Pojazdy drogowe — z wyjątkiem tych, którymi dysponowali nadzerowcy oraz ciężarówek dowożących zaopatrzenie — nie mogły przekraczać pewnej ustalonej granicy na obrzeżu miasta: specjalna bariera elektromagnetyczna paraliżowała pracę silników. Czy można było wyjść z miasta pieszo? Tego Sneer nigdy nie próbował, lecz teraz nabrał podejrzeń, że i to zostało zapewne uniemożliwione w jakiś przemyślny sposób. Inna sprawa, że nikt w mieście nie miał specjalnych powodów, by opuszczać je w celu zwiedzania obszarów pokrytych uprawami — ciągnącą się kilometrami kukurydzą czy plantacjami ogórków. Poza miastem — z punktu widzenia jego mieszkańca — nie było nic: ani jednego automatu, ani jednej szczeliny, w którą mógłby wetknąć swój Klucz dla uzyskania czegokolwiek za swoje punkty.

Nim odnalazł budynek stołówki, a raczej bardzo przyzwoitej restauracji, Sneer doszedł do jednej jeszcze konkluzji. Otóż stwierdził, że ukrywanie przez nadzerowców ich standardu życiowego, ich izolacja od społeczeństwa powoduje, iż oni sami — z tak dużej odległości kierując życiem aglomeracji, w dodatku za pośrednictwem mniej lub bardziej liftowanych podzerowców z administracji miejskiej — siłą rzeczy zatracają nieuchronnie jasność widzenia spraw milionów obywateli miasta. Co więcej — sprawy te w żadnym stopniu nie dotyczą ich samych, ukrytych bezpiecznie w swych komfortowych gniazdkach. Jakże niechętnie musieli czynić niezbędne służbowe wyprawy do huczącego ula, jakim był, w porównaniu z tym miejscem, Argoland. Stąd, jak zza grubej szyby, oglądali dziejące się tam sprawy jako sprawy cudze i nie mające wpływu na ich własny status.

Sposób, w jaki uzupełniali swe potrzeby kadrowe — poprzez wybór spośród zerowców, wykrytych w mieście — stawiał znakomitą tamę wszelkim próbom penetracji niepożądanych elementów z zewnątrz, mogących zdemaskować ową dobrze ukrywaną podszewkę ich życia — zgrzebnego na pozór, pełnego jakoby ciężkich trudów związanych ze sprawowaniem społecznie ważnych obowiązków.

Dlaczego upatrzyli sobie właśnie mnie? — zastanawiał się Sneer, od chwili gdy znalazł się tutaj. Tam, w Argolandzie, mógł uchodzić, nawet przed sobą samym, za geniusza. Nie zatracił jednak poczucia samokrytycyzmu i jakoś nie umiał do końca uwierzyć, że tylko walorom umysłowym zawdzięcza ów wybór.

Musiało być w tym coś jeszcze, jakieś dodatkowe kryteria, które — nie wiedząc o tym — spełniał.

Odpowiedź na te wątpliwości zaczęła mu się rysować już w chwili, gdy chcąc pobrać z podajnika tacę z obiadem, nie znalazł szczeliny, w której należałoby umieścić Klucz. Zdezorientowany, usunął się na bok, by zobaczyć, w jaki sposób

inni konsumenci uruchamiają automaty gastronomiczne. Po chwili już wiedział: wystarczyło nacisnąć przycisk, by otrzymać jedzenie. Wszystko było tutaj bezpłatne! Każdy, kto dostąpił zaszczytu przebywania w tym ośrodku władzy, mógł zaspokajać swoje apetyty nie wydając ani punktu.

Kolejną niespodzianką była sama jakość potraw. Sneer, bywalec najlepszych lokali Argolandu, w życiu nie jadł podobnych specjałów. To jedzenie naprawdę miało smak! Nie umywały się do niego nawet najdroższe potrawy za ciężkie żółte punkty. Firmowe dania restauracji w „Baszcie” czy „Kosmosie” można było przy tutejszych delicjach śmiało nazwać podłym żarciem.

Kto lubi dobre jedzenie i potrafi ocenić jego uroki, z pewnością nie zrezygnuje z możliwości stołowania się tutaj — skonstatował, biorąc sobie drugą porcję znakomitych pierożków. — Będzie się starał robić wszystko, by go stąd nie wylano z powrotem tam, do miasta.

Po chwili dotarło do jego świadomości, że po prostu nie ma mowy o tym, by kogokolwiek stąd odesłano do Argolandu: człowiek taki mógłby rozpowszechnić niepożądane informacje wśród podzerowców! A zatem, jeśli już kogoś zaproszono tutaj, to z pewnością odpowiada on wszelkim kryteriom i warunkom, by lojalnie włączyć się w działalność Rady.

Jedną więc z przyczyn wyboru w moim przypadku — pomyślał popijając ostatni pierożek świetnym sokiem pomarańczowym — był zapewne mój sybarytyzm. Ale to nie wszystko. . . Cóż jeszcze, oprócz inteligencji i sprytu? A może inteligencja jest tu kryterium drugorzędym, mniej znaczącym? Rascalli mówił o różnorodności cech osobowych, branych pod uwagę w klasyfikacji nadzerowców. W każdym razie, umiłowanie wygod i dobrego żarcia na pewno wchodzi w rachubę. Cóż jeszcze? Brak skrupułów moralnych? Konformizm wobec dowolnego układu warunków dającego osobiste korzyści?

To zaczynało trącić rachunkiem sumienia, więc Sneer otarł usta serwetką i rozparłszy się na krześle, zapalił papierosa.

A jeżeli ktoś się wyłamuje? Jeśli pomimo starannego doboru, przemknie się tutaj ktoś nie pasujący do tego zespołu? Jeżeli nie można odesłać go z powrotem, to pozostaje tylko jedna możliwość!

Ta ostatnia myśl przejęła go nagłym niepokojem i mimo że ani mu nie przyszło do głowy opuszczać tego pięknego miejsca, w którym znalazł się jakimś cudownym zrządzeniem losu (losu starannie sterowanego — jak losy wszystkich ludzi w jego świecie), poczuł się nagle jak mucha, która usiadła niebacznie na smakowitej, słodkiej gładzi gęstego miodu. Biedna mucha, która w pierwszej euforii chłepce łakomie tę słodycz, co już po chwili zniewala wszystkie jej sześć nóżek. Naiwna mucha, która — nim spróbuje rozwinąć skrzydła — może jeszcze wierzyć i wmawiać sobie, że tkwi w tym miodzie wyłącznie z własnej woli; że wystarczy chcieć — by odlecieć w dal, wrócić na owe cudowne, wonne miejskie śmietniki, do roju jej podobnych, wolnych much! A tu — nic z tego! Próby uwolnienia się

pogarszają tylko sytuację muchy, jej delikatne skrzydełka paprzą się lepka mazią i to jest koniec muchy. Trudno nie upaprać się, wpadłszy do słoika z miodem.

Sneer z okrutną obojętnością patrzył na muchę, która — usiłując usiąść na deserze jednego z konsumentów przy tym samym stoliku — stała się źródłem obrazowych paraleli w jego rozważaniach.

Doigrasz się i ty — pogroził musze i dla odpędzenia natrętnych myśli zajął się podsłuchiowaniem toczących się wokół niego rozmów.

— Słyszałaś, co zrobił ten facet z nadzoru gospodarki leśnej? — mówił chichocząc jeden z mężczyzn siedzących w pobliżu, do młodej dziewczyny zjadającej krem z owocami.

— Mówią, że zwariował.

— No, pewnie! Ale to nie wszystko! Posłuchaj! Jestem dziś u naczelnika nadzoru gospodarki terenowej, a tu wpada ktoś z patrolu powietrznego i krzyczy: „Szefie! Ten kretyn od maszyn wyrębowych chyba oszalał!” Naczelnik na to: „Nie kretyn, przede wszystkim, bo ma siedemnastokąt, a ty tylko sześciokąt, i nie tobie go oceniać!” Na to tamten z patrolu: „Ależ, szefie, on tak zaprogramował maszyny wycinające drzewa w Puszczy Zachodniej, że zamiast ściąć odpowiednie kwadraty, poszły po całym obszarze i powaliły drzewa po liniach tworzących wielki napis, widoczny z powietrza”. Tu naczelnika ruszyło. Zerwał się zza biurka i wrzasnął: „Co? Co on napisał?” A tamten mu na to, że napis brzmi. . .

Tu opowiadający schylił się do ucha dziewczyny i głośnym szeptem powiedział:

— „... pocałujcie nas w dupę!”

Dziewczyna prychnęła śmiechem, nie zdążywszy przełknąć kremu, który miała w ustach. Rozmowa urwała się na czas potrzebny do usunięcia skutków drobnego incydentu. Po chwili mężczyzna opowiadał dalej:

— Więc ten z patrolu mówi szefowi, że wcale się nie dziwi. Sam by też zwariował, siedząc samotnie w ośrodku dyspozycyjnym w centrum puszczy. Naczelnik zbył to krótką uwagą, że tamten dobrze wie, za co się znalazł w odosobnieniu, i że w ogóle nie pora litować się nad wariatem, gdy zagrożona jest racja stanu i bezpieczeństwo powszechne. „Zamazać to zaraz!” powiada, a facet z patrolu śmieje mu się w nos. „Szefie! — mówi. — Te litery mają po dwa kilometry wysokości, a napis jest na trzydzieści długi!”. „Trudno — naczelnik tłucze pięścią w stół. — Walić, jak leci, cały obszar!”. „Ależ, to jest sześć tysięcy hektarów pięknej starej puszczy! Wszystkiego nie zużyjemy, nie ma mocy przerobowych, zgnije nam to drewno, będą cholerne straty!” oponuje facet z patrolu. „A ty wiesz, co będzie, jak o n i nadlecą? Przecież potrafią to przeczytać i zrozumieć! Co ty mi tu będziesz o stratach. Co z tego, że będzie las, jeśli nie będzie nas! Wiesz, jacy są drażliwi! Jeśli napis jest dobrze widoczny z dużej wysokości, to nie będą ani przez chwilę wątpić, że zrobiono go dla nich!”

— No, i co dalej? — spytała dziewczyna.

— Tego z lasu zamknęli w klinice. A las wała, jak leci.

— Naczelnik miał rację! Niechby przeczytali i obrazili się. Ładnie byśmy wyglądali!

Oboje wstali i oddalili się w kierunku wyjścia. Jadłodajnia pustoszała, kończyła się pora obiadu. Sneer wstał także i ruszył na poszukiwanie budynku numer dwa, gdzie miał być poddany jakimś badaniom. Spodziewał się, że nie będzie to w niczym przypominało badań klasyfikacyjnych dla podzerowców, w których uczestniczył wielokrotnie w imieniu swych klientów. To jednak, co zastał w budynku numer dwa, w ogóle nie miało nic wspólnego z badaniami testowymi. Zadano mu szereg pytań, na które starał się odpowiadać zgodnie z prawdą, sądząc, iż odpowiedź jest z góry znana pytającym. Wiedzieli o nim rzeczywiście sporo, czego dowodem mogło być na przykład pytanie, które zadał jeden z rozmówców:

— Wyraziłeś się kiedyś, że system społeczny panujący w Argolandzie bardzo ci odpowiada i wcale nie chciałbyś, by zmienił się w jakimkolwiek stopniu. Czy nadal podtrzymujesz ten pogląd?

— Mówiłem tak — odpowiedział Sneer — bo moja pozycja materialna i dochody uwarunkowane były istnieniem tego właśnie systemu.

— Nieważne są pobudki — uśmiechnął się pytający. — Musisz mieć pełne przekonanie, że nie należy i nie wolno zmieniać niczego w Argolandzie, bo każda zmiana może doprowadzić do nieszczęścia na skalę ogólną, a teraz, gdy jesteś tutaj, katastrofa taka najdotkliwiej ugodziłaby w ciebie właśnie. Czy zatem jesteś przekonany, że należy za wszelką cenę utrzymać równowagę społeczną Argolandu?

— Nie zmieniłem tego poglądu.

— To dobrze. Utwierdzisz się w nim jeszcze bardziej, pracując z nami.

Po rozmowach poddano Sneera elektrohipnozie i nie pamiętał już niczego więcej aż do chwili, gdy go obudzono i pozwolono mu wrócić do Rascallego.

— Jeśli wyrobiłeś sobie jakieś poglądy na nasz temat — powiedział z dobrotliwą kpina Szef Wydziału „S”, gdy Sneer zgłosił się ponownie w jego gabinecie — to odrzuć je natychmiast. Jeśli zaś sądzisz, że wszystko rozumiesz, to przyjmij do wiadomości, że się mylisz. Nie musisz zresztą uciekać się do domysłów. Dowiesz się wszystkiego, całej prawdy, bez upiększeń i przemilczeń. Prawda ta jest zbyt złożona, zbyt zawiła, by zdołał ją w całości odtworzyć nawet tak inteligentny nadzerowiec, jak ty. Wiesz dużo, domyślasz się jeszcze więcej. Prawie każdy, nawet szóstak, tam, w mieście, wie coś, domyśla się, słyszy różne opinie. Ale całą prawdę o naszym świecie można poznać i ogarnąć tylko stąd, z pozycji nadzerowca. Niezwykle trudno jest ułożyć rozsypaną mozaikę o nieznanym rysunku z drobnych, niekompletnych kamyków, wśród których zdarzają się w dodatku fałszywe kawałki, z zupełnie innej układanki. A jeśli jeszcze ktoś, pod pozorem pomocy w układaniu, de facto przeszkadza w tej czynności, sprawa staje się beznadziejna. Dlatego pewien jestem, że nie wiesz jeszcze wielu rzeczy i że twój obraz sytuacji

świata, w którym wszyscy żyjemy, jest niekompletny.

Rascalli zrobił dłuższą przerwę. Wpatrywał się w ekran, jakby oczekując wiadomości mającej się na nim pojawić. Po chwili oczy jego poruszyły się, odczytując jakąś krótką informację.

— W porządku — powiedział z widoczną ulgą. — Jest akceptacja. Nie sprzeciwiają się. Możemy włączyć cię do naszej ekipy.

A teraz słuchaj uważnie. To co ci powiem, jest tajemnicą dostępną tylko nadzercowcom. Musisz ją poznać, aby właściwie wypełniać obowiązki, które przewidujemy dla ciebie w naszej Radzie. Na pewno zadajesz sobie teraz pytanie: dlaczego stworzyliśmy i utrzymujemy w Argolandzie i w innych aglomeracjach ten dziwny, sztuczny układ stosunków społecznych? Dlaczego dążąc do jego utrzymania, równocześnie tolerujemy znane nam ujemne zjawiska, którym bez trudu moglibyśmy zapobiec? Sądzisz zapewne, że dysponując zespołem najtęższych mózgów świata, moglibyśmy wymyślić dla ludzkości znacznie lepszy, efektywniejszy model życia, zamiast tej wielkiej mistyfikacji. Zauważyłeś, jak usilnie staramy się, by dla przeciętnych obywateli klas podzercowych wszystko to wyglądało jak najnaturalniej. Cała publiczna informacja służy przekonaniu ich, że ten właśnie model życia jest optymalny, a jego realizacja bliska ideału. Większość, znaczna większość ludzi wierzy, że tak istotnie jest. Są zadowoleni, jedni mniej, inni więcej, lecz żyją w tych warunkach i starają się w ramach modelu osiągać swoje osobiste cele. Wobec pełnej automatyzacji produkcji oraz niewyczerpanego źródła energii, którym dysponujemy, działalność podzercowców nie ma żadnego znaczenia ani wpływu na ilość produkowanych dóbr. Istotna jest tylko kwestia ich podziału, takiego, by człowiek miał poczucie, że stan posiadania zależy od czynników znajdujących powszechną akceptację społeczną: od przydatności i wkładu pracy. Muszą w to wierzyć, bo inaczej stracą jedyną motywację działań, które składają się na funkcjonowanie modelu jako całości. . .

— Ale czy na pewno model ten jest jedynym, słusznym i najlepszym z możliwych?

— Nie wiemy. Nie próbowaliśmy wymyślać innego.

— Dlaczego wybrano właśnie ten, nie inny?

— Nie było innych.

— Więc, opracowując schemat działania nowego społeczeństwa epoki automatyzacji, nie próbowano dyskutować różnych rozwiązań?

— Nie. Tego modelu nikt nie dyskutował. On został nam dany. . . w formie gotowej do wprowadzenia.

— Nie rozumiem?

— Pracując z nami, zrozumiesz to prędzej, niż się spodziewasz! — Rascalli odruchowo rozejrzał się po pustym gabinecie i znijwszy głos, dodał przechylając się przez biurko w stronę Sneera. — Ten przedziwny system organizacji i kierowania społeczeństwem został nam narzucony!

— Przez kogo?

— Przez siłę, o której nie wiemy prawie nic poza tym, że jest nieomal wszechpotężna! Ta właśnie siła kazała nam zorganizować wszystko w taki sposób, czyniąc nas, nadzerowców, odpowiedzialnymi za wprowadzenie w życie całego programu i czuwanie nad jego realizacją!

— Cóż może stanowić tak wielką siłę, zdolną narzucić swoje plany całej planecie? Jakaś grupa terrorystów, dysponująca środkami globalnego zniszczenia? Mafia, grupa zwariowanych uczonych? Czy może zbuntowany superkomputer, sterujący całą energetyką?

— Nie, nie... Wszystko, co wymieniasz, nie byłoby jeszcze najgorsze, nawet razem wzięte. To dawałoby chociaż nadzieję, cień szansy wyrwania się spod wpływu. Niestety! Siła, która nad nami zawisła, nie pochodzi stąd...

— Skąd?

— Z naszej planety.

— Obca interwencja z kosmosu?

— Niewiele wiemy o nich i nie dowiemy się więcej, niż oni chcą nam przekazać. — W głosie Rascallego brzmiała melancholia i gorz. — Nie mamy szans w konfrontacji z nimi. W dawnych czasach brano pod uwagę różne warianty możliwych kontaktów z inteligentnymi przybyszami z głębin wszechświata. Rozpatrywano zbrojną inwazję powodującą zniszczenie naszej cywilizacji i światłą pomoc wyżej rozwiniętych istot; kolonizację i braterską współpracę; nieporozumienia i przyjaźń. Lecz były to wszystko pomysły na naszą ludzką miarę. Wariantu, będącego konglomeratem wszystkich wymienionych wersji, nikt nie przewidywał. Ci, którym musimy się podporządkowywać, nie są, sensu stricto, naszymi wrogami. Oni są po prostu fanatykami! Fanatykami na skalę całego dostępnego dla nich kosmosu, zadufanymi we własnej inteligencji, która jest niewątpliwa, oraz we własnej słuszności i nieomyślności! Przybyli tutaj, by obdarzyć nas wymyślonym przez siebie modelem społeczeństwa istot rozumnych, uznanym przez nich za uniwersalny i najlepszy, dla wszystkich społeczeństw istniejących w kosmosie, które osiągają wysoki poziom rozwoju wiedzy i automatyzacji środków produkcji. Model ten upowszechniają, gdzie tylko znajdą odpowiednio rozwiniętą cywilizację! Działalność swą traktują jako posłannictwo, dziejową misję swojej rasy, która pierwsza w kosmosie osiągnęła najwyższy poziom wiedzy społecznej i była w stanie taki optymalny model stworzyć. Jako ci najmądrzejsi, nie dopuszczają do dyskusji nad słusznością swych przekonań! Działają jak ongiś rycerze zakonnicy, krzewiący wiarę wśród pogańskich ludów: z fanatyczną wiarą w swe idee, które stały się czymś w rodzaju religii!

— Czy... próbowano przeciwstawić się im, odmawiać przyjęcia ich rad?

— To nie były rady. Akceptacja ich idei przez każde dojrzałe społeczeństwo jest dla nich rzeczą bezdyskusyjną, oczywistą.

— Ale... przecież każde społeczeństwo ma własną specyfikę! To co spraw-

dziło się u nich, niekoniecznie musi być dobre dla nas!

— Oni twierdzą, że zarówno na ich planecie, jak na wielu innych, które obdarowali światłem swej mądrości, system przez nich sformułowany działa bezbłędnie, uszczęśliwiając przeróżne społeczeństwa istot rozumnych.

— Czy rzeczywiście tak jest?

— Nie wiemy nawet, gdzie znajduje się ich ojczysta planeta. Prawdopodobnie tak daleko, że nie bylibyśmy w stanie dotrzeć tam bez ich pomocy — a gdyby się to nawet udało, to nie mamy żadnej pewności, że pokazaliby nam to swoje idealne społeczeństwo.

— A inne, uszczęśliwione planety, na których przykład się powołują?

— Też nie zostały bliżej określone, ale z naszych doświadczeń możemy wnioskować, na czym polega ich przekonanie o szczęśliwości tych planet. Później wrócę do tego zagadnienia. Teraz chciałbym jeszcze, abyś wiedział, że w rezultacie niedwuznacznego nacisku, ludzkość została zmuszona do podporządkowania się tym misjonarzom ideału społecznego. Przyjmij do wiadomości, że dysponują oni niewyobrażalnie wielką siłą i od razu odrzuć wszelką myśl o wyłamaniu się z zależności od nich.

— Czyżby straszili zagładą ludzkiej cywilizacji?

— Nie, tego nie powiedzieli wprost. Stosują metody bardzo kurtuazyjne i dyplomatycznie ostrożne. Nie da się zaprzeczyć, że w pierwszej fazie przekształcania naszej cywilizacji ponosili nawet dość znaczne koszty, dostarczając wielu cennych środków technicznych. Niczego nie chcieli w zamian. Pragnęli wyłącznie tego, abyśmy bez oporów zastosowali w praktyce ich wypróbowany system organizacji społeczeństwa.

— Czy... nie wydało się to nikomu podejrzane? Ta bezinteresowność?

— Początkowo nie. Początkowo to za skutek ich fanatyzmu, głębokiej wiary we własne idee, nieprzepartej żądzę ciągłego potwierdzania własnej genialności. Ludzkość, a raczej ci, którzy byli za ludzkość odpowiedzialni, nie mieli wyboru. Teraz jednak rodzi się w nas, nadzerowcach, przekonanie, że wszystko to ma w sobie pewien dalekowzroczny cel. Skutki działania wprowadzonego systemu wskazują na to wyraźnie. Spoza wszystkich jego dodatnich cech zaczyna coraz wyraźniej wyzierać ostateczny efekt.

— Ubezwłasnowolnienie naszego społeczeństwa! — powiedział Sneer, zaciskając pięści. — Oglupienie, pozbawienie ludzkiego oblicza, zautomatyzowanie, zatomizowanie, rozbicie na pojedyncze elementy, kierujące się drobnymi, własnymi interesami. Rozbicie solidarności ludzkiej, pozbawienie poczucia przynależności do ludzkiego gatunku!

— Nie popełniliśmy błędu, wyławiając ciebie spośród wielu innych! — Rassalli uśmiechnął się, z nietajonym podziwem i satysfakcją patrząc na Sneera. — Jesteś nadzwyczaj inteligentny i bystry, będziesz bardzo pożyteczny w naszym gronie. Ale pod jednym warunkiem: musisz zrezygnować z buntu i oporu prze-

ciwko nim. To tylko zniszczyłoby ciebie, a być może, także nas i cały nasz glob. Każdy z nas przeżywał ciężko to pogodzenie się z realiami naszej sytuacji, owo walenie głową w twarde, nieskończenie gruby mur. Oszczędź sobie tego i przyjmij bez buntu nasze metody działania, przyłącz się do nas, zaakceptuj naszą drogę walki. Choćby ci się wydawało, że nie jest to walka, lecz oportunizm i rezygnacja z radykalnych działań. Zdarzy ci się nieraz jeszcze, że będziesz chciał, w najlepszej wierze i z najlepszymi zamiarami, zrobić coś dobrego dla naszej biednej, zgubionej planety, i nie zrobisz tego, co zamierzyłeś. Przeszkodzi ci w tym jakiś nieludzki, lecz wyraźny, zrozumiały, ach, jakże, niestety, doskonale zrozumiały Głos, brzmiący w tobie i wokół ciebie, który powie ci: „nie!”, a ty usłuchasz tego Głosu, choćbyś nie chciał, bo zdasz sobie sprawę z beznadziejności sprzeciwu. Zdasz sobie sprawę z prostego faktu, że nie podporządkowując się, w jednej chwili zgubisz siebie samego i stracisz już na zawsze wszelką możliwość działania najdrobniejszej rzeczy dla dobra mieszkańców Ziemi. Zdasz sobie przy tym sprawę, że zawsze znajdzie się ktoś słabszy od ciebie, kto potulnie i posłusznie spełni polecenia tego Głosu, a twoja ofiara na nic się nie zda, niczego nie zmieni. — Rascalli przerwał, bo głos ochrypnął mu nagle. Zakasłał kilkakrotnie i nalał sobie wody z karafki, po czym popił nią jakąś pigułkę.

— Cóż więc robicie wy, zerowcy, by nie rzucić w końcu ludzkości w niewolę tych kosmicznych fanatyków? Przecież należy się spodziewać, że w pewnym momencie wkroczą tu i opanują nas ze szczętem, bo chyba o to im wreszcie chodzi! Nie wierzę, by inwestowali bezinteresownie w takie przedsięwzięcie!

— Niewiele możemy zrobić. Najprawdopodobniej już od samego początku, kiedy spotkało nas to nieszczęście, że do nas właśnie trafili, by wypróbować swoje idee, nie można było niczego przedsięwziąć. Nie unikniemy ostatecznego losu, jaki nam przeznaczyli. Oni zrobią wreszcie to, co zechcą. Są wobec naszych możliwości wszechpotężni. Jedyne, co możemy zrobić, to opóźnić ów koniec. Tym właśnie zajmujemy się od chwili owej przedziwnej, niespodziewanej „inwazji”.

— Kiedy to było? Nigdy nie słyszałem o tym fakcie z historii Ziemi?

Rascalli roześmiał się głośno, histerycznie.

— Pewnie, że nie. Nie mogłeś słyszeć! To my właśnie, spadkobiercy tych, co ulegli presji, musimy fakt ten trzymać w ścisłej tajemnicy. Wycięliśmy z historii ludzkości jeden jedyny szczegół: kontakt z obcymi. Ludzkość musi pozostawać w przekonaniu, że to, czym żyje obecnie, stworzyli nasi przodkowie, sami, bez niczyjej pomocy i nacisków. Tylko my, najmądrzejsi ze wszystkich ludzi, możemy znać prawdę. Reszta, gdyby ją poznała, nie byłaby w stanie ocenić grozy sytuacji. Rozległyby się powszechne protesty: przeciwko naszej działalności, ale to mniejsze zło; lecz także przeciwko nim, i to zgubiłoby ludzkość. Niech masy podzerowców myślą, że to my, nadzerowcy, niezależni jajogłowi kierownicy cywilizacji ziemskiej, sami tworzymy ten system, kierujemy nim i odpowiadamy

za jego zalety i błędy. Gotowi jesteśmy przyjąć na siebie całe odium wynikające z wad systemu, byle tylko ogół nie domyślał się istnienia Zewnętrznej Siły, której jesteśmy podporządkowani. Musimy wziąć wszystko na siebie, być tamą, zaporą izolującą prawdę o istnieniu obcych od świadomości ludzkiego żywiołu. Rozumiesz chyba, że to konieczne!

Sneer pokiwał głową w zamyśleniu.

— Więc to, co dzieje się w Argolandzie i innych centrach ludnościowych na całym globie, jest farsą graną dla tych z kosmosu po to, by wierzyli, że ich plany są przez was realizowane ściśle i z dobrym skutkiem.

— Przez „nas”, nie „was” — poprawił Rascalli. — Teraz i ty jesteś z nami i musisz poczuwać się do wspólnej odpowiedzialności za ten świat. Nasza rola przypomina szczególnego rodzaju filtr: izolujemy ludzkość od prawdy o naszych kosmicznych nadzorcach, a równocześnie izolujemy ICH od pełnej informacji o tym, co dzieje się faktycznie na Ziemi. Na szczęście, ograniczają się do oglądania ogólnego obrazu społeczeństwa, a więc ulegają grze pozorów ładu, który tworzymy. Wierzą, że wszystko idzie w dobrym kierunku, a naszym zadaniem jest utwierdzać ich w tym przekonaniu, drogą odpowiednich meldunków i sprawozdań. Jak dotychczas, wszystko się udaje, choć oni mają niekiedy pretensje, że idzie nam zbyt wolno ów marsz ku ich ideałowi. Wówczas musimy zrobić coś naprawdę, jakieś spektakularne posunięcie, by widzieli postęp. A potem znowu rozluźniamy nacisk na społeczeństwo. Im bardziej będzie ono zachowywać ludzkie cechy, im wolniej będzie zmierzać do ich zatury, tym dłużej potrwa, nim tu przyjdą i wybiorą nas jak raki z saka. Gdyby jednakże nie udało się nam zachować pozorów, gdyby przejrzeni naszą grę — wkroczyli sami, by konsekwentnie zrealizować swe plany urobienia nas na podobieństwo gromady zdalnie sterowanych robotów. Wprowadzą swoje ideały równości społecznej: zrównają wszystkich do poziomu szóstaka! To jest ich ostatecznym celem! Z trudem udało nam się wprowadzić pewne modyfikacje ich planów. Staraliśmy się zachować pewne pierwiastki historycznych uwarunkowań naszego społeczeństwa. Chcieliśmy zachować pewne nasze, ludzkie i ziemskie, wartości i zdobycze. W chwili, gdy oni tu przybyli, świat trwał w podziale na dwa podstawowe systemy stosunków społecznych. Każdy z nich miał swe zalety i wady. Wobec konieczności ujednolicenia w całym świecie systemu społecznego — w ramach narzuconych przez przybyszów — staraliśmy się zachować maksimum spośród najlepszych cech obu istniejących. Niestety... Każdy, kto zna problemy społeczno-ekonomiczne świata sprzed Wielkiej Reformy, dostrzeże bez trudu, że w tym, co obecnie obserwuje się w aglomeracjach, znaleźć można tylko wszystkie niemal wady obu przeciwstawnych systemów starego świata. Nie chcemy niczego ruszać w istniejącym układzie. Marzeniem naszym jest utrzymanie bieżącej sytuacji, jak najdłużej można. Nie dlatego, byśmy uważali ją za dobrą, lecz dlatego, że jest to jedyny sposób uchronienia się przed jeszcze gorszym. Niestety, są wśród podzerowców ludzie,

którzy, wiedząc zbyt wiele, rozpowszechniają nieścisłe i nieodpowiedzialne informacje, jak gdyby nie rozumieli, że działają przeciwko całej ludzkości. Ci biedni głupcy z dolnych klas nie pojmą, bo nie są do tego zdolni, naszych uwarunkowań i motywacji. A ci z kosmosu obserwują nas ciągle. Jeśli przeniknie do ich świadomości cała prawda o rzeczywistej sytuacji, o rozbieżności między rzeczywistością a ich wydumany modelem, to ktoś pierwszy ucierpi, jeśli nie my, nieudolni, w ich ocenie, kierownicy akcji ulepszania ludzkości na kosmiczną modłę. Nas dosięgnie pierwszy cios, a potem... potem już nic nie uratuje ludzkości... Kto wie, jakie plany mają wobec nas? Tego się nie dowiemy, dopóki oni nie zechcą zrealizować ostatniej fazy swych zamierzeń.

— Czy oni są tutaj, wśród nas?

— Gdyby to można było wiedzieć! Nikt nawet nie wie, jak naprawdę wyglądają. Nie wiadomo, czy potrafią przybierać ludzką postać. Komunikują się z nami drogą radiową. Widujemy ich pojazdy poruszające się w naszej atmosferze. Dają nam odczuć swą obecność, choć nie pojawiają się na ogół w obrębie aglomeracji. Czasem, jakby dla przypomnienia, demonstrują swe niesamowite możliwości techniczne, podobnie jak postępowali wówczas, gdy skłonili przywódców mocarstw starego świata do pełnego posłuszeństwa w imię istnienia ludzkości... Teraz, gdy wiesz już wszystko — ciągnął Rascalli, po chwili przerwy — zrozumiesz bez trudu, że wszelkie przeciwdziałanie temu, co robimy my, nadzerowcy, jest podryzaniem gardła ludzkości na Ziemi. Ufam, że nie muszę żądać od ciebie żadnych gwarancji zachowania tajemnicy wobec podzerowców. To się samo przez się rozumie.

— Oni rozpowszechniają pewne... teksty, sugerujące istnienie interwentów z kosmosu — powiedział Sneer, przypomniawszy sobie nie doczytaną do końca broszurę.

— Wiemy o tym. — Rascalli lekceważąco machnął ręką. — To co piszą w wywrotowych broszurkach, kupy się nie trzyma. Prawda jest o wiele bardziej skomplikowana. Te prymitywne, uproszczone wersje historii zakulisowych działań towarzyszących Wielkiej Reformie nie są na szczęście zbyt przekonujące nawet dla tępawych podzerowców.

— Czy... celowo się ich ogłupia, by nie rozumieli niczego i byli posłuszni?

— To jest nieunikniona konieczność, w imię wyższych racji — powiedział Rascalli, spuszczać wzrok pod biurko. — Lepsze... nieco przytępawe społeczeństwo niż zagłada ludzkości.

— A więc to prawda z tymi ogłupiaczami w piwie?

— Nie tylko w piwie — uśmiechnął się Rascalli. — We wszystkim, z czym się na co dzień stykają: w nonsensach codziennego życia. Ale to jedyny sposób, by zapanować nad tym żywiołem, by stworzyć pozory wobec naszych dobroczyńców, że my, nadzerowcy, wypełniamy to wszystko, czego się po nas spodziewają. No, cóż... Teraz niesiesz wspólnie z nami ten ciężar odpowiedzialności. Musi-

my odmładzać nasze kadry. Ktoś musi po nas dalej prowadzić tę grę, lawirować, balansować, strzec równowagi między koniecznością i możliwościami, odwlekać, jak długo się da, ten smutny, nieuchronny koniec ludzkości, który, miejmy nadzieję, nastąpi już nie za naszego życia. Chociaż, kto wie? Ich zamiary są nieprzeniknione. Idź teraz do biura personalnego, budynek numer jeden. Tam zajmą się tobą, zakwaterują i przydzielą zadania. Na początek zostaniesz młodszym inspektorem równowagi społecznej, a potem... zobaczymy.

* * *

Budynek, w którym Sneer otrzymał tymczasowe pomieszczenie, stał nieco na uboczu, z dala od pozostałych zabudowań. Pokój był bardzo obszerny, większy nawet od najdroższych, luksusowych kabin w argolandzkich hotelach. Miał co najmniej dwadzieścia metrów kwadratowych, do tego jeszcze sporą łazienkę z prawdziwą, długą wanną, w której można było się wygodnie wyciągnąć. Takie luksusy spotykało się tylko w willach znaczniejszych zerowców, w pierścieniu podmiejskich, „żółtych” dzielnic.

Sneer próbował sobie wyobrazić wnętrza domów w osiedlu oglądanym przed obiadem. Musiały być szczytem komfortu, jak wszystko tutaj, w tej enklawie prawdziwego, wygodnego życia.

Jakże żałośnie przedstawiały się przy tym wszystkim nędzne warunki bytowania tłumu ludzkich pionków, przesuwanych na gigantycznej planszy aglomeracji, w tamtym świecie pozorów.

Teraz, gdy mógł ogarnąć świadomością wszystkie warstwy rzeczywistości, która odkryła się przed nim całkowicie po ostatnich wyjaśnieniach, nie dziwił się niczemu. Ten obraz świata musiał już być ostateczną jego wersją, nie mógł kryć głębszych sekretów, co najwyżej — może jakieś szczegóły, które wcześniej czy później będzie miał okazję poznać. Trzeba było przyjąć ten świat takim, jakim się okazał, wraz ze wszystkimi konsekwencjami tego stanu rzeczy.

Sneer zrozumiał teraz, co miał na myśli Rascalli, gdy mówił o nieodwracalności przejścia do tego — jak się tu ładnie mówiło — continuum... Określenie to, nawiązujące do „modelu atomu”, z którym stary nadzerowiec porównywał społeczność aglomeracji, miało kilka przenośnych sensów. Oprócz tego, że oznaczało brak więzów ścisłej klasyfikacji intelektualnej, dopuszczającej tylko sztywne ramy siedmiu klas ujemnych, pojęcie continuum znaczyło także obszar swobodnego ruchu, wolności i względnej niezależności w sensie czysto przestrzennym.

Aglomeracje były „atomami” ludzkości, wiążącymi milionowe tłumy jednostek, niezdolnych — jak przypisane do atomu elektrony — uwolnić się z pęt sił

potencjału skupiającego je wokół jądra, którym było miasto. Za to sytuacja nadze-
rowca przypominała warunki istnienia swobodnego elektronu, zdolnego poruszać
się poza przymusową orbitą.

Jakże nieludzka musi być inteligencja, która potrafiła wymyślić tak bezdusz-
ny model społeczeństwa, lekceważący w sposób absolutny wszelkie indywidualne
cechy ludzkiej jednostki — pomyślał Sneer o mitycznych przybyszach z niezna-
nych głębin Galaktyki. — Zmuszony do codziennego bezsensownego krążenia po
wyznaczonej orbicie, człowiek rzeczywiście upodabnia się do bezrozumnej cząst-
ki, zdanej na przypadkową grę sił działających w tym złożonym układzie. Iluzo-
ryczna zmiana własnego statusu społecznego polega jedynie na zamianie jednej
orbity na inną, gdzie dalej trwa obłądne krążenie — intensywny ruch po krzywej
zamkniętej, nie posuwający obiektu ani o krok w kierunku jakiegoś realnego celu.

Nie ulegało wątpliwości, że takie zorganizowanie społeczeństwa Ziemi, zre-
alizowane konsekwentnie i do końca, musiało służyć określonym celom. Wśród
tych celów trudno byłoby dopatrzeć się szczęścia dla obiektów manipulacji. Praw-
dziwy cel galaktycznych fanatyków przezierał dość wyraźnie poprzez frazeologię
głoszącą optymalizację wszystkich rodzajów i typów społeczeństw rozumnych
istot. Gdyby chcieli oni owładnąć planetą miliardów indywidualności ludzkich,
byłoby to zadanie równie trudne, jak śledzenie i nadzorowanie każdego z osobna
pojedynczego elektronu spośród miliardowego tłumu. O wiele łatwiej upilnować
te niesforne cząstki, gdy — powiązane w pęczki, usidłone na swych orbitach, krą-
żą w wymuszonym kołowrocie.

Taka zbiorowość — jak atom — rządzi się własnymi prawami, a więc niejako
sama się pilnuje. Wystarczy śledzić ją jako całość, sterować nią globalnie i nie
dopuszczać do rozpadu na składniki. Wtedy nie trzeba już nawet dbać o iden-
tyfikację poszczególnych elementów, stają się bowiem niemal identyczne, za-
mienne, uśredniają swe cechy i przestają istnieć jako indywidualne obiekty.

Ludzkość skoagulowana w grudki, zlepiona w bryłki, które można odcedzić
i usunąć, mając pewność, że żadna drobina nie przemknie się przez sitko —
wzdrygnął się Sneer, porażony tym porównaniem. — Oni chcą nas mieć w ka-
wałkach, by tym łatwiej usunąć, zniszczyć albo wykorzystać do jakichś niewia-
domych celów. Zamiast wybierać po jednym, rozsianych po całym globie, mogą
nas brać hurtem, jak mrówki razem z bryłką cukru rzuconego na przynętę.

W kontekście takiej interpretacji ich celów galaktyczni misjonarze stawali się
po prostu przewrotnymi ekspansjonistami, pragnącymi rozciągnąć swą władzę na
wszystkie planety, do których zdołali sięgnąć.

Najbardziej optymistyczną spośród hipotez, jakie nasuwały się Sneerowi na
temat motywów działania tajemniczej supercywilizacji, było przypuszczenie, iż
czynią to wszystko w obronie własnej: tłumiąc w zarodku rozwój wszystkich spo-
łeczeństw rozumnych wokół siebie, zabezpieczają się przed wyrośnięciem pod ich
boki jakiejś siły i rozumu, zdolnych im z czasem zagrozić.

Lecz nawet najsilniej hamowane w swym rozwoju społeczeństwo może wymknąć się spod ogłupiającej kontroli. Gdyby chodziło im tylko o oczyszczenie okolicy z potencjalnych wrogów, zlikwidowałyby po prostu życie na tej planecie. Rascalli mówił o naciskach, o demonstracji siły i fantastycznych możliwości... Jeśli nie skorzystali z nich, by raz na zawsze rozprawić się z ludzkością, jeśli dokładają tylu wysiłków i starań, by wprowadzić w czyn swe zamierzenia, to widocznie ludzkość jest im potrzebna, i to właśnie w tej postaci, jaką usiłują jej nadać. Po co? Zapewne dla łatwego kierowania miliardami jednostek, skupionych w zniewolone, odizolowane od siebie zbiorowiska.

Było już kiedyś coś podobnego... — Sneer z trudem odgrzebywał z pamięci szczątki wiedzy historycznej. — To się nazywało: obozy koncentracyjne. Tam jednak chodziło o masowe morderstwo. Tutaj zaś... któż wie, o co chodzi?

Pewna odpowiedź na to pytanie będzie możliwa dopiero wówczas, gdy objawi się ostateczny cel akcji kosmicznych demonów. Ta konkluzja napawała smutkiem, niosła poczucie beznadziejności. Sneer rozumiał teraz punkt widzenia nadzerowców.

Oczywiste było, że komfort, jaki tworzyli dla siebie, nie był jedyną przyczyną, dla której chronili tajemnicę, kładąc się tamą pomiędzy masami ludności aglomeracji a ową Kosmiczną Siłą. Nierozumny żywioł tłumu nie pojąłby ich argumentów, nie uwierzyłby w niepokonaną moc przybyszów. Sama świadomość podległości obcej sile mogłaby złamać bierność ludzkiej masy. Pękłyby więzy społecznego porządku. Nadzerowcy, okrzyknięci zdrajcami, co wysługują się najeźdźcom z kosmosu, pierwsi padliby ofiarą tłumów. Reszty łatwo się domyślić. Byłoby to monstrualne samobójstwo ludzkości, porwanie się na beznadziejną, nierówną konfrontację.

To co dotychczas wydawało się Sneerowi nieuczciwe w postępowaniu nadzerowców: utrzymywanie i napędzanie nienaturalnego, reżyserowanego świata aglomeracji, dezinformacja, ogłupianie ludzi — teraz, w świetle pełnej prawdy o świecie, w którym żył, stawało się jedyne możliwe i słuszne.

Ta właśnie świadomość wszystkiego, całej grozy położenia, kneblowała usta nadzerowcom. Stwarzając nieprawdziwy świat dla tłumu nieświadomych współobywateli, tępiąc wszelkie okruchy prawdy o sytuacji — uśmiechali się obłudnie do tych, w których mocy pozostawali wraz z całym globem. Oni, nadzerowcy — choć poziom ich życia mógłby stanowić przedmiot zazdrości i pożądań reszty społeczeństwa, gdyby mogło ono przyjrzeć się temu z bliska — w istocie tkwili za tymi samymi drutami obozu wspólnej zagłady; tym różniący się od innych, że obarczeni ciężarem prawdziwej wiedzy o sytuacji i dobrowolnie przyjętym brzmieniu odpowiedzialności za utrzymanie delikatnej równowagi między kruchą tkanką ludzkości i zdolną ją bez trudu zmiażdżyć, brutalną siłą interwencji.

Czy świadomość groźby i odpowiedzialności jest wysoką czy niską ceną, płacaną za komfort życia — trudno o tym rozsądzić. Człowiek w swym indywi-

dualnym bytowaniu dość wcześnie oswaja się z koniecznością śmierci, lecz nie przeszkadza mu to działać, gromadzić dóbr, osiągać sukcesów życiowych. Czy nieuchronność upadku i nieodgadnionego końca ludzkości obchodzi człowieka bardziej, niż własna śmierć? Chyba raczej nie. Dlatego właśnie nadzerowcy przeniknięci byli większą troską o bieżące utrzymanie równowagi, niż o przyszłość, i tak przesądzone losy ludzkiego gatunku. Dlatego nie wahali się wpływać nawet na mentalność członków skazanego na zgubę społeczeństwa, nie dbali o moralne, społeczne, kulturalne skutki bieżących posunięć wobec ludności. Otępienie, demoralizacja, ukierunkowanie umysłów na sprawy codziennego bytu — wszystko to sprzyjało utrzymaniu spokoju, oddalało widmo zamieszek, które stałyby się niechybnie powodem niezadowolenia kosmicznych najeźdźców i odsunięcia nadzerowców od ich kierowniczej roli. Przekonani o nieskuteczności działań wybranych ludzi przy wdrażaniu narzuconego programu, interwencji staraliby się przyspieszyć osiągnięcie zaplanowanego stanu społeczeństwa, ujmując ster we własne ręce.

Z drugiej strony — tolerowanie przez nadzerowców wielu bardzo ludzkich — choć niewątpliwie ujemnych — cech społeczeństwa i jednostek, stabilizowało tempo odczłowieczenia na poziomie minimalnym. Przed kosmitami można było roztaczać od czasu do czasu usprawiedliwienia opóźnień, powołując się na drobne przejściowe trudności techniczne — nie na tyle kłopotliwe, by wymagały ich interwencji.

Snując rozmyślania nad losem świata w tak ostatecznej znajdującego się opresji, Sneer musiał przyznać nadzerowcom rację przynajmniej w jednej kwestii: braku alternatywy. To co robili, mogło być oceniane z różnych punktów widzenia i z różnymi wynikami. Wobec bezsilności świata zagrożonego potęgą obcych, przyjęta taktyka była najlepszym wyjściem: dawała nadzieję ludzkiego przeżycia jeszcze paru pokoleniom. Odraczanie końca świata miało taki sam sens, jak odwlekanie nieuchronnej śmierci chorego człowieka, nawet za cenę pewnych szkód w jego organizmie.

W prostokącie ciemniejącego okna widać było wycinek czystego nieba, na którym wystąpiły już pierwsze światła jaśniejszych gwiazd. Wiedziony siłą podświadomego skojarzenia, Sneer dotknął lewą dłonią przegubu prawej i stwierdził brak bransolety. Natychmiast przypomniał sobie, że pozostała w skrytce przy bramce kontrolnej, w wejściu do budynku Wydziału „S”.

Gwiazdy — piosenka — bransoleta — odtworzył w myśli ciąg skojarzeń, zbiegając po schodach.

Z niewiadomych przyczyn brak bransolety wpędził go w lekką panikę. Biegł, by odzyskać ją co prędzej, jakby jej utrata miała oznaczać utratę ostatniej materialnej więzi z dziewczyną, o której wciąż nie mógł i nie chciał zapomnieć.

Budynek Wydziału „S” otwarty był także w nocy. Nadzerowcy czuwali przez całą dobę, ani na chwilę nie ustając w wysiłkach zmierzających do utrzymania

chwiejnego status quo. Od dzisiejszego dnia Sneer także włączony został do tego nieprzerwanego czuwania. Według szczegółowych instrukcji, które przekazano mu w sekcji, gdzie go przydzielono, miał zajmować się „obserwacją równowagi”. Oznaczało to po prostu wykrywanie i likwidowanie tych wszystkich zjawisk, które mogłyby owej równowadze zagrozić.

— Nie przejmuj się szczegółami — wyjaśniał Sneerowi dziś po południu kierownik sekcji, energiczny, młody mulat o dobrodusznym spojrzeniu. — Nie wyręczaj policji ani administracji. Poradzą sobie sami, a jeśli nawet nie, to nic nie szkodzi. Twoje zadanie polega tylko na wychwytywaniu tego, co mogłoby zagrozić globalnej równowadze w aglomeracji. Nadużycia i złodziejstwo obywateli, korupcja urzędników, nieudolność uczonych, głupota funkcjonariuszy niższych szczebli, wszystko to są błahostki nie zagrażające podstawom istnienia zrównoważonego układu. Powiem więcej, zjawiska te są nawet w wielu przypadkach stabilizatorem, działającym w pożądanym kierunku. Ludzie zajęci drobnymi szwindlami, załatwianiem własnych codziennych spraw i rozwiązywaniem problemów indywidualnych, nie mają czasu na dociekania o charakterze ogólnym. Jeśli usłyszysz, że ktoś wiesza psy na zerowcach, mając na myśli Radę i cały aparat administracyjny, nie reaguj. To dobrze, że podzerowcy mają nas za przyczynę wszelkich swych kłopotów, że czynią nas odpowiedzialnymi za braki i niedostatki stworzonego przez nas układu społecznego. Dopóki wierzą w tę naszą winę, sytuacja jest daleka od stanu alarmowego. Ważne jest tylko, by nie mówili ani słowa o kimś, kto jest nad nami, obojętne, jak sobie tego kogoś wyobrażają. Należy tępić wszelkie sugestie istnienia Wielkich Obcych. Ludzie nie mający dostatecznej świadomości całokształtu naszej wspólnej sytuacji, a więc wszyscy oprócz nas, muszą pozostawać w przekonaniu, że Ziemia jest suwerenną planetą, rządzoną przez ludzi lepiej lub gorzej, ale tylko przez ludzi.

— Niektórzy domyślają się czegoś, żywią pewne podejrzenia — zauważył Sneer.

— Im więc przede wszystkim należy zamykać usta. To ludzie nieodpowiedzialni. Swoimi domysłami, rozpowszechnianymi pośród współobywateli, nie sprawią niczego dobrego. Mogą jedynie spowodować zakłócenia na skalę dostrzegalną dla naszych galaktycznych przyjaciół. . .

Sneer zrozumiał sytuację już wcześniej, podczas rozmowy z Szefem Wydziału. Wyjaśnienia od niego uzyskane doskonale uzupełniały puste dotąd miejsca w modelu interpretującym mechanizm tak dobrze znanego działania świata Argolandu. Obcy przybysze z kosmosu byli tym jedynym brakującym ogniwem, pozwalającym rozumieć wszystko, co się tutaj, na Ziemi, dzieje. Aż dziwne, że tak niewielu spośród mieszkańców aglomeracji dochodzi do podobnych wniosków i domysłów. Czyżby naprawdę tak byli zajęci codziennością, że nie mają czasu na zastanowienie? Czy może tak skutecznie działają substancje oglupiające? Albo działalność inspektorów równowagi, tępiących każdy przejaw niebezpiecznych

spekulacji?

Teraz Sneer rozumiał, dlaczego od wielu, wielu lat — jak sięgał pamięcią — wyszydzano w masowych publikatorach wszelkie doniesienia o pojawianiu się nieznanych obiektów na niebie, wszelkie hipotezy dotyczące istnienia jakichś innych rozumnych cywilizacji w zasięgu kontaktu. Autorów takich hipotez publicznie odsądzano od rozumu i wyśmiewano bezlitośnie.

A jednak, nawet wśród podzerowców, zdarzają się tacy, którzy dochodzą do pewnych wniosków, budują różne przypuszczenia i hipotezy. . . Czy nie jest przypadkiem tak, że. . .

Zastanawiał się przez chwilę.

Ależ tak! To bardzo prawdopodobne! Choćby taki Matt! Czyżby klasyfikacja opierała się nie tylko na walorach intelektualnych? Może i ona wprzęgnięta jest w ogólny system przewencji? Może ten, kto jest zbyt mądry, by nie dostrzec czegoś podejrzanego w tym świecie, i kto przy tym nie chce udawać, że tego nie dostrzega. . . zostaje automatycznie szóstakiem, piątkiem, niezależnie od poziomu umysłowego? Może stosunek do owej podejrzewanej prawdy jest jednym z kryteriów klasyfikacji?

Tak, to mogło być możliwe! Taki dociekliwy mądrała, jeśli swych wniosków nie potrafi zachować dla siebie, zostaje po prostu sklasyfikowany jako szóstak. Szóstak jest z założenia głupszy od piątki, i nawet nie wiadomo o ile głupszy, bo klasa szósta nie jest ograniczona od dołu. Jest więc — potencjalnie — po prostu nieograniczenie głupi. Jego głupota nie ma granic. Może wygadywać różne rzeczy ale. . . któżby tam słuchał idioty!

Nawet niezłe pomysły! — stwierdził Sneer zgryźliwie, lecz nie bez uznania. — Trudno odmówić nadzerowcom staranności w opracowaniu metod utrzymywania w tajemnicy doniesłego faktu istnienia Obcej Siły.

Teraz także on miał uczestniczyć w ukrywaniu tej tragicznej prawdy. Uznawał logikę wyводу nadzerowców, widzących jedyne wyjście w takim właśnie postępowaniu, i wiedział, że powinien włączyć się w syzyfowy trud podtrzymywania świata na pochyłości, po której zsuwał się on nieubłaganie i nieuchronnie.

Wydobywając bransoletę ze skrytki w hallu wejściowym Wydziału „S”, przyjrzał się jej raz jeszcze. Wszystko, czego dowiedział się ostatnio, w niewytłumaczalny sposób wiązało się w jego umyśle z jakimś niejasnym obrazem, z mglistymi wspomnieniami czegoś niesprecyzowanego — może z jakimś snem, z którymiś słowami. . . Teraz, zapinając bransoletę na przegubie, myślami wracał do swego spotkania z Alicją, szukając klucza do szyfru zapisanego w jego podświadomości.

Sneer rozumiał teraz, że zwabiony przecuciem rozwiązania zagadki, zabrnął w matnię, z której nie było powrotu. Zyskując gorzką wiedzę o mechanizmach rządzących ludzkością, tracił możliwość odzyskania swej pierwotnej, wygodnej i beztrudnej pozycji w uproszczonym społeczeństwie, którego problemy wydawały się teraz śmiesznymi kłopotami przedszkolaka — wobec grozy wiszącej nad

nieświadomą sytuacją ludnością Ziemi.

Kto mi, u licha, kazał płać się w to wszystko? — zadawał sobie pytanie, powracające co pewien czas, razem z przyływami nostalgicznej tęsknoty za betonowo-plastykowym, rodzimym środowiskiem, z którego wyrwano go nagle i przeniesiono w krajobraz tak naturalny, że aż obcy człowiekowi wychowanemu pomiędzy labiryntem ulic i monotonią wód Tibigan.

Odpowiedź narzucała się sama. To nie nadzerowcy zmusili go do opuszczenia miasta. A przynajmniej, nie tylko oni mieli w tym udział.

Wszystko przez tę dziewczynę! — pomyślał z irytacją, obracając machinalnie bransoletę wokół nadgarstka. — Otumaniała mnie, działając na tę najgłupszą, irracjonalną warstwę męskiej psychiki. . . Stała się obiektem pożądania i tęsknoty, znikając i pozostawiając nadzieję na spełnienie się czegoś wspaniałego, jedyne- go w swoim rodzaju. . . Jak mogłem. . . Jak mogę być takim durniem, by wciąż pozostawać pod jej wrażeniem?

Na podobne refleksje było jednak zdecydowanie za późno. Tutaj, w kwaterze głównej argolandzkich nadzerowców, spętany i przykuty do tego miejsca znajomością wszystkiego do końca i świadomością niemocy wobec okoliczności, mógł już tylko wyrzucać sobie brak trzeźwego rozsądku w chwili słabości.

Co robić dalej? — rozmyślał teraz wiedząc, że choćby nawet znalazł się znowu w aglomeracji, nie zdoła włączyć się do tamtej śmiesznej zabawy w życie społeczne. — Czy naprawdę nie ma żadnego wyjścia, żadnego ratunku dla tego biednego świata?

Wiedział, że nie ma. . . Nie znajdował ani jednej rysy, szczeliny dającej szansę podważenia oczywistości wywodów Rascallego, a jednak myśl wracała ciągle do tego problemu. Czy naprawdę nie przeoczono jakiegś szansy, jakiegoś sposobu?

Uświadomił sobie nagle, że oto spełnia się znowu przepowiednia Alicji: oto dotarł do owej mającej nadejść chwili naznaczonej w odkrytej przed nim przyszłości.

Będiesz znał prawdę — zdania napływały z głębi pamięci, jakby były echem dopiero co wypowiedzianych słów Alicji. — A kiedy dostrzeżesz, że nie ma ratunku dla świata, kiedy nie będziesz wiedział, co czynić; kiedy pomyślisz, że w całym wszechświecie nie ma istoty zdolnej ci dopomóc. . .

— W całym wszechświecie? . . . — powtórzył głośno.

W całym ogromnym wszechświecie nie byłoby. . . większej. . . lub nawet równorzędnej Siły?

„Nigdy nie zapominaj o Alicji” — znów te słowa, natrętnie wciskające się w świadomość. Wówczas w hotelu, usypiając ze znużenia, rejestrował je prawie bezwiednie. W chwilę potem spał już kamieniem. O czym śnił wtedy? Nie pamiętał, lecz wiedział, że musiał śnić jakiś niezwykły sen. Teraz wiedział to na pewno. . .

Obrazy tamtego snu napłynęły nagłą falą. Nie tylko obrazy... Melodia i słowa musiały być elementem towarzyszącym sennym widzeniom. Skąd znał tę melodię? Bo słowa... tak, to były słowa piosenki śpiewanej głosem Dony Bell... Tekst, przeczytany dwa dni temu, wracał z podświadomości, pełny i kompletny...

*... lecz — jak niewola przyszła wprzód,
tak i nadzieja zstąpi z gwiazd.*

Tak! To właśnie był ów przeoczony wariant, ta jedyna szansa, której zasiedzieli w swych wygodnych fotelach nadzerowcy nie umieli — lub może nie chcieli — dostrzegać ani przewidywać. Teraz wydała się ona Sneerowi tak oczywista, że aż niemożliwa do przeoczenia.

A ona, Alicja, była świadectwem realności tej szansy. Była tu po to, by wiedział... i działał!

Lecz jakie zadanie, jaka rola była mu przeznaczona?

Zapięcie bransolety puściło nagle, jedna z części zatrzasku oddzieliła się od toroidalnej połówki miedzianej obręczy, ukazując wewnętrzne wydrążenie. Wypadł stamtąd drobny owoidalny przedmiot przypominający żelatynową kapsułkę jakiegoś leku. Ujął ją w palce. Była przejrzysta, w jej wnętrzu przelewała się kropla błękitnego płynu. Na jej powierzchni widniały drobnutki litery napisu.

„Wypij mnie” — odczytał Sneer.

Z głębi minionego czasu wróciły zdania, czytane głosem matki.

— „Myśle, że mogłabym, gdybym tylko wiedziała, jak zacząć”... Bo, widzicie, tak wiele zdumiewających rzeczy wydarzyło się ostatnio, że zaczęła uważać już tylko nieliczne z nich za naprawdę niemożliwe.

Stał wraz z Alicją przed maleńkimi drzwiczkami, za którymi rozpościerał się urzekający widok gwiazdowego nieba. W ustach miał jeszcze resztki żelatynowej kapsułki.

— To przejście do innego Świata, gdzie nie sięga ich moc. Obiecałam ci pomoc i oto jestem. Chodź ze mną.

— A ci wszyscy, tutaj? — wskazał dłonią za siebie.

— Ich także zabierzemy, poprzez ten otwór łączący dwa wszechświaty.

— Jak?

— Zapnij bransoletę, chwyć ręką za cokolwiek, ściśnij mocno i ciągnij za sobą ten biedny, udręczony glob. Po to dałam siłę twojej dłoni.

Spojrzał w jasną twarz Alicji, trwając w radosnym poczuciu olśnienia i zrozumienia, na granicy snu i jawy, nie wiedząc już, co jest jawą a co snem, lecz

pewien, że dopiero z ostatnim z ludzi umiera nadzieja.

Warszawa - Chicago, 111. - Zakopane - Racibór,

lipiec 1979 - sierpień 1980.